

BARBARA
WUJCIC

Niebieski
zeszyt

NOVAE RES

BARBARA
VUJCIC

Niebieski
zeszyt



NOVAE RES

*Živanowi i Danielowi –
kochanemu mężowi i synowi*

Spis treści

[Mała Księżniczka](#)

[Boże Narodzenie](#)

[Ślizgawka](#)

[Przyjaźń](#)

[Mała Księżniczka cd.](#)

[Pierwszy dzień wiosny](#)

[Niepewność](#)

[Nowy rok szkolny](#)

[Pożegnanie](#)

[Wyjazd](#)

[Pierwszy dzień w nowej szkole](#)

[Gościnny pokój](#)

[Rozmowa telefoniczna](#)

[Mała Księżniczka cd.](#)

[Szkolny autobus](#)

[Ben](#)

[Burza](#)

[Sprawy w szkole przybierają zły obrót](#)

[Telefon od mamy](#)

[Niespodziewane wieści](#)

[Mała księżniczka cd.](#)

[Histeria Lidii](#)
[Ścieżka przy torach](#)
[Lekcja wychowawcza](#)
[Kłopoty z Emilem](#)
[Choroba dziadka](#)
[Zmartwienie babci](#)
[Ben znajduje szczeniaka](#)
[Mała Księżniczka cd.](#)
[Cezar](#)
[Troski](#)
[Magda](#)
[Odwiedziny](#)
[W szpitalu](#)
[Przydział ról na jasełka](#)
[Kłopoty z Emilem](#)
[Rozmowa z Emilem](#)
[Mała Księżniczka cd.](#)
[Rozmowa z Julią](#)
[Wizyta Lidii](#)
[Mała księżniczka cd.](#)
[Ojciec](#)
[Mała księżniczka cd.](#)
[Babcia zdradza tajemnicę](#)

[Mała księżniczka cd.](#)
[Powrót dziadka](#)
[Mała Księżniczka cd.](#)
[Wizyta Bena](#)
[Telefon od ojca](#)
[Mała księżniczka cd.](#)
[Schówek w kredensie](#)
[Dziadek Bena](#)
[Telefon od mamy](#)
[Bilet](#)
[Mała księżniczka cd.](#)
[Podróż](#)
[Kraków](#)
[Ciocia Lucyna](#)
[Święta](#)
[Wigilia](#)
[Alergia](#)
[Poszukiwanie Dawida](#)
[Ucieczka](#)
[Na dworcu](#)
[Ola pali niebieski zeszyt](#)
[Powrót do szkoły](#)

Wizyta u wiedźmy

Londyn

Spotkanie z Dawidem

Wreszcie razem

Mała Księżniczka

Dawno, dawno temu, a może całkiem niedawno, być może gdzieś obok nas, żyła sobie mała księżniczka. Miała miękkie, lśniące włosy w kolorze zachodzącego słońca, które zwijały się w drobne, sprężyste loczki. Jej bladą twarzyczkę rozświetlał wewnętrzny promyk, a w jej jasnoniebieskich oczach przeglądała się rozumna dusza, która z zaciekawieniem spoglądała na świat.

Księżniczka często bawiła się w ogrodzie, gdzie roztaczały swoją woń kwiaty ze wszystkich stron świata. Ich zapach pocieszał ją i koił jej dziecięce troski. Przytulała główkę do aksamitnych płatków i zamyślała się nad ich urodą. Kochała kwiaty, zwierzęta i ludzi, a najbardziej swoich rodziców, mimo iż, zajęci sprawami królestwa, zupełnie nie mieli dla niej czasu.

Boże Narodzenie

Ulice nagle opustoszały, a na niebie zapłonęła pierwsza gwiazdka. Na stole nakrytym białym obrusem leży gałązka świerku przystrojona bombkami, a obok świece i opłatki. Pod obrusem sianko. Uwijałyśmy się z mamą od rana, żeby zachować wszystkie tradycje. W całym domu unosi się aromat wigilijnych potraw. Pieczona ryba, bigos z grzybami, pierogi. Mama trzyma wszystko w piekarniku, żeby nie wystygło.

Po raz kolejny wyglądam przez okno. Na ulicy łuna świąteł. Siąpi drobna mżawka i wszystko mieni się w kropelkach wody. Srebrzą się trotuary i lśni asfalt, nawet drzewa migoczą świątecznym blaskiem tysiąca kolorowych żarówek, którymi je przystrojono.

Obie z mamą jesteśmy ubrane w nowe sukienki. Mama założyła złote kolczyki i naszyjnik z koralami, który ubiera tylko na wyjątkowe okazje. Uśmiecha się promiennie. Patrę jej głęboko w oczy, ale niestety dostrzegam znajomy cień smutku. Ciężki i przytłaczający, który jak przezroczysty, siwy welon opada na jej odświętny strój i przyćmiewa cały jego

wdzięk. Tym goręcej pragnę, aby tata już tu był.

Nareszcie rozlega się znajome, głośnie stukanie do drzwi.

- Tato! Myślałam, że już nie przyjedziesz!

- No, chodź tu do mnie, moja mała księżniczko - woła tata i otwiera szeroko ramiona. Podbiegam i obejmuję go. Tata przytula mnie mocno, a ja wciskam głowę w chłodną, szorstką połę jego płaszcza. Jestem taka szczęśliwa, że przyjechał. Jest Boże Narodzenie i nie mogło go zabraknąć.

- Powiedz, że już nie pojedziesz. - Tak bym chciała, aby był z nami na co dzień. Czy to zbyt wiele?

- Zawsze to samo. Ale co to za zapachy?

- Wszystko już gotowe, czekamy tylko na ciebie.

- Czyli zdążyłem?

Tata całuje mnie, potem mamę. Pozwalamy mu się jeszcze umyć i przebrać, i siadamy do wigilijnej kolacji. Pomagam mamie postawić wszystko na stole. W pewnym momencie zerkam pod choinkę i dostrzegam, że ktoś położył prezenty. Niepostrzeżenie odwiedził nas Święty Mikołaj. Oddycham głęboko, wszystko jest tak, jak powinno, a co najważniejsze: jesteśmy razem.

Po kolacji otwieramy prezenty. Dostałam nowe dzinsy, mięciutki sweterek, szarą bluzę z napisem „London”, ciepły, wełniany płaszcz, dwie książki, nową komórkę i mnóstwo słodyczy.

- Tato, dziękuję ci za te wszystkie rzeczy, ale wolałabym,

żebyś już tam nie jechał.

- Też bym tak chciał, skarbie, ale nie można mieć wszystkiego.

- Ale ja nie chcę wszystkiego. Kraków to wielkie miasto. Tylu ludzi tutaj pracuje, na pewno i dla ciebie coś się znajdzie.

- Musisz pewne rzeczy zrozumieć. - Tata odwraca głowę i unika mojego wzroku. - Dorośli mają swoje sprawy, swoje problemy.

- Wciąż uważasz mnie za dziecko? - Tata wzdycha głęboko i milczy, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć. - Ty naprawdę myślisz, że jestem małym, słodkim bobaskiem, który nic nie rozumie...

- W żadnym wypadku, jesteś już nastolatką, ale w świecie dorosłych panują trochę inne zasady.

- Ale, tato, czy nie można jakoś inaczej? Chodzić do pracy, a potem wracać do domu. Zjeść razem obiadek, pooglądać telewizję, pójść na spacer z rodziną. Dlaczego u nas musi być inaczej?

- Może i jest inaczej, ale przecież każda rodzina jest inna, ma inne problemy.

Wydaje mi się, że tata też jest jakiś inny, trochę smutny i coś go gnębi.

- Olu, nie męcz taty. Jest Wigilia, będzie czas na takie rozmowy.

Mama ma rację. Zmieniam temat i opowiadam mu o szkole, o Julce i o moich ukochanych zajęciach teatralnych. Mama gasi główne światło i siedzimy w półmroku rozświetlonym przez choinkowe latarenki i płonące świece, po których spływa roztopiona, gorąca parafina. Potem akompaniuję na pianinie i wszyscy śpiewamy kolędy.

*

Tata przyjechał tylko na kilka dni, ale prawie nie ma go z nami. Spotyka się z różnymi ludźmi, coś załatwia, a my z mamą tylko na niego czekamy. Nie mogę nawet wyjść do znajomych, bo on za chwilę może przyjść i powinnam być w domu.

Trochę się niepokoję. Tata zmienił się. Ma swój świat. Nawet tutaj, w Krakowie, robi jakieś interesy, w które nie chce nas wtajemniczać. Jest pierwszy dzień świąt, a on po śniadaniu gdzieś wyszedł, spotyka się z kimś, coś załatwia... W kuchni pachnie pieczoną kaczką z pomarańczami i czekoladowym deserem, który zrobiliśmy wspólnie z mamą, tylko taty brakuje.

W końcu przychodzi, kiedy wszystko jest już zimne. Mama prawie się nie odzywa, ale widzę, że tłumi złość, żeby nie robić awantury w taki dzień.

- Wybaczcie, ale spotkałem kolegę ze studiów. Zastanawialiśmy się, czy nie dałoby się ruszyć z jakimś biznesem.

- Tutaj, w Krakowie?

- Tak, słońce. Też wolałbym mieszkać w kraju.
- To fantastycznie. Nie będziesz musiał wyjeżdżać.
- Zobaczymy. Na razie to jeszcze nic pewnego.
- Mógłbyś przynajmniej zadzwonić, czekałyśmy na ciebie z obiadem – mówi z pretensją mama.
- No dobrze, to siadajmy do stołu!
- My już jadłyśmy. Wiesz, która godzina?
- Co to?! Znowu coś zrobiłem nie tak? Nie było mnie całe trzy miesiące, mam chyba prawo odwiedzić znajomych! – tata odpowiada ostrym tonem.

Patrzemy na niego z mamą i nie wiemy, jak zareagować. Z daleka wyczuwam od niego alkohol.

- Tato, są święta! Tak się z mamą starałyśmy, żeby zrobić dla ciebie coś pysznego.

Patrzę na mamę, ale ona nic nie mówi, tylko wychodzi do kuchni. Podkręca piekarnik i odgrzewa obiad. Idę za nią, żeby jej pomóc. Dostrzegam, że ociera łzy.

- Mamo, nie płacz!
- No, Marta, o co chodzi? – Tata staje w drzwiach i przygląda się scenie.
- Dłużej tego nie wytrzymam! – Mama szlocha głośno.

Tata odsuwa z hałasem krzesło przy kuchennym stole, jakby chciał na nim usiąść, ale tylko się o nie opiera.

- Olu, idź do swego pokoju, ja z mamą porozmawiam.

Wychodzę, ale mój niepokój narasta. Słyszę przyciszone odgłosy kłótni. Mama płacze, a tata krzyczy. Zastanawiam się, jak mogłabym pomóc, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Robi mi się tylko potwornie smutno. Siedzę nieporuszona i czekam, aż odgłosy awantury ucichną.

*

Mama postawiła na swoim. Tata zgodził się, że takie życie na odległość nie ma sensu.

Rodzice ustalili, że ja i mama pojedziemy do niego, gdy tylko skończy się rok szkolny. Znajdziemy dla mnie szkołę i wszyscy zostaniemy w Londynie na stałe. Jeszcze tylko kilka miesięcy.

Stoję w kuchni i wpatruję się w okno, które wychodzi na podwórko. Jest pochmurny, ale dość ciepły grudniowy dzień. Pada drobniutka mżawka, która opada bezszelestnie na szyby i spływa łagodnie pojedynczymi kropelkami. Po drugiej stronie podwórka stoją kontenery na odpady. Z niedomkniętych drzwiczek wystają worki pełne śmieci, kartony i różne opakowania po gwiazdkowych prezentach. Obok śmietnika leżą butelki i puszki po piwie.

Zastanawiam się, ile z nich wyniósł wczoraj tata. Nigdy wcześniej nie pił aż tyle.

Nie poszłam dzisiaj do szkoły, mam jeszcze ferie. Wpatruję się w okno i nagle uświadamiam sobie, że odpłynęłam. Zrobiłam to samo, co robi mama, gdy tak sobie siedzi nad filiżanką kawy i zapatrzy się w pustkę.

Rano tata odjechał i została po nim dziwna cisza w domu.

Ślizgawka

W tym roku dzieci długo czekały na śnieg. W grudniu trochę prószył lekkimi, pierzastymi płatkami, które układały się miękko na wilgotnej ziemi i gasły z wolna jak wypalone świece.

Sanki, łyżwy i narty czekały gdzieś w piwnicach i na strychach. Zakurzone i zapomniane.

Boże Narodzenie przeminęło bez jednej gwiazdki śniegu.

Teraz jest już połowa stycznia, a śniegu wciąż jak na lekarstwo. Co prawda, trochę padało po Nowym Roku, ale dodatnie temperatury w ciągu ostatniego tygodnia rozpuściły wszystko, tworząc szare, brudne kałuże. Wczoraj po południu znów zaczęło trochę śnieżyć, a w nocy temperatura spadła poniżej zera. Dzisiejszy ranek przebudził się cały pobielony. Dachy, drzewa, samochody, nawet śmieci są pokryte cienką warstwą srebrzystego pyłu.

Przed blokiem spotykam naszą sprzątaczkę z osiedla. Pani Mira przyjeżdża tu codziennie rano autobusem z drugiej części miasta. Jest dość gadatliwa, czasem dopada nas i coś

tam opowiada. Czuć od niej silny odór papierosów.

Widzę, że Mira zdążyła już odśnieżyć wszystkie dróżki przed blokiem. Ma zmarznięte, czerwone dłonie, bo w taką pogodę nie założyła rękawiczek.

- Proszę, niech pani weźmie. - Podaję jej swoje rękawiczki. Mogę schować ręce do kieszeni.

Kobieta spogląda na mnie, waha się przez moment, lecz kręci przecząco głową.

- Mnie tam ciepło, nie czuję mrozu - odpowiada i wraca do pracy.

Niesie zielone plastikowe wiadro z piaskiem i posypuje osiedlowe ścieżki. Życzymy sobie miłego dnia i spieszę do szkoły.

Tuż za rogiem ulica, która jest dobrem wspólnym, czyli terenem bezpiecznym, jest śliska jak lodowisko. Służby drogowe nie zdążyły posypać jej solą. Na domiar złego droga pnie się tu stromo w górę. Tkwi tam ogonek samochodów, gdyż auta nie są w stanie wspiąć się na tę szklaną górę. Jeśli kierowcy nie uda się pokonać wzniesienia jednym susem, z rozpędu, już po nim. Koła boksują na śliskiej powierzchni. Nie ma innego wyjścia, jak tylko wycofać się i szukać objazdu.

Wtuliłam głowę w szalik, nasunęłam na oczy czapkę i drobnymi kroczkami, aby utrzymać równowagę, brnę do szkoły. Nie przeszkadza mi to, że jest zimno. Lubię śnieg, narty, łyżwy i w ogóle, dla mnie to normalne, urodziłam się

tutaj. Ale tego ranka jestem zmęczona i niewyspana. Poprzedniej nocy prawie nie spałam, bo uczyłam się do testu. Mogłabym podjechać autobusem, ale nigdy tego nie robię, jeśli nie muszę. Pół godziny spaceru i jestem w szkole. Dzisiaj dzieci wyślizgały cały chodnik. Trzeba uważać, żeby nie połamąć nóg.

W pewnej chwili widzę długą, zamarzną kałużę. Żadne dziecko nie przejdzie obok, żeby po niej nie przejechać. Niewiele myśląc, biorę kilka kroków rozpędu i szuuu... lecę jak strzała. Nagle nie wiem dokładnie, co się dzieje, ale leżę na ziemi z zadartymi do góry nogami. Jakiś chłopak ma dokładnie taki sam pomysł i ślizga się tuż za mną. Musiałam podciąć mu nogi, bo zwała się z jękiem tuż obok mnie. Zaczerwieniony ze złości rzuca mi wściekłe spojrzenie. Co mam robić?

- Przepraszam. To nie moja wina - tłumaczę się. - To był tylko przypadek, naprawdę nie chciałam.

Patrzemy na siebie przez chwilę, a potem jeszcze przez drugą chwilę, a nawet jeszcze dłużej.

W jego oczach nie ma już złości, lecz totalne zdumienie. Po prostu nie możemy oderwać od siebie wzroku. Nie chcę wcale odchodzić. On chyba też nie i siedzimy tak na ślizgawce, patrząc na siebie bez słowa, i nagle zaczynamy się śmiać. On wstaje pierwszy i podaje mi rękę.

- Uff... moja noga - udaję, że noga boli mnie trochę bardziej niż w rzeczywistości, żeby zatrzymać go na dłużej.

- Możesz iść?

- Chyba tak.

Idziemy powoli. Coś mówimy o szkole, ale nie jesteśmy zbyt rozmowni. Chodzimy do tego samego gimnazjum, ale nawet nie wiem, jak ma na imię. Na pożegnanie rzuca mi jakieś zdawkowe: „nara” i idzie do swojej szatni.

*

Szukam go wzrokiem. Jego klasa wychodzi właśnie z pracowni chemicznej, do której my wejdziemy na następną lekcję. Po chwili go dostrzegam. Rozmawia ze swoim kolegą, ale chyba mnie zauważył kątem oka, bo kiedy przechodzi obok, nagle zwraca się w moją stronę i mówi „cześć”. Patrzy na mnie przez moment, a ja czuję, jakby dotykał wzrokiem mego serca, które nagle zaczyna szamotać się jak zajęc w potrzasku. Potem spokojnie odwraca głowę i idzie dalej.

- Znacie się? - dopytuje Julka.

- Nie. Nie wiem nawet, jak ma na imię. Wpadł na mnie na ślizgawce. Śmieszna historia, muszę ci to opowiedzieć.

- To przecież Bartek. Jest moim sąsiadem.

- Naprawdę?

- Nasi rodzice dobrze się znają. Podoba ci się?

- Nie. To znaczy nie wiem, nie myślałam o tym. Nie obchodzi mnie. Chyba niedługo i tak stąd wyjeżdżam.

- Mówiłaś, że wyjeżdżacie na Boże Narodzenie, ale jakoś wciąż tu jesteś.

- Tata przyjechał do Polski, więc po co miałabym jechać?

- Oła, nie oszukuj samej siebie. Twój tata mieszka w Londynie, a ty z mamą tutaj. Takie są fakty.

- Mogłybyśmy jutro do niego pojechać, ale tata chce, żebym zaliczyła ten rok. W Londynie pójdę do angielskiej szkoły, lepiej, żebym miała zaliczony cały rok. Rozumiesz?

- No jasne - odpowiada Julka, ale robi minę, jakby nic nie rozumiała.

Julka jest moją najlepszą przyjaciółką, ale czasem wydaje mi się, że ona nie rozumie podstawowych rzeczy. Dla moich rodziców jestem najważniejsza. Wszystko robią z myślą o mnie. Tata chce, żebym chodziła do prywatnej szkoły i dodatkowo jeszcze na pianino, angielski i korki z matmy. To kosztuje. Tata musi dobrze zarabiać, bo mama najczęściej nie pracuje.

Mama nie ma szczęścia do pracy. Trochę gdzieś popracuje i zaraz albo zamykają firmę, albo są jakieś redukcje i ona idzie na pierwszy ogień. Mama martwi się tym, a nawet można powiedzieć, że popada w depresję, w jakiś potworny smutek, z którego nijak nie można jej wyciągnąć. Nie lubię, gdy się martwi, bo wtedy mnie nie zauważa, jakby dobrowolnie wchodziła do puszek Pandory i zamykała się w niej od środka.

Co innego tata. On się urodził ze smykałką do interesów. Odkąd pamiętam, zawsze miał biznes. Niestety kilka lat temu musiał zamknąć sklep, bo wygryzła go konkurencja, więc

wyjechał do Anglii. Problem w tym, że rodzice nie mogą się zdecydować, czy tak jest lepiej, że on tam, a my tutaj, bo mogę chodzić do prywatnej szkoły, czy raczej ważniejsze jest, żeby rodzina była razem.

- Nieważne, powiedz lepiej, czy nauczyłaś się już swojej roli. - Wolę zmienić temat i zagaduję Julkę o kółko teatralne.

Teatr to moja nowa pasja, chociaż sztuką interesuję się od zawsze. Piszę wiersze, maluję i gram na pianinie (pianino to marzenie mojego taty). Czasem budzę się rano i mam w głowie cały wiersz. Wystarczy, że wezmę kartkę i zapiszę. Mam to po mamie. Ona też pisze wiersze. Ma ich całą szufladę. Rozumiem ten przymus pisania, a poza tym myślę, że sztuka ratuje ją przed tym, aby zupełnie nie zwariowała.

Przyjaźń

Na korytarzu panuje półmrok, bo nikt nie zapalił światła. Wszyscy są jacyś senni i nikomu nie chce się obudzić po weekendzie, więc stoimy tak pod klasami w egipskich ciemnościach. Jest ciemny, mglisty poranek i marzę tylko o tym, żeby przyłożyć głowę do poduszki i wrócić w objęcia Morfeusza. Niestety przede mną szara rzeczywistość. Stoję przed salą matematyczną, gdzie za chwilę czeka mnie sprawdzian.

Po drugiej stronie korytarza jest pracownia biologii. Wiem, że za chwilę zobaczę Bartka. Zawsze w poniedziałki rano ma biologię. Znam na pamięć jego plan lekcji. Powinien już być, ale pewnie - jak zwykle - przyjdzie w ostatniej chwili. Stoję znudzona pod ścianą, chociaż tak naprawdę czekam na niego.

W głębi korytarza, ku mojemu zaskoczeniu, rozpoznaję sylwetki Julii i Bartka, którzy idą razem w moją stronę. Dyskutują zawzięcie i wymachują rękami. Mam nadzieję, że się nie kłócą.

- Cześć, Olu! A wy się znacie? - wita mnie Julka.

Bartek patrzy na mnie i uśmiecha się lekko. Przez chwilę mam przed oczami obraz zadartych w górę nóg i z trudem się powstrzymuję, żeby nie parsknąć śmiechem. Chłopak wyciąga do mnie rękę.

- Jestem Bartek.

- Ola.

Podajemy sobie z Bartkiem ręce i czuję mocny uścisk jego dłoni, aż przechodzą mnie dreszcze. Spoglądam mu w oczy przez ułamek sekundy i czuję falę ciepła, która rozpala mi twarz. Na szczęście w korytarzu jest ciemno i mam nadzieję, że oni nie widzą, że się rumienię. Nie jestem w stanie nic powiedzieć, ale Julka coś świergocze bez przerwy, tak że gdybym nawet chciała coś wtrącić, nie wcisnęłabym słowa.

- Widzieliście ogłoszenie o zimowisku? Jest wyjazd do Szczyrku. Co wy na to? Jedziemy?

- Dla mnie okay, a ty, Olu, co o tym sądzisz?

Bartek patrzy na mnie w oczekiwaniu, a ja czuję jego wzrok na swoich włosach i mam wrażenie, że zaraz zapłoną.

- Porozmawiam z mamą, ale myślę, że tak. Nie mam żadnych planów na ferie.

- Byłoby super - cieszy się Julka.

Dzwoni dzwonek, ale stoimy jeszcze razem, zanim przyjdą nauczyciele. Bartek z Julką mówią coś do mnie, a ja tylko potakuję. Jakaś potworna chrypka całkiem zablokowała mi

gardło i nie jestem w stanie wypowiedzieć słowa.

*

Byliśmy razem na zimowisku i od tej pory w czwórkę - ja z Julką, Bartek i jego kolega Norbert - tworzymy zgraną paczkę. W szkole zawsze stoimy razem i gadamy. Dziewczyny z naszej klasy są trochę zazdrosne. Bartek i Norbert chodzą do drugiej klasy, są o rok starsi.

Chłopcy mają poczucie humoru. Najczęściej śmiejemy się i wygłupiamy.

Znów przyłapuję się na tym, że myślę o Bartku. Siłą woli staram się skupić na nauce. Jutro mam sprawdzian z historii. Nigdy jeszcze nie zależało mi tak na stopniach. Julka mnie zapraszała, abym do niej przyszła, żeby się razem pouczyć, ale ja wolę zostać w domu. Jeśli chcę się rzeczywiście czegoś nauczyć, muszę to zrobić sama. Wiem, co będzie, gdy do niej pójde. Pogaduchy. Zawsze tak jest, a mi naprawdę zależy, żeby mieć czerwony pasek. Myślę, że byłby to niezły argument, abym pozostała w tej szkole. Teraz, kiedy poznałam Bartka, za nic w świecie nie chcę się przeprowadzać do Anglii.

- Olu, skoczyłabyś do apteki? - Mama staje w drzwiach w szlafroku, z głową ciasno obwiązaną chustką, jak w turbanie.

- Źle się czujesz? - Patrzę na nią z niepokojem.

- Nie, nic, tylko głowa mi pęka. Znów ta migrena.

- Powinnaś iść do lekarza, może to z powodu jakiejś

alergii... - Przychodzi mi nagle do głowy.

- Nie, to nic takiego, tylko na zmianę pogody mam straszny ucisk w głowie.

- Dobrze, mamo, już idę. - Zostawiam książki i bez protestów idę po leki.

Tak właśnie wygląda nasz dom. Mama całymi dniami chodzi po domu w podomce i pantoflach. Nie chce jej się nawet przebrać. Skarży się na bóle głowy, ale żadną siłą nie jestem w stanie zaciągnąć jej do lekarza. Nic na to nie poradzę. Mogę tylko pójść do apteki i być przy niej, kiedy mnie potrzebuje, chociaż ona chyba woli być sama. Najczęściej siedzi w swoim pokoju, a ja w swoim.

Wychodzę do apteki, a potem znów wracam do książek, ale trudno mi się skupić na nauce.

Wyjmuję niebieski zeszyt i zaczynam pisać.

Mała Księżniczka cd.

Pewnego dnia, kiedy bawiła się w swojej komnacie, wszedł ojciec. Wziął ją na ręce i podszedł do okna, skąd rozciągał się widok na łąki, lasy i jeziora, aż po pasmo gór na horyzoncie. Podniósł ją wysoko, wysoko i powiedział: „Moja mała księżniczka, moja Biała Koniczynka...”. Zaciśnęła mu dłonie wokół szyi, a ojciec przytulił ją mocno. Potem kołysał w ramionach i dodał: „...kocham cię bardziej niż całe moje królestwo”. Było to zupełnie tak, jakby usłyszała jakieś zaklęcie, które zaczarowało jej świat. Zrozumiała, że jest prawdziwą księżniczką.

Tego dnia miała na sobie białą sukienkę. Biegała beztrosko po ogrodowych alejkach i wydawało jej się, że jest płatkami róży, który wiatr unosi nad ziemią.

Niestety, wkrótce wybuchła wojna. Na krańcach królestwa wróg palił miasta i wioski. Król rozkazał swoim rycerzom przygotować się na wyprawę. Przy dźwiękach tręb wojska królewskie pod jego dowództwem opuściły zamek.

Księżniczka posmutniała. Żaliła się matce, że tęskni za

ojcem, ale matka patrzyła na nią nieodgadnionym wzrokiem i gładziła fałdy swojej królewskiej sukni. Wydawało się, że jest uwięziona w falbanach, koronkach i tiulach. Odsuwała się od niej, jakby obawiała się, że dziecko może podbiec, przytulić się i zniszczyć tę całą misternie ułożoną kompozycję. Skinieniem głowy dawała znak sługom, aby zajęli się jej córką, i odchodziła do swoich zajęć, bo teraz całe królestwo spoczywało na jej barkach.

Pierwszy dzień wiosny

Dzisiaj założyłam krótką białą sukienkę, ażurowe białe rajstopy i długie białe kozaki.

Wszyscy spoglądają na mnie z zaciekawieniem.

- Hej, w co ty się ubrałaś? - Zastanawia się Julia. Jest przyzwyczajona, że najczęściej chodzę w dżinsach i szarych bluzach.

- No, co? Jak wyglądam?

- Niezła kiecka.

- Dziękuję.

Inni wyglądają dzisiaj bardziej kolorowo. Jest dzień wagarowicza i wszyscy przebraliśmy się za jakieś postacie z książek. W mojej nowej sukience wyglądam jak księżniczka. Jestem z moimi przyjaciółmi i czuję się szczęśliwa.

Nie ma lekcji, a zamiast tego są występy na sali gimnastycznej: skecze przygotowane przez każdą klasę, pokaz mody, tańca i na koniec nasza grupa teatralna daje wesołe przedstawienie. Po spektaklu wszyscy idziemy nad

Wisłę topić Marzannę. To będzie nasz czwarty występ. Ostatnio graliśmy przed całą szkołą na zakończenie semestru. Teraz to prawdziwe wyzwanie, bo zaprosiliśmy rodziców.

Dzwoni komórka. Gdy zerkam na ekran, widzę, że to mama. Odchodzę trochę na bok, by porozmawiać.

- Cześć, mamó, wybierasz się na nasz spektakl?

- Właśnie dzwonię, żeby cię uprzedzić. Nie dam rady przyjść, muszę się położyć. Głowa mi pęka, chyba skoczyło mi ciśnienie.

- Szkoda... Fajnie by było.

- Też bym chciała, ale co ja mogę poradzić, fatalnie się czuję.

- W takim razie pa, do zobaczenia później.

Mogłam się tego spodziewać, gdyby tata tu był, na pewno by mnie nie zawiódł. Czuję, że muszę z nim porozmawiać. Bez zastanowienia wybieram jego numer i dzwonię. Czekam i czekam, ale nie odbiera. Trochę mi przykro, że nie mogę podzielić się z nim swoją radością. Wzdycham ciężko. Cały mój entuzjazm gdzieś się ulatnia. Niepotrzebnie dzwoniłam. Idę szybko do łazienki, wycieram nos, poprawiam włosy, patrzę ponuro na swoje odbicie w lustrze i wychodzę na korytarz.

Dobrze, że nie utknęłam na dłużej w toalecie, bo Julka już mnie szuka. Będzie jeszcze jedna próba przed występem. Bielska, nasza wychowawczyni, zabrała nas do pracowni

języka polskiego i jeszcze raz odgrywamy swoje role. Potem idziemy na salę gimnastyczną.

Występy już się rozpoczęły. Śmieję się głośno, kiedy uczniowie odgrywają zabawne skecze. Biję brawo. Na pokazie mody dziewczyny ubrane są w dziwaczne stroje wykonane z plastiku, sznurków i kolorowych czasopism. Wymachuję rękami i wygłupiam się na całego, chociaż w sercu mam bryłkę lodu. W końcu przychodzi nasza kolej i wchodzimy na scenę. Rozglądam się dookoła. Rodzice Julki siedzą w pierwszym rzędzie. Przyszli oboje. Wszystkie krzesła są zajęte przez rodziców i nauczycieli, a młodzież siedzi po turecku na materacach. Wciąż myślę o tacie. Tak mi go strasznie w tym momencie brakuje. Mam wrażenie, jakby ogarnął mnie jakiś paraliż. Mechanicznie wypowiadam swoje kwestie, a widownia prawie się nie śmieje, chociaż powinna.

W pewnej chwili, całkiem przypadkiem, dostrzegam Bartka. Siedzi na podłodze pod ścianą, w grupie chłopaków ze swojej klasy i obserwuje uważnie scenę. Patrzy na mnie, nie odrywając wzroku, i wydaje mi się, że jest tuż obok. Uśmiecha się, jak wtedy na ślizgawce, i nagle ołowiana chmura smutku, która przygniata mnie do ziemi, rozprasza się w jednej sekundzie.

Na zakończenie obchodów Dnia Wiosny całą szkołą idziemy nad Wisłę topić Marzannę. Spotykamy się na dziedzińcu, gdzie, dla porządku, nauczyciele ustawiają nas klasami. Julka rozprawia głośno o okropnej tremie, jaką

miała, gdy musiała wystąpić przed swoimi rodzicami. Wolałaby, żeby wcale nie przychodzili. A ja mam wrażenie, że ona po prostu lituje się nade mną. Zagryzam wargi, żeby tego nie skomentować.

Zmieniam temat i zaczynam wypytywać ją o Bartka. Przyjaciółka przeszywa mnie wzrokiem na wylot i w jednej chwili domyśla się wszystkiego.

- Zakochałaś się?

- Nie, może go trochę lubię. Nie wiem, jak to powiedzieć, ale... mam nadzieję, że ty...

- No coś ty. Mówiłam ci, jesteśmy tylko kumplami.

- Myślałam, że ty też...

Julia odwraca wzrok, długo grzebie w plecaku, wyjmując komórkę i odczytuje SMS-y. Bartek z Norbertem idą gdzieś w tyle ze swoją klasą. Jednak tylko do rzeki. Tutaj uczniowskie szeregi łamią się, a młodzież miesza się w jeden wielki tłum i nasi przyjaciele przyłączają się do nas.

Topimy Marzannę, a potem radośnie, całą czwórką, idziemy na rynek, kupujemy rogaliki i włączymy się godzinami po Starym Mieście.

*

- Olu, wiesz, która godzina?! - słyszę zniecierpliwiony głos mamy dochodzący zza drzwi.

- Dobrze, już gaszę.

Znów się zasiedziałam. Wieczorem, gdy zaczynam się

uczyć, tracę poczucie czasu. Chciałabym chociaż trochę powtórzyć, bo jutro mam kartkówkę z angielskiego. Mama przygotowała kolację, a gdy zjadłam, poczułam się tak senna, że najchętniej poszłabym do łóżka. Niestety na to nie mogłam sobie pozwolić. Muszę mieć szóstkę z angielskiego. Bartek został laureatem olimpiady chemicznej, chociaż jest dopiero w drugiej klasie. Ja brałam udział w konkursie z polskiego i z angielskiego, ale doszłam tylko do poziomu rejonowego z polskiego. W następnym roku chciałabym wypaść lepiej. To nie znaczy, że współzawodniczę z Bartkiem, ale on na pewno mnie mobilizuje.

Niepewność

Dni uciekają jak wypuszczone w niebo baloniki. Szybko i bezpowrotnie. Chciałabym je zatrzymać, bo ogarnia mnie przecucie, że do tych dni będę tęsknić.

Nie chce mi się wracać od razu po szkole do domu. Spacerujemy z Julką po parku. Rozglądam się wokół i wdycham zapach mokrej ziemi. Drzewa mają odcień jasnej, seledynowej zieleni. Trochę padało i na gałązkach wiszą jeszcze kropelki deszczu. Wszystko pachnie świeżością. Rozmawiamy o planach na wakacje i na przyszłość. Świadomość, że stąd wyjadę na jakiś czas (nie wyobrażam sobie, abym mogła wyjechać na długo), dociera do mnie stopniowo. Są chwile, że się cieszę, bo moja rodzina wreszcie będzie razem, chociaż z drugiej strony zbyt wiele rzeczy dobrze się zaczęło. Jest Julka, Bartek, teatr i szkoła, którą lubię.

Trawa jest wciąż jeszcze wilgotna, ale kładziemy na ziemi kurtki i siadamy na nich.

- Macie już bilety? - dopytuje Julka, jakby zależało jej na

tym, abym stąd wyjechała.

- Mama siedzi codziennie w komputerze i sprawdza różne linie. Może już kupiła, nie wiem.

- Wiesz, mam taki pomysł, że jeśli rodzice się zgodzą, to latem polecę do Londynu do szkoły językowej na kilka tygodni.

- Super. Byłoby cudownie.

- Też tak myślę. To mogą być fantastyczne wakacje, a potem i tak będziemy w kontakcie.

- Fajnie by było.

Nasza rozmowa trochę mnie uspokaja. Mam przyjaciół, a prawdziwa przyjaźń nie może się skończyć z dnia na dzień. Julka zmienia temat i zaczyna opowiadać o ubraniach, które są modne tej wiosny i w jakich sklepach najlepiej je kupić. Rozmawiam z nią, a jednocześnie wydaję swój niebieski zeszyt i zaczynam szkicować. Nie mam problemu z takim rozdwojeniem uwagi.

Obserwuję kwiaty i wydaje mi się, że każdy z nich ma inną osobowość. Białe narcyzy na długich nogach stoją dumnie i zimne, ale delikatna czerwona linia w środku kwiatu zdradza jakiś ból. Żonkile mają rozchwiane, zwichrzone płatki jak włosy zmęczonej tancerki. Kosmate, ociążałe mlecze przycupnęły w trawie jak poczwarki i spokojnie czekają na dzień, w którym wyrosną im skrzydła, i odfruną w nieznaną.

*

- Mamo, czy kupiłaś już bilety? Kiedy lecimy?

- Spokojnie, do wakacji jeszcze daleko. Dzisiaj zadzwonię do ojca i z nim porozmawiam.

- Myślałam, że już wszystko uzgodnione.

Przyglądam się mamie uważnie, bo mam wrażenie, że coś przede mną ukrywa. Mama unosi brwi. Wzrusza ramionami. Zauważam, że lekko drżą jej usta.

- No właśnie. Chyba prześladowuje nas pech. Dzwonił ojciec i wyobraź sobie, że wciąż się zastanawia. Z dorywczych prac nas tam nie utrzyma. Znowu każe nam czekać.

Przysiadam na sofie ze zdumienia. Martwię się, że z tatą dzieje się coś złego. Przypominam sobie te wszystkie butelki piwa, które wypił w czasie świąt, i zaczynam się poważnie niepokoić.

- Myślisz, że on pije? - pytam mamę wprost.

- Nie wiem, być może, w przeciwnym razie już dawno znalazłby pracę. Kto jak kto, ale on nigdy nie miał z tym problemu.

- Wygląda na to, że wakacje spędzimy u babci w Bronkach. - Próbuję jakoś rozładować sytuację, ale ja też chciałabym wiedzieć, na czym stoję. Co powie Julka, jeśli jej rodzice zgodzą się na szkołę językową w Londynie, a ja tam nie pojedę?

Mama długo nie odpowiada, tylko patrzy przed siebie pustym wzrokiem.

- Wiesz, co ci na to odpowiem?
- Czyli co?
- Chciałabyś pojechać do Bronek na wakacje?
- Mamo, tylko żartowałam!
- Ale w tej chwili to jest jedyna rzecz, której mogę być pewna.
- Teraz to ty żartujesz!
- Przecież możemy pojechać do dziadków na tydzień lub dwa, jak zawsze. Nawet powinniśmy ich odwiedzić.
- Wiem, że nie lubisz tam jeździć.
- Nie lubię tam wracać i wywoływać duchów przeszłości. Zawsze miałam wrażenie, że rodzice traktowali mnie trochę inaczej niż braci. Byłam dziewczyną i... Nie wiem, jak to powiedzieć, ale nigdy nie byli ze mnie zadowoleni. Na dodatek przez te włosy wyglądałam zupełnie inaczej niż wszyscy, jak jakiś podrzutek.
- Nikt w twojej rodzinie nie miał rudych włosów?
- Nie. Z tego powodu rodzice chyba się mnie trochę wstydzi, jakbym nie była ich dzieckiem.
- Na szczęście mamy takie same włosy i nie możesz zaprzeczyć, że jesteś moją mamą.
- To prawda, dziecino.

Mama siada obok mnie na sofie, obejmuje mnie i całuje po głowie. Obie z mamą mamy gęste, kasztanowe włosy, które

zwijają się w grube, sprężyste spirale. Z mamą łączy mnie nie tylko wygląd, mamy również podobne pasje, a mimo to żyjemy jakby w dwóch różnych światach.

*

W końcu mama nie kupiła biletów na samolot, a nawet zupełnie przestała mówić o wyjeździe za granicę. W rozmowach ostrożnie omijamy ten temat. Na wakacje zostaję w Krakowie, ale zapisałam się na warsztaty z rysunku, na które będę chodziła przez cały lipiec. W sierpniu moja grupa teatralna będzie się spotykać na próbach. Przygotowujemy spektakl na rozpoczęcie roku szkolnego. Pewnie też wyjadę na kilka dni do Bronek. Może tego po mnie nie widać, ale cieszę się. Nie okazuję tego zbyt, bo widzę, że mama jest zupełnie załamana faktem, że ojciec nie dotrzymał obietnicy.

Nowy rok szkolny

Dzwoni dzwonek, drzwi otwierają się z impetem i korytarz zapełnia się nastolatkami. Rok szkolny zaledwie się zaczął. Jest początek września. Gorąco. Na przerwach wybiegamy na zewnątrz. Na szkolnym dziedzińcu rosną stuletnie drzewa, przy alejkach kwiaty i trawa, która jest idealnie przystrzyżona o każdej porze roku. Wraz z Julką rzucamy plecaki na trawę i wciskamy się między rozłożone ciała.

- Całkiem jak na hiszpańskiej plaży - wzdycha z rozkoszą Julia.

Jest bosko. Rozłożysta gałąź klonu rzuca na nas przyjemny cień. Letni zefirek wprawia liście w delikatny taniec i chłodzi nas lekkimi podmuchami.

- Zobacz! Ile żółtych liści!

- Już wrzesień, żal, że lato odchodzi.

- Taki upał, że całkiem tego nie czuć.

Leżymy sobie na trawie, pszczoły brzęczą nam nad

głowami, skaczą po nas świerszcze i mrówki łażą po nogach. Poprzez żółknące liście wpatrujemy się w niebo i trochę sobie rozmyślamy. Myślę o tym, co się może w tym roku szkolnym zdarzyć. Zapisałam się na dodatkowy angielski, basen i oczywiście na kółko teatralne. Uwielbiam teatr i te emocje. Scena, na której dzieją się wielkie rzeczy. Świat wokół wydaje się taki zwyczajny, a my nakładamy czarne podkoszulki i długie szeleszczące spódnice albo owijamy się prześcieradłami i czarujemy. To absolutna magia. Ludzie patrzą jak urzeczeni, śmieją się, płaczą, klaszczą. Wyłuskujemy ich jak rodzinę z ciasta z ich szarego życia i chyba stają się przez to trochę lepsi, trochę bardziej wrażliwi. Dzięki teatrowi jeszcze bardziej zbliżyłyśmy się z Julką.

- Zostajesz na teatralne?

- Jasne. Dzisiaj jest przydział ról na przedstawienie „Romeo i Julia”, pamiętasz? Julia to moja imienniczka. Marzę o tym, żeby ją zagrać.

- Fajnie, że Bartek z Norbertem też się zapisali.

- Namawiałam Bartka od dawna.

- Serio?

Już na samą myśl o tym, że Julii też zależy na Bartku, serce zaczyna mi bić mocniej.

- Julia, wiem, że go lubisz, ale mam nadzieję, że nie pokłócimy się o chłopaka.

- Nie ma szans, mówiłam ci, jesteśmy tylko kumplami,

zresztą przyjaźń jest ważniejsza.

- Nawet niż miłość?

Czym jest prawdziwa miłość? Dobry Boże, tak bym chciała wiedzieć.

Brzęczy dzwonek i wszyscy podrywamy się z miejsc. No, nie wszyscy. Niektórym już się chyba zaczyna nudzić w szkole, chociaż rok szkolny nie zdążył się jeszcze na dobre rozpocząć. Teraz matma, moja pięta achillesowa, potem geografia, obiad, historia i ukochane zajęcia teatralne. Nie mogę się już doczekać.

Słyszę odgłos komórki. Zapomniałam ją wyłączyć. Całe szczęście, że nie weszłam jeszcze do klasy. Rzucam okiem na ekran telefonu. Mama? To musi być ważne. Nie dzwoniłaby w czasie lekcji bez powodu. Odbieram. Mama mówi coś nerwowo. Urywającymi zdaniami.

Niewiele z tego rozumiem. Musimy wyjechać? Nie rozumiem, co się stało, ale słowo „katastrofa”, które się wciąż powtarza, nie wróży nic dobrego. Mama szłocha do słuchawki.

- O co chodzi? Mamo?! Nic nie rozumiem! Za chwilę zacznę matkę, wiesz, że nie mogę się spóźnić. Porozmawiamy później.

- Jadę po ciebie. Zwolnię cię dziś z lekcji. Musimy pojechać do biura, załatwić formalności.

- Mam dzisiaj zajęcia teatralne.

- Zaraz tam będę, kochanie, wszystko ci wyjaśnię.

Cała mama. Jestem przyzwyczajona do jej emocjonalnej huśtawki. Od lat popada z depresji w depresję. Jakoś sobie z tym radzę. Chcę tylko jednego, żeby nie niszczyła tego, co sama z wysiłkiem buduję.

Siedzę na matmie jak na szpilkach, ale mama nie wywołuje mnie z klasy. Czeka na korytarzu do dzwonka. Potem od razu wsiadamy do samochodu.

- Wszystko załatwiłam z dyrektorką. Jutro przyjdiesz jeszcze się pożegnać i... będziesz musiała wyjechać.

- Co?! Co takiego?!

- Na jakiś czas pojedziesz do babci. Będiesz tam chodziła do szkoły. W domu wszystko ci wyjaśnię. Po prostu muszę cię stąd zabrać.

- Ale ja nic nie zrobiłam.

- Tu nie chodzi o ciebie.

- Jakaś wiejska szkółka?! Nie, nie możesz mi tego zrobić!

Nie jestem w stanie spokojnie rozmawiać, chociaż staram się panować nad nerwami.

- Na miłość boską, może wyjaśnisz mi, do cholery, co się dzieje?!

- Spokojnie, tylko bez wyrażania się.

- Nie mogę mówić spokojnie, kiedy za moimi plecami decydujesz o moim życiu. Nie zgadzam się. Rób, co chcesz,

nie zgadzam się.

Mama patrzy prosto przed siebie. Prowadzi samochód. Wściekam się i krzyczę, ale ona nie odpowiada na moje pytania. Dopiero w domu każe mi usiąść przy stole. Siada naprzeciwko. Splata nerwowo ręce i stara się wyjaśnić coś, czego nie będę w stanie pojąć chyba do końca życia.

- Dzwonił kolega taty. Tata miał wypadek, wszedł na ulicę na czerwonym świetle i potrącił go autobus.

- Miał wypadek!? Co z nim?

- Nic groźnego, ale ma złamaną nogę i nie może pracować. Muszę tam pojechać.

- A ja?

- Kochanie, nic ci o tym nie mówiłam, ale siedzimy w długach po uszy. Pożyczałam pieniądze, bo myślałam, że tata przyśle nam jak zwykle i wszystko oddam. Muszę znaleźć pracę, żebyśmy mogli w ogóle stanąć na nogi.

Patrzę na nią szeroko otwartymi oczami i czuję, że ogarnia mnie przerażenie.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś?! Nie musiałam chodzić na angielski ani na basen.

- To by nic nie zmieniło. Widzisz, świat dorosłych jest brutalny. Nikt nie zastanawia się, co z nami będzie. Nikogo to nie obchodzi. W tej sytuacji mieszkanie wynajmiemy agencji, a ty musisz na kilka tygodni wyjechać na wieś, do babci. Gdy tylko dostanę pracę, natychmiast przyślę ci bilet.

- Wyjeżdżasz do Londynu beze mnie?

- Tata wpakował nas w ogromne kłopoty. Muszę natychmiast wyjechać. Obie musimy niestety wyjechać.

- Ale ja nie chcę jechać do Bronek!

Mama mnie nie słucha, wychodzi do sypialni i zaczyna się pakować. No tak, chce się mnie zwyczajnie pozbyć. Jestem zupełnie zmrożona wiadomościami. Nie krzyczę, nie płaczę, nie wściekam się. Siadam na brzegu łóżka i siedzę nieporuszona przez godzinę albo dwie. Niczego już nie rozumiem. Cała ta sytuacja przerasta mnie i czuję, że ogarnia mnie jakaś wewnętrzna niemoc. Nie potrafię się poruszyć. Wszystko nagle straciło sens. Moja szkoła, przyjaciele, teatr.

Pożegnanie

Jest piątek rano. Pierwsza lekcja z Bielską, moją wychowawczynią. Przyniosłam jej bukiet kwiatów i czekoladki. Bielska prowadzi szkolne kółko teatralne. To moja ulubiona nauczycielka. Strasznie dużo jej zawdzięczam. Dostrzegła we mnie talent aktorski. Przed wakacjami powiedziała mi, że jestem jej odkryciem roku.

- Dziękuję za wszystko, za troskę, serce.

Nauczycielka też przygotowała dla mnie prezent. „Dramaty” Szekspira. Tylko się uśmiecham. Gorzko. Oni będą wystawiać jego sztuki w tym roku. A ja? Co mam powiedzieć? Mam oczy pełne łez.

- No cóż, Olu, przykro nam, że nas opuszczasz, ale takie jest życie. Nieprzewidywalne. Masz wielkie serce i jego głos niech cię zawsze prowadzi. Jeśli kochamy innych, nie musimy się niczego lękać ani obawiać.

- Dziękuję, bardzo dziękuję.

Głos mi się łamie, ale klasa mi pomaga. Wszyscy wstają. Podchodzi do mnie Julka z białym misiem i potrząsa kartką.

Kartka jest z błyszczącego papieru. Mieni się różnymi odcieniami barw. Srebrny, niebieski, czerwony. W środku krótki tekst i podpisy całej klasy. Miłe. Julka mówi coś długo, życzy mi wszystkiego dobrego.

- To dla ciebie, kiedy do nas zatęsknisz, przytul misia i po prostu się uśmiechnij. Tutaj wszyscy się podpisaliśmy i każdy napisał coś od siebie.

W końcu obejmuje mnie i obie się rozklejamy.

*

Mama przyniosła z piwnicy walizki i próbuje się pakować. Wciąż chodzi po domu tam i z powrotem, a ja chodzę za nią i próbuję do niej jakoś przemówić.

- Co ja tam będę robić? Zanudzę się na śmierć.

- Będiesz chodzić do szkoły i uczyć się. Znasz Bronki, byłaś tam wiele razy.

- Tak, ale to były tylko wakacje. Wiesz, że po dwóch tygodniach już umierałam z nudów i byłam szczęśliwa, że wracam do Krakowa. W całej wsi jest jeden sklep i tylko psy wyją wieczorami do księżycy.

- Zrozum, że dla mnie to też nie jest łatwe. Przyzwyczaiałam się, że ojciec zawsze się o wszystko troszczył. Nie musiałam się o nic martwić. Wybrał dla ciebie najlepszą szkołę, sama przyznaj. Wakacje za granicą, nie mówiąc już o innych wyjazdach.

- Tata musi być załamany.

- Na pewno, kochanie.

- Naprawdę nie mogę z tobą jechać? Jestem już prawie dorosła. Nie musisz mnie pilnować. Sama się sobą zajmę, tylko zabierz mnie ze sobą.

Mama milczy. Czuję, że podjęła już decyzję. Nie mam pojęcia, czym się kierowała. Mam wrażenie, że jest jeszcze coś, o czym nie chce mi powiedzieć.

- Dzwoniłam do dyrektorki tej szkoły w Dąbrowie. Nie ma żadnych problemów. To jest dobra szkoła. Małe klasy, cisza i spokój na lekcjach. Mam niemały sentyment do tamtego miejsca. Niby wszystko się pozmieniało, ale to moja szkoła. Większość nauczycieli jest nowa, ale zobaczysz, spodoba ci się.

Mama mówi to jakoś cicho, bez przekonania. Widzi zresztą, że mnie nie przekona. Jeśli muszę, to muszę. Zrobię to, ale niech nie oczekuje ode mnie, że kiedykolwiek to zaakceptuję. Wszystko jest załatwione. Nieodwołalnie. Mój świat się rozpada, a ja nic nie mogę na to poradzić. Nic ode mnie nie zależy. Nikt mnie nie słucha.

Widzę po mamie, że też się całkiem rozleciała. Na dodatek ona zawsze miała słabe nerwy. Widzę, że już zupełnie nie myśli. Chodzi po domu bez sensu. Zagląda do szafy, do lodówki, do łazienki. Jakby chciała coś zrobić, zapomniała i nie mogła sobie przypomnieć. Na podłodze leżą rozrzucone ubrania. Trzeba się pakować, ale żadna z nas nie ma na to siły. Idę do siebie. Widzę, że dalsza rozmowa nie ma najmniejszego sensu.

Wyjazd

Siedzę sobie i gryzmołę coś w tym zeszycie. Mam go już nie wiem od kiedy. Kiedyś kupiłam go w jakimś supermarkecie. Nie jest przydatny do szkoły. Zbyt gruby na zeszyt przedmiotowy. Spodobała mi się jego okładka. Jedna biała koniczynka na ciemnoniebieskim tle. Ten dziwny kolor chyba nazywa się błękit paryski. Kilka lat temu byłam z rodzicami w Paryżu, ale nie przypominam sobie koloru nieba. Byliśmy tam w lutym. Pamiętam Łuk Triumfalny, Luwr, złote ramy obrazu Mony Lisy i szare kurtki turystów. Połączane mosty (tak mi się wydaje) i betonowy deptak nad Sekwaną, nad którą pochylały się żółte gałązki płaczących wierzb. Wydaje mi się, że były żółte. Rzeka przelewała się na deptak i brodziłam w tej wodzie. Pamiętam cytrynowe, wiosenne słońce, ale nieba nie pamiętam.

Za to pamiętam niebo na wsi u mojej babci. Gdy tam jesteśmy, czasami wychodzę w pole, kładę się na ziemi i wpatruję w otwartą otchłań nade mną. Patrzę w głąb nieba i czuję, że ono wisi tuż nad moją głową. Czyste, bez żadnej chmurki. Wpatruję się w głąb tego błękitu. Niebieską

bezkresną dal. Patrzę coraz głębiej i głębiej, aż nagle wydaje mi się, że ono spada mi na głowę. Wali się ten błękit i jestem cała w niebie, i nie wiem już, czy to ono wisi nade mną, czy ja jestem w nim zanurzona. I wydaje mi się, że za chwilę oderwę się od ziemi i odleczę. Kręci mi się od tego w głowie. Zupełne szaleństwo. Żeby złapać równowagę, zamykam oczy.

Noszę przy sobie ten zeszyt. Szkicuję w nim i zapisuję różne rzeczy. Najczęściej wiersze, czasem listy, których nigdy nie wysyłam, albo jakieś opowiadania. Jest mi to potrzebne. Teraz też go zabieram. Wyjeżdżam do babci, chociaż to wcale nie są wakacje, ale początek roku szkolnego. W przedpokoju stoją spakowane, równo ustawione walizki. Poza tym wszystko jest wywrócone do góry nogami. Mama pociąga nosem. Na podłodze leżą jakieś swetry i ręczniki. Nikt tego nie podnosi. Kopię ze złością swoją książkę, która - nie wiem czemu - leży na podłodze i się o nią potykam, ale nie mam siły jej podnieść. Jestem zła, potwornie zła, chce mi się kłąć i robię to co chwila. A mama nawet nie reaguje.

- Pospiesz się, Olu - słyszę jej łagodny głos.

Nic nie rozumiem. Ona mówi to tak zwyczajnie, jakbym wyjeżdżała na tydzień nad morze albo jakby wysyłała mnie gdzieś na obóz harcerski.

- Już idę - staram się odpowiedzieć równie spokojnie.

Zaciskam zęby, żeby się nie rozplakać. Chcę już tylko jednego. Jedź sobie, gdzie chcesz, tylko wreszcie zostaw mnie już samą. Chcę mieć wreszcie święty spokój.

Dobrze, mogę jechać na tę wiochę, jeśli tak bardzo jej przeszkadzam. Narzucam na ramię plecak i jazda. Nie wiem, co tam upchałam. Ważne, że mam swój zeszyt. Muszę go ze sobą zabrać. To wszystko. Resztę rzeczy matka spakowała w walizki.

Rozglądam się jeszcze raz po swoim pokoju. Na półce miśki. Rozmawiałam z nimi i spałam, kiedy byłam mała. Zawsze bałam się ciemności i samotności. Tak to już jest, gdy się nie ma rodzeństwa. Człowiek zawsze jest sam. Teraz rodzice będą mieć jakieś inne życie daleko ode mnie. Zostawiają mnie u babci jak zwierzaka, którego nie można zabrać w podróż i nie wiadomo, co z nim zrobić. A zresztą, czego ja się czepiam? Powinnam już iść. Jeszcze raz sprawdzam plecak. Mam swój niebieski zeszyt. Na ziemi leży miś, którego dostałam od klasy na pożegnanie, ale nie mam siły schylić się po niego.

- Sprawdź, czy wszystko zabrałaś!

- Już idę.

Schodzę spokojnie na dół, choć czuję, że ziemia zapada mi się pod stopami. Dziwię się, że te schody tak zwyczajnie nie runą w przepaść. Bez słowa wychodzę przed blok i wsiadam do samochodu. Mama jest chyba przygotowana na jakąś mowę pożegnalną, ale sama nie wie, co powiedzieć. Instynktownie odkładamy tę ceremonię na później. Dworzec to odpowiednie miejsce na pożegnania.

Pierwszy dzień w nowej szkole

Płaski, dwupiętrowy prostokąt. Spodziewałam się, że budynek szkolny właśnie tak będzie wyglądał. Szary, popękany tynk i cztery rzędy okien. Wokół mało zagospodarowany teren. Przekrzywione bramki na boisku szkolnym. Zardzewiałe huśtawki. Nierówny chodnik. Za to dużo przestrzeni. Wokół szkoły ogromny ogród, sad i łąka. Po jednej stronie rosną drzewa owocowe, po drugiej warzywa. Mnóstwo miejsca do biegania i zabawy. Raj na ziemi.

Niestety w sąsiedztwie szkoły jest farma. Dławi mnie smród zwierzęcych odchodów. Uświadamiam sobie, że jestem na wsi. Teraz to będzie moja szkoła. Zanim wejdę do środka, obmyślam już plan ucieczki. Mam przecież trochę pieniędzy. Pojadę autobusem, zadzwonię do mamy, że jestem w Londynie, i postawię ją przed faktem dokonanym. Jakoś sobie poradzę, nie jestem dzieckiem.

Zaczynam lekcje w sali nr 19. Wszystko jest na planie. Mam też informację na karteczce, żeby się zgłosić

w sekretariacie. Jest trochę zamieszania. Sekretarka rozmawia z dyrektorką, potem każą mi czekać na korytarzu. W końcu przychodzi moja nowa wychowawczyni. Z wyglądu przypomina jastrzębia. Ma cienki długi nos i wąskie usta. W szczupłych dłoniach trzyma dziennik lekcyjny. Uśmiecha się i widzę rząd drobnych zębów jak u dziecka. Te zęby nie wyglądają groźnie. Trochę wcześniej słyszałam dzwonek. Lekcje już się zaczęły. Idziemy pustym korytarzem. Mam ochotę zatrzymać ją i powiedzieć, jak bardzo się boję wejść do tej klasy. Wszyscy będą na mnie patrzeć, a mnie jak na złość przez noc wysypał trądzik. Jakby nie wystarczył mi nos obsypany piegami wielkości naturalnego pieprzu. Mam wielką czerwoną krostę na policzku. Rozpuściłam włosy, żeby zasłonić twarz, ale zawsze, gdy to robię, tracę nad nimi kontrolę. Wyglądam jak płacząca wierzba albo raczej jak pies rasy puli.

Jest lekcja matematyki. Tablica zapisana jest wzorami. To chyba coś, czego jeszcze nie miałam. Mimowolnie zagryzam wargi. Nauczycielka przedstawia mnie klasie, potem coś mówi. Patrzą na nich, a oni na mnie. Trzymam w ręku plecak i nagle mam straszną ochotę zasłonić sobie nim twarz. Czuję, że się rumienię, moje piegi ciemnieją, a czerwona krostka na policzku robi się purpurowa. Muszę wyglądać koszmarnie. Mimo to widzę, że jakaś dziewczyna z pierwszej ławki uśmiecha się do mnie. Nauczycielka też się uśmiecha. Cała ta sytuacja wydaje mi się nierealna. Oni są jakby za jakimś szklanym ekranem, w zupełnie innym filmie. Jakby byli w innej podróży, z innego świata. Co ja tu robię? Dlaczego

muszę tu być? Dlaczego muszę pakować się w ten ich pyzaty, sielankowy świat z uśmiechniętymi buziami. Zupełnie nie mam ochoty się uśmiechać. Są dla mnie złem koniecznym.

- To jest Ola - nauczycielka zwraca się w stronę klasy - będzie waszą nową koleżanką. Ola przyjechała do nas z Krakowa. Mam nadzieję, że pomożecie się jej wśród nas zadomowić.

Z ostatnich ławek rozlega się jakiś pomruk. Wychowawczyni gromi wzrokiem siedzących tam chłopców. Sadza mnie obok bardzo grubej dziewczyny, która siedzi sama, i wychodzi. Nawet na nią nie patrzę. Wbijam wzrok w pulpit i pochylam głowę. Włosy zasłaniają mi twarz.

Wciąż ktoś odwraca głowę i rzuca mi ciekawskie spojrzenie. Przyglądam im się ukradkiem. Dziewczyny mają proste, długie włosy. Prawie wszyscy, oprócz mojej sąsiadki, są szczupli i całkiem zwyczajni. Klasa jest dość mała. Trochę jak w mojej starej szkole. Jest ich chyba nawet mniej. Może dwudziestu. Musiałabym policzyć.

Kiedy nauczycielka odwraca się w stronę tablicy, ktoś celuje we mnie kulką papieru. Zupełnie się tego nie spodziewam i nie uchylam na czas. Po chwili przelatuje mi nad głową papierowy samolocik. Teraz dostrzegam wysokiego chłopaka z trzeciej ławki, który rzuca we mnie kawałkiem gumki. W tej samej chwili siedzący przede mną chłopak ciska w niego plastikową nasadką od długopisu. Niestety nauczycielka właśnie odwraca głowę.

- Mateusz, co się tu dzieje?

- To nie ja, to Damian - protestuje chłopak.
- Przecież widzę. Proszę natychmiast pozbierać te papierki.
- Ale, proszę pani...
- Żadnego „ale”. Proszę to wszystko pozbierać i wyrzucić do kosza - nakazuje stanowczym głosem nauczycielka.

Mateusz spogląda z wściekłością na Damiana i na klasę. Nikt go nie broni. Pod presją surowego wzroku nauczycielki zbiera śmieci. Potem siada nachmurzony i spuszcza głowę.

- Taki niegrzeczny chłopiec, oj, nieładnie - ktoś komentuje z ironią.

Z tyłu rozlega się tłumiony chichot.

- Jeszcze się policzymy - odcina się Mateusz.
- Spokój tam!

W grupie chłopaków siedzących blisko Damiana znów słyhać śmiech. Mój obrońca nie reaguje, chociaż widzę, że walczy ze sobą, żeby nie wybuchnąć. Ignoruje wszystkich i na pozór spokojnie przepisuje z tablicy działania. Mam ochotę mu podziękować, ale nie wiem, czy zrobił to w mojej obronie czy też dlatego, że samolocik przeleciał także nad jego głową. Nie znam go i w ogóle nie chce mi się nikogo poznawać. Wyglądają na normalnych, trochę zwariowanych nastolatków. W moim życiu nic nie jest normalne. Nikt by mnie nie zrozumiał.

Po lekcjach wszyscy czekamy na autobusy. Przyjeżdżają

trzy. Mają jakieś tabliczki, ale te nazwy nic mi nie mówią. Inni wiedzą, do których autobusów wsiadać, ale ja czuję się totalnie zagubiona. Stoję z boku i rozglądam się na wszystkie strony, jakby nagle miało mnie olśnić, co powinnam zrobić.

- Olu, ten pierwszy jest twój. - Słyszę jakiś głos za plecami. Odwracam się i widzę uśmiechniętą twarz nauczycielki. Staram się sobie przypomnieć, czego mnie uczy. Chyba ją pamiętam. Musi mieć dyżur przy odwozach.

Wsiadam szybko do autobusu i przez okno szukam wzrokiem nauczycielki. Wciąż czuję w sercu promyk ciepła, który mnie dotknął. Widzę ją, ale nauczycielka nie patrzy w moją stronę. Trzyma za rękę jakiegoś malucha i prowadzi go do autobusu.

Gościnny pokój

W domu babcia karmi mnie jakimś tłustym rosołem, trochę rozmawiamy i pod pretekstem, że mam dużo lekcji, idę do siebie. Dostałam gościnny pokój po przeciwnej stronie korytarza niż reszta domu. Są w nim trzy okna, z których dwa wychodzą na ogród. Jest to ogromny i trochę tajemniczy salon. Ma swoją historię. Stoi tu bardzo stary dębowy kredens, który prababcia dostała w posagu. Czas musiał odcisnąć na nim swoje piętno, więc ktoś pomalował go na czerwono. Gdyby był mój, zdarłabym tę farbę i zostawiłabym naturalny kolor drewna. Wymieniłabym też zamki. Stare już nie trzymają, a drzwiczki do szafek otwierają się z okropnym skrzypieniem w najbardziej nieoczekiwanym momencie.

Właśnie tak, jak przed chwilą. Na początku usłyszałam cichutki trzask, a teraz słysząc jakby przeciągły jęk i powoli uchylają się drzwiczki w górnej części kredensu. Nasłuchuję. Nic się nie dzieje. Nikogo tu nie ma, ale coś mnie niepokoi. Tak bym chciała, żeby była tu teraz mama lub chociaż tata. Jestem już trochę za duża, aby biec do nich, jak wtedy, gdy miałam kilka lat, ale gdybym im powiedziała, że się boję, na

pewno by zrozumieli. Gdzie oni teraz są? Co się dzieje z tatą? Dlaczego mama musiała mnie tu zostawić? Na pewno musiała. W przeciwnym razie nigdy, przenigdy by tego nie zrobiła.

Przyjechałam tu w niedzielę. Mama odwiozła mnie na pociąg. Ucałowała na do widzenia i odjechałyśmy, każda w swoją stronę. Nie wiem, co myśleć. Jasne, że jest mi jej żal. Mama płakała. Co ja mogę na to poradzić? Też mogłabym się użalać nad sobą, ale nie jestem już dzieckiem. Mam czternaście lat. Staram się przynajmniej jej nie osądzać.

Wczoraj usłyszałam przez przypadek, jak dziadek powiedział, że mama podrzuciła mnie jak kukułka. Babcia chodzi rozdrażniona, odkąd przyjechałam. Nie mam zamiaru w niczym pomagać. To nie moja wina. Jasne?! Nie moja wina! Skoro babcia tak wychowała moją mamę, że mogła mnie zostawić, to niech ma za swoje. Siedzę w swoim pokoju i nic mnie to nie obchodzi. Gdyby babcia się nie zgodziła, że mogę u nich zamieszkać, być może mama zabrałaby mnie ze sobą.

Nastawiam budzik, zamykam oczy i próbuję zasnąć. Kiedyś zawsze budziła mnie mama. Wchodziła na palcach do pokoju i leciutko dotykała mojego ramienia. Teraz muszę dbać o siebie sama. Słyszę w kuchni krzątanie babci. Człapie w swoich rozdeptanych kapciach. Mówi, że nie może spać po nocach. Męczą ją nogi, kręgosłup, serce i... Łatwiej byłoby wymienić części ciała, które jej nie dokuczają. Taka po prostu jest starość. Przeróżające. Na szczęście nie muszę się

jeszcze o to martwić. Mam teraz co innego na głowie.

Rozmowa telefoniczna

- **N**o i jak tam w szkole, Olu? Opowiadaj.
- Musisz mnie stąd zabrać albo sama ucieknę.
- Bądź rozsądna, skarbie! To tylko na jakiś czas.
- Czy ty wiesz, gdzie mnie wysłałaś?! Nauczyciele wciąż się wydzierają. Woźna na wszystkich dosłownie wrzeszczy. Nikt się do mnie nie odzywa. Obok szkoły ktoś hoduje świnie. Czasem tak śmierdzi, że można zemdleć!
 - To jeszcze nie zlikwidowali tej chlewni?! Tak było i za moich czasów, ale jakoś nikt od tego nie umarł.
 - Żartujesz sobie, a mnie wcale nie jest do śmiechu.
 - Olu, dziecko, to tylko pierwszy tydzień. Przyzwyczaisz się. Poznasz kolegów. Jestem pewna, że ich polubisz.
- Widzę, że rozmowa z mamą nie ma najmniejszego sensu. Ona wszystko wie lepiej.
- Co tam u was? Jak się czuje tata?
- Lepiej, ale jest całkiem uziemiony. Szukam pracy.

W hotelu będą potrzebować recepcjonisty. Może się uda. Kazali mi przyjść za dwa tygodnie.

- Wtedy mnie zabierzesz?

- No wiesz... Tata...

W słuchawce zapada cisza na dłuższą chwilę.

- No co tam tata? Nie słyszę. Mamo, coś się dzieje z telefonem.

- Do usłyszenia, córeczko. Zadzwoń później.

Z kuchni dobiegają jakieś odgłosy. Dziadek z babcią rozmawiają dość głośno, jakby się kłócili. Oddziela nas jednak korytarz i zupełnie nie wiem, o co chodzi. Zresztą nie mam zwyczaju podsłuchiwać. Siadam na łóżku i wydaję niebieski zeszyt.

Mała Księżniczka cd.

Minął rok, a król nie wracał. W pałacu szeptem wymawiano jego imię. Ale nawet szepty milkły, gdy wchodziła księżniczka. Nie rozumiała dlaczego. Zupełnie nic nie rozumiała. Zadawała czasem pytania, lecz wszyscy odpowiadali jej wzruszeniem ramion i szybko zmieniali temat. Miała wrażenie, że wiedzą o czymś, czego nie wie tylko ona. Pocieszające było przeświadczenie, że ojciec żyje. W przeciwnym razie urządzono by mu pogrzeb i nie dałoby się tego ukryć przed jego jedyną córką. Co w takim razie mogło się stać? Mała księżniczka dręczyła się pytaniami, na które nie znajdowała odpowiedzi. Gdzie był, dokąd zmierzał, jakie nękały go trudności, które nie pozwalały wrócić do domu?

Codziennie pokonywała kilkaset schodków, aby wspiąć się na zamkową wieżę, skąd rozciągał się widok na całą okolice, aż po krańce nieboskłonu. Wpatrywała się w miejsce, gdzie ziemia stykała się z niebem, i czekała. Czasem widać było wyraźnie linię dzielącą ciemnozielony las, porastający górskie szczyty, od płaszcza błękitu. Innym razem linia

horyzontu rozmywała się w mlecznoszarej mgle i trudno było powiedzieć, gdzie zaczyna, a gdzie kończy się niebo. Całymi dniami wpatrywała się w dal, aż oczy poszarzały jej ze smutku, a w kącikach ust pojawił się, obcy dziecięcej twarzy, cień. Czekwała. Jej czułe dziecięce serduszko nie mogło pogodzić się z myślą, że już nigdy ojciec nie przytuli jej do serca, nie nazwie jej swoją Białą Koniczynką i nie powie jej, że kocha ją bardziej niż całe swoje królestwo.

Minęło lato, jesień i zima ośnieżyła wzgórza w oddali. Mimo mrozu księżniczka, otulona w białe futerko, podchodziła do zamkowej bramy i przez kraty wpatrywała się w rozjeżdżony saniami trakt. Marzyła, że Święty Mikołaj przywiezie go w wigilijny wieczór, ale niestety na próżno.

Wraz z nastaniem wiosny postanowiła sama wyruszyć na poszukiwanie ojca.

Szkolny autobus

Noszę szkolny mundurek, którym jest niebieska dżinsowa koszula z żółtym nadrukiem w kształcie szkolnej tarczy na rękawie. Jest okropny, przypomina więzienny uniform, ale ma jedną zaletę. Jestem w nim niewidoczna, zlewam się z tłumem. Jakbym założyła czapkę niewidkę. Niczego bardziej nie pragnę, jak tylko ukryć się w tłumie. Siadam z tyłu i staram się schować za czyimiś plecami. Teraz, kiedy przyglądam się im bliżej, zazdroszczę im. W domu czekają na nich rodzice. Każdy z nich ma rodzeństwo, a do tego kilka kotów i psów. Po lekcjach czekam na szkolny autobus. Pada drobna mżawka, ale nie chowam się pod dachem. Zaczynam już drzeć z zimna, kiedy wreszcie dostrzegam nadjeżdżające autobusy.

Dzieci w różnym wieku, z podstawówki i gimnazjum, wsiadają do pojazdu z tabliczką „Brzeźno”. Już wiem, że ten jedzie przez Bronki Dolne. Tam mieszka moja babcia. Przechodzę na koniec autobusu. Wcześniej wszystkie miejsca są pozajmowane, a nawet jeśli nikt tam chwilowo nie siedzi, to rzucony na siedzenie plecak oznacza, że zaraz ktoś

przyjdzie.

Gdzieś z tyłu siedzi chłopak z mojej klasy. Obok niego jest puste miejsce.

Zastanawiam się, co zrobić. Na wszelki wypadek się zatrzymuję.

- Wolne?

Chłopak potakuje i przygląda mi się z dziwnym grymasem na twarzy. Nie wiem, o co chodzi.

Siadam ostrożnie na brzegu, bo on zajmuje trochę mojego siedzenia. Jest duży.

- Patrzcie, Ben znalazł sobie żonę! - ktoś krzyczy.

Udaję, że nic mnie to nie obchodzi. Ben patrzy w okno. Robię to samo. Po szybach spływają jeszcze strużki deszczu, choć przestało już padać. W powietrzu czuć zapach kartofliska i mokrej trawy, który przenika do wnętrza autobusu.

Śledzę przedziwne kształty chmur prześwietlone słońcem. Na ich tle widzę tęczę rozpiętą nad całym horyzontem. To dobry znak. Może wszystko się jeszcze poukłada. Chciałabym namalować to niebo. I jeszcze bocianie gniazdo i kilka starych, drewnianych chałup. Trzeba przyznać, że jesienią jest tu naprawdę ładnie.

Ben

Nuda. Na przerwie siadam pod ścianą, zresztą jak zwykle. Rzucam plecak obok i wyjmuję komórkę. Piszę wiadomość do Julki. Jacyś chłopcy spoglądają w moją stronę, jakby mieli ochotę mnie zaczepić, ale na dyżurze jest nauczycielka od matmy, z którą nikt nie chce zadzierać. Spoglądają w moją stronę z zainteresowaniem, ale po chwili zapominają o mnie. Kopia małą, plastikową piłeczkę pingpongową. Dyżurująca nauczycielka obrzuca ich surowym wzrokiem, ale nie ingeruje. Przechodzi dalej.

Dziewczyny siedzą na ziemi w dużym kole i opowiadają sobie jakieś historie, które wydarzyły się na lekcjach, naśladują nauczycieli i śmieją się głośno.

Wzdycham głęboko i dalej piszę wiadomość do Julki: „Nie wiem, jak długo tu jeszcze wytrzymam. Nie wiem, co mam robić. Zupełnie nie ma tu nikogo, z kim można by po prostu pogadać. Nie dam rady. Jeśli to potrwa dłużej, ucieknę stąd”. Naciskam „wyślij” i czekam na odpowiedź, ale Julka milczy, pewnie też jest zajęta ploteczkami.

Nieopodal dostrzegam tego chłopaka z autobusu. Ma na imię Ben. Zapamiętałam, bo to całkiem fajne imię. Siedzi pod ścianą, spuścił głowę i gra w jakąś grę na komórce. Ben nosi długie włosy. Musi wysłuchiwać komentarzy na ten temat, ale nic sobie z tego nie robi.

Dzwonek wyrywa mnie z zamyślenia. Wszyscy ustawiają się pod salą od angielskiego. Czekamy w nieskończoność. Nauczycielka się spóźnia. Wszyscy się przekrzykują. Chłopcy biegają po opustoszałym korytarzu. Denerwuję się. Chciałabym już siedzieć w ławce. Rozłożyć książkę i schować w nią głowę.

Nagle podchodzi Ben i chociaż, mam wrażenie, jest mu jakoś niezręcznie, zaczyna rozmowę.

- Cześć. Siedziałaś dziś obok mnie w autobusie.
- Tak, a o co chodzi?
- Nic takiego. Po prostu też jestem tu nowy.
- Nowy?
- Trochę niezupełnie, powtarzam klasę.
- Dlaczego?
- Dużo lekcji opuściłem. Nie wiedziałem, że aż tak dużo.

Ben patrzy na mnie niepewnie. Włosy opadają mu na twarz. Gdy wchodzi do oczu, odrzuca je do tyłu szybkim, nerwowym ruchem głowy.

Nagle dostrzegam, że jego oczy uśmiechają się do mnie. Robi mi się cieplej od tego spojrzenia i czuję, że jakoś

przetrywam dzisiaj lekcje.

Burza

Znam już większość uczniów z imienia i nazwiska. Jest nas w klasie tylko dwudziestu trzech. Mama miała rację, że klasy są małe, ale sporo się myliła, mówiąc, że jest jak w prywatnej szkole. Takiego zachowania nikt by tam nie tolerował. W ogóle niczego takiego sobie nawet nie wyobrażam. Jest jeden taki duży, krótko ostrzyżony chłopak. Ma na imię Emil. Wczoraj popchnął na schodach Andrzeja. To najniższy chłopak w klasie. Ten spadł i złamał rękę.

Byłam przy tym, więc nie wytrzymałam.

- Dlaczego go popchnąłeś?!
- Chrzań się! - Pochylił się nade mną i klepnął mnie po tyłku.
- Łapy przy sobie!
- Ruda złośnica - wycedził, mrużąc szyderczo oczy, i oblizał się z kpiącym uśmiechem.
- Jesteś obrzydliwy!
- Spadaj stąd, zanim sam ci w tym pomogę! - ryknął mi

prosto w twarz.

Myśli, że nic mu nie zrobią, bo nikt tego nie widział. Na schodach nie ma dyżurów. Ta gruba dziewczyna, obok której wychowawczynie posadziła mnie pierwszego dnia, ma na imię Zosia. Ona jest naprawdę gruba. Z tego powodu nie ma łatwego życia w klasie. Emil ze swoją bandą, to znaczy z Damianem i Hubertem, nie dają jej spokoju. Zosia jest zawsze zasapana, spocona i zła na cały świat. Na przerwach stoi sama. Z nikim nie rozmawia. Gapi się w zeszyt albo je kanapkę. Emil, chociaż sam jest gruby, dokucza jej chyba najbardziej.

Jemu nikt nie ośmieli się zwrócić uwagi. Wszyscy wolą zejść mu z drogi.

Najlepiej uczy się Marta. Jest zdolna i pracowita. Na przerwach siedzi z nosem w książkach. Mateusz jest bystry i chociaż nazywają go kujonem, to się chyba za bardzo nie przykłada do nauki. Raczej nadrabia wrodzoną inteligencją.

Lidia jest bardzo ładna. Może nawet najładniejsza w klasie. Ma taką gładką cerę. Ani śladu pryszczu. Jakby nie była nastolatką. Trzyma się z Aśką. Noszą długie, rozpuszczone włosy. Inne dziewczyny też mają długie włosy, ale są jakieś ciche i bezbarwne. Nieśmiałe. Nigdy nie zgłaszają się do odpowiedzi. Mówią coś tylko wtedy, gdy są zapytane.

Po lekcjach wsiadamy do szkolnych autobusów, które odwożą nas do domów. Koniec września jest upalny i suchy. Temperatury w dzień powyżej dwudziestu stopni. Skręcamy

na piaszczystą drogę. Do Broniek nie doprowadzili jeszcze asfaltu. Za nami unosi się chmura kurzu. Jest duszno. Moje ubranie klei się od potu. Dzieciaki wyglądają na ospałe i zmęczone.

Siedzą cicho i spokojnie.

- Bronki Dolne! Nie spać tam, nie spać! - woła kierowca. Z ulgą opuszczam autobus. Babcia czeka z obiadem, ale nie jestem głodna, raczej zmęczona. Babcia jednak wciska we mnie talerz grochówki.

- A teraz idź do siebie i prześpij się godzinkę. Taka duchota, że człowiek o mało nie padnie jak mucha.

Kładę się na łóżko w ubraniu i niemal natychmiast zasypiam. Budzę się w środku nocy. Ściągam dzinsy i nakładam cienką podkoszulkę. Wydaje mi się, że ktoś stuka do okna. Mrużę i otwieram szeroko oczy, aby coś dostrzec w ciemnościach. Nagle całe niebo przecina w pół potężna błyskawica i na moment ogród rozświetla fioletowa poświata. Dostrzegam, że drzewa uginają się od wiatru, a gałęzie fruują we wszystkie strony. Po chwili rozlega się dudnienie gromu. Jednym szarpnięciem zaciągam zasłony i uciekam do łóżka. Naciągam kołdrę na głowę. Słyszę odgłosy piorunów coraz bliżej. Deszcz stuka o szyby i słychać głośnie walenie o dach, jakby jakiś konar uderzał o dachówki, a może grad... Może to szamoce się jakieś zwierzę albo człowiek szuka schronienia. Nie mam pojęcia. Boję się wysunąć głowę spod kołdry. Znowu słyszę grzmot piorunu, który uderza gdzieś blisko domu, w tej samej chwili drzwiczki kredensu otwierają

się z przeraźliwym, przeciągłym jękiem. Wydaje mi się, że ktoś szybko przebiegł po dachu. Słyszę wyraźnie kroki, które zbliżają się do mojego łóżka. Z przerażeniem otwieram szeroko oczy i wpatruję się w ciemność. Przez ułamek sekundy w świetle błyskawicy dostrzegam jakąś twarz. Spogląda na mnie błękitnymi oczami i znika.

Umieram ze strachu. Otulam się szczelnie kołdrą i zaciskam powieki aż do bólu. – Mamo, mamó – powtarzam i czuję, że samo wymawianie tego słowa uspokoja mnie i wycisza. Pozostaje mi w oczach tylko mała niebieska kropeczka, która nagle rośnie do ogromnych rozmiarów, to znowu kurczy się do wielkości główki od szpilki. Wpatruję się w nią i nie myślę już o niczym. Niech się dzieje, co chce. Powoli się wyciszam. Jakoś w końcu zasypiam.

Ranek budzi się jasny i łagodny, jakby w ogóle nie było nawałnicy. Siadam na łóżku i rozglądam się po pokoju. Drzwi od kredensu są rzeczywiście szeroko otwarte. Zasycha mi w gardle. Coś niepokoi mnie w tej antycznej szafie. Podchodzę i zamykam ostrożnie drzwiczki.

Tym razem nie skrzypią.

Między oknem i szafą wisi portret stryjecznej babki. Niby był tu od zawsze, ale jakoś wcześniej nie zwróciłam na niego większej uwagi. Kobieta na portrecie ma jasne włosy i wydaje się, że spogląda na mnie łagodnie i uśmiecha się.

Sprawy w szkole przybierają zły obrót

Rozglądam się ukradkiem po klasie. W pierwszej ławce siedzi Mateusz i pisze coś w pośpiechu. Co jakiś czas podnosi głowę i zastanawia się nad czymś. Gryzie nerwowo długopis, ale po chwili znów pochyla się nad kartką. Jest totalnie zatopiony w swojej pracy, jakby zapomniał o całym świecie. Nawet nie pomyśli, że siedzę tu bezradna i nie mam zielonego pojęcia, co mam zrobić z tymi zadaniami. Boję się powiedzieć nauczycielce, że jeszcze nie uzupełniłam materiału, bo zupełnie nie potrafię się zabrać do nauki.

Nauczycielka przechadza się środkiem klasy. Wsłuchuję się, jak ostrożnie stawia kroki, aby nam nie przeszkadzać, jednak dostaję gęsiej skórki, gdy słyszę odgłos jej szpilek tuż za plecami.

- Damian, nie oglądaj się, bo zaraz zakończysz swój sprawdzian.

- Ale ja nic nie robię, tylko on mnie szturcha.

- Już ani słowa! Każdy pisze.

Znów cisza, tylko słyhać szelest kartek i ciche

westchnienia. Zastanawiam się, co się ze mną dzieje. Co prawda nigdy nie lubiłam matmy, ale w Krakowie jakoś sobie radziłam, a teraz patrzę na te zadania jak na jakiś szyfr, do którego nie znam kodu i nie mam pojęcia, skąd mam go wziąć.

Chłopak z tyłu próbuje otworzyć zeszyt pod ławką, ale nauczycielka jest bezlitosna.

- Oddaj mi to, Wojtek, jedynka bez możliwości poprawiania. Trzeba było pouczyć się w domu. Na wszystko macie czas, tylko nie na naukę.

- Chciałem tylko sprawdzić.

- „Chciałem, chciałem”... Zawsze macie tysiąc wymówek.

Ben nie przyszedł. On się nie przejmuje. Pewnie teraz jeszcze śpi.

Nareszcie dzwonek. Oddaję pustą kartkę i wybiegam z klasy. Nie napisałam. No i co z tego? Jakoś to poprawię, kiedyś poprawię. Najgorsze, że czuję się najgłupsza ze wszystkich. Boję się, że nie dam rady. A z drugiej strony mam już tego dość. Potrzebuję jakichś korków z matmy i wszystko będzie okay, ale gdzie na tej wsi kogoś znajdę, bo do naszej wiedzmy na pewno się nie zwrócę o pomoc.

*

Boję się iść dzisiaj do szkoły. Boję się matmy. Nauczycielka przyniesie klasówki i dostanę jedynkę, bo kompletnie nic nie napisałam. Zupełnie nie mam ochoty tam iść, ale jakoś na automatycznym pilocie moje nogi same

prowadzą mnie w kierunku przystanku. Co chwila odwracam głowę, bo kusi mnie droga, która biegnie w przeciwną stronę. Odkryłam ją kiedyś, w czasie wakacji. Jest to dzika ścieżka wydeptana wśród zarośli. Prowadzi do torów. Łąką dochodzi się do kładki nad strumieniem, a za nią jest mały zagajnik. Potem trzeba wspiąć się na niewielkie wzgórze, na którym rośnie kępa brzoź. Idąc jeszcze dalej, można dojść aż do boru. Tak babcia nazywa wielki sosnowy las, który widać z okna na strychu. Na granicy boru biegną tory.

Poszłam tam ostatnio, kiedy tak podle się czułam po rozmowie z mamą. Szłam i szłam bez końca. Trudno uwierzyć, ale gdy wróciłam, czułam się już całkiem spokojna. Siedziałam sobie nad strumykiem, przy kępie brzoź, i wydawało mi się, że nie jestem tam sama, że brzozy są moimi przyjaciółkami, które rozumieją mnie lepiej niż ludzie.

Idę do szkoły, choć wiem, co mnie czeka. Mam gdzieś zakodowane, żeby robić to, co powinnam. Przede wszystkim obowiązki. Tak zostałam wychowana.

Jest zwyczajny, jesienny dzień. Szary i mglisty z rana. Powietrze jest wilgotne i ciężkie. Przez mgłę widzę zaledwie na kilka metrów do przodu. Najpierw dostrzegam światła autobusu, a w ostatniej chwili wyłania się reszta. Nigdy nie widziałam takiej mgły.

W szkole na początek najgorsze. Matma. Na szczęście nauczycielka nie przyniosła sprawdzianów. Pewnie jeszcze nie sprawdziła. Oddycham z ulgą. Niestety przedwcześnie. Matematyczka przygotowała nam dzisiaj inną zabawę.

Wywołuje uczniów do odpowiedzi przy tablicy. Co więcej, idę na pierwszy ogień.

- Aleksandra Gajewska. - Nauczycielka długo wymawia moje imię i nazwisko. W jej głosie słyszę zniecierpliwienie. Już wiem, dlaczego wyrwała mnie do odpowiedzi. Oczywiście widziała mój sprawdzian. - Proszę, pokaż mi zeszyt i pracę domową.

- Ale ja myślałam, że dzisiaj będzie poprawa sprawdzianu, i zapomniałam odrobić.

Kładę na jej biurku zeszyt i czuję, że żołądek podchodzi mi do gardła. Chyba mam już psychiczny uraz na punkcie tego przedmiotu.

- To panna nawet nie raczyła zajrzeć do zeszytu! - wykrzykuje nauczycielka.

Ma mnie już dość. Mam ochotę w tej chwili stać się niewidzialną plamką na podłodze, której nikt nie dostrzega.

- Proszę, napisz nam na tablicy taki przykład... - pani dyktuje mi długie, skomplikowane równanie. Najwyraźniej chce mnie uziemić.

Nawet nie podejmuję próby jego rozwiązania. Stoję jakby wciśnięta w podłogę, przydeptana jej ostrym obcasem. Na dodatek moje policzki zalewa rumieniec. Odwracam się do tablicy i pochylam nisko głowę, żeby włosy zakryły mi twarz.

- Otrzymujesz dzisiaj dwie jedynki. Jedną za pracę domową, a drugą za odpowiedź. Czas już zacząć się uczyć.

- Ale cienias! - słyszę drwiący głos Damiana.
- Zamknij się!
- Sam się zamknij, kujonie!

Ktoś mnie broni. Chyba Adam. Nie podnoszę wzroku na klasę. Ze spuszczoną głową siadam do ławki i gapię się w pulpit.

Na przerwie znów stoję sama pod ścianą. Dziewczyny rozmawiają o ciuchach. Lidia ma czarny lakier na paznokciach. Ubrała się w czarną koronkową bluzkę, pod którą widać czerwony biustonosz. Zdjęła mundurek i kpi sobie z przepisów.

Mateusz siedzi w swoim ulubionym kącie przy schodach. Je kanapkę, z której wystają zielone liście sałaty. Nad nim stoi Adam i coś mu opowiada. Ten Adam jest całkiem niezły z matmy, chociaż z innych przedmiotów zbiera prawie same tróje.

Wyjmuję książkę z geografii i udaję, że intensywnie czegoś się uczę. Nie mam już ochoty iść na żadną lekcję, ale robię to z obowiązku. Na dźwięk dzwonka idę do klasy, po lekcji wychodzę na korytarz i stoję pod ścianą. Po czterech lekcjach idę na stołówkę. Dzióbię swoją porcję na talerzu. Zupełnie straciłam apetyt na to szkolne jedzenie. Potem znów maszeruję pod klasę. Wzrasta we mnie coraz większa złość na rodziców i bunt wobec tego, co mi zrobili. Nie wiem, czy kiedykolwiek im wybaczę.

Z tej dzisiejszej udręki wybawia mnie wreszcie szkolny

autobus. Siedzę przy oknie i patrzę na wyschnięte łodygi roślin na kartofliskach i czarne połacie zaoranego pola. W powietrzu czuję zapach ziemi. Ostry zakręt, potem autobus skręca w piaszczystą drogę. Na rozstaju stoi stary brzozy krzyż, dalej mostek i tablica Bronki Dolne. Za nią mój przystanek.

Sprawdzam komórkę. Żadnych wiadomości ani SMS-ów. Matka milczy. Ojciec też nie daje znaku życia. Dzwonię do mamy, ale nikt nie odbiera.

Kładę się w ubraniu na łóżko i zaciskam powieki. Ogarnia mnie żal, nad którym zupełnie nie panuję. Słyszę, jak babcia zagląda do pokoju. Wciskam głowę w poduszkę i udaję, że śpię.

Babcia cichutko zamyka za sobą drzwi.

To boli. Przestałam wszystkie przerwy pod ścianą. Ta matma tak mnie dobiła, że cały dzień nie miałam siły podnieść wzroku. Jestem sama, zupełnie sama w tej szkole i tutaj też. Pusty pokój, cisza, a babcia też na wszelki wypadek mnie nie budzi. Pewnie trochę się domyśla, że mam jakieś problemy, ale woli poczekać, aż wszystko się samo jakoś ułoży. Najgorsze, że czuję się tak już od dawna, od pierwszego dnia w tej szkole.

Wydaje mi się, że z każdego kąta pokoju wyłaniają się jakieś ponure stworki, które pełzną w stronę mojego łóżka. Nakrywam się po uszy kołdrą i próbuję zasnąć.

Telefon od mamy

-**N**o cześć, córciu! Dzwoniłaś, co tam słyhać? Jak dajesz sobie radę?

- Uff, bo ja wiem, muszę, to daję.

- Czy czegoś potrzebujesz?

Wzbiera we mnie złość. Jest matką, powinna to wiedzieć. Czy jej instynkt zupełnie ją zawodzi czy tylko udaje obojętność, bo dzieli nas zbyt wielka odległość i lepiej pewnych tematów nie dotykać?

- Na razie nic mi nie potrzeba. Mam wszystko, a jeśli nawet, to jest tutaj sklep niedaleko. Mają tam prawie wszystko.

- No widzisz, mówiłam ci. Tylko uważaj na siebie, ciepło się ubieraj i jedz obiady.

- Daj spokój. Nie jestem dzieckiem.

- Jak tam babcia z dziadkiem się czują?

- Zwyczajnie... To znaczy: bez zmian.

Chciałabym jej opowiedzieć o moich problemach w szkole, o matmie. Jest jedyną osobą, z którą mogłabym o tym rozmawiać.

- Mamo...

- No, co tam?

- Chciałabym trochę z tobą pogadać...

- Teraz muszę już kończyć. Jestem w pracy. Całuję cię mocno. Zadzwoń wkrótce. Pa.

Niespodziewane wieści

Dzisiaj były skrócone lekcje, ponieważ po południu nauczyciele mają szkolenie. Wracam do domu przed czternastą. Dwie godziny wcześniej niż zwykle. Nie spieszę się za bardzo. Co tu robić przez całe popołudnie? Na kamieniu obok drogi usiadł mały, brązowy kotek. Zupełnie się nie boi, gdy podchodzę, żeby go pogłaskać. Przeciwnie, ociera się o moje nogi i pomrukuje. Ma zupełnie żółte oczy z czarną obwódką. Nad oczami ma dwie zabawne, białe plamki.

- Kici, kici - wołam, aby szedł za mną, ale odwraca się i biegnie w stronę jednego z domów przy drodze.

Idę noga za nogą. Obchodzę slalomem kałuże, a te mniejsze przeskakuję. Pod kasztanowcem leży mnóstwo lśniących, brązowych kasztanów. Musiał je strząsnąć wiatr.

Wygrzebuję je spod liści i napycham sobie nimi kieszenie. Zebrałam ich całkiem sporo. Jestem w wyjątkowo dobrym nastroju.

Drzwi do domu są szeroko otwarte. Już na schodach

słyszę, że babcia z dziadkiem głośno o czymś rozmawiają. Chyba nawet się kłóca. Stoję w sieni i zastanawiam się, czy wejść do kuchni i pokazać się im, że już jestem, czy iść od razu do swego pokoju.

- Biedne dziecko, na dodatek wszystko przed nią ukrywają.

Czy to o mnie? Co takiego ukrywają? Stoję w przedsionku i nadśluchuję, chociaż podsłuchiwanie nie leży w mojej naturze.

- A do tego wszystkiego Jacek się całkiem rozpił. Kto by pomyślał?

- Kto by pomyślał? - irytuje się dziadek. - Wiadoma rzecz, że nikt by nie pomyślał. Tego nikt nie mógł przewidzieć.

- Zakochał się w tej Lucynie.

- Na dodatek to jej dawna koleżanka z pracy. Przychodziła do nich, kiedy urodziła się Ola, i Marta wpadła w depresję poporodową. Niby taka dobra i pomocna.

- Że też taka może ludziom w oczy spojrzeć.

- Biedne dziecko.

- A Marta zamiast się Olą zająć... Po co ona tam w ogóle pojechała?

- Powinna się o dziecko zatroszczyć.

- Zupełnie jak Amelia. U mnie w rodzinie nigdy takich rzeczy nie było.

- Dobrze ci radzę, ty się mojej rodziny nie tykaj!

- A może to nieprawda? Ta twoja siostra... Wielka pani, a troje dzieci zostawiła i poleciała w świat za malarzem.

Stoję w sieni jak wbita w ziemię. O czym oni rozmawiają? Czy to ja jestem tym biednym dzieckiem? Zakochał się w Lucynie? Nic nie rozumiem, ale dopadają mnie najgorsze obawy. Moi rodzice wcale mnie stąd nie zabiorą. Jestem dla nich tylko ciężarem. Po prostu się mnie pozbyli, bo coś im się nie układa. A ja im wierzyłam, cały czas czekałam.

Najciszej jak potrafię, wchodzę do swego pokoju i zamykam za sobą drzwi. Siadam na łóżku i nieruchomieję. Siedzę tak i siedzę, i rozglądam się bezradnie po pokoju, jakbym na którejś ze ścian mogła znaleźć odpowiedź, co ja teraz powinnam zrobić.

Najgorsze jest to, że czuję się z tym wszystkim zupełnie sama. Jestem niechcianym dzieckiem, które tylko zawadza innym. Nikomu na świecie na mnie nie zależy. Przeraża mnie ta niepojęta obojętność i chłód ludzi, którzy są moją rodziną, jedynymi ludźmi, których mam na świecie.

Zapominam o głodzie i o lekcjach. Nic tu po mnie. Wymykam się cicho z domu, nie zaglądając nawet do kuchni. Babcia z dziadkiem nic nie słyszą. Być może z ich słuchem nie jest najlepiej albo nie spodziewają się mnie jeszcze w domu.

Idę w kierunku strumienia. Po twarzy płyną mi łzy, ale nawet ich nie wycieram. Nie ma tu nikogo. Zupełne odludzie.

Dróżka biegnie przez mostek w stronę torów przez łąki i pola, a potem do zagajnika i małego brzozowego lasu, który jest jakby przedsionkiem ciemnego, sosnowego boru.

W końcu dochodzę do torów. Jest to boczna linia kolejowa. Pociągi przejeżdżają tędy bardzo rzadko. Siadam na wysokiej skarpie i nasłuchuję. W dole tory wiją się jak dwa srebrne węże na dnie wąwozu. W ciszy słyszę nawoływanie ptaków. Brzęczą muchy i pszczoły. Złocą się i czerwienią liście i nic nie zakłóca spokoju jesiennego popołudnia.

Długo siedzę nieruchomo i nasłuchuję kolejki. Wyobrażam sobie, że pociąg się zatrzymuje i mnie stąd zabiera. Ludzie w wagonie są przyjaźni. Nic ich nie obchodzi, jak wyglądam i kim jestem. Jestem w tej samej podróży, w jakiś sposób im przeznaczona i to wystarczy, aby mnie przyjąć taką, jaką jestem. Pociąg zabiera mnie do świata, w którym każdy jest kochany i szczęśliwy.

Wiem, że taki pociąg nie przyjedzie, że to tylko marzenie. Skubię źdźbła zeschniętej trawy i staram się poukładać wszystko, co się ostatnio wydarzyło, w jakąś sensowną całość. Pochlipywanie mamy, wyjazd ojca i ta cała turbulencja na koniec. Nagle wszystko rozumiem. Dociera do mnie, że świat, który znałam i uważałam za własny, już nie istnieje. To, czego tak kurczowo trzymałam się w życiu, zostało rozwiane jak garstka pyłu na drodze. Już nigdy nie wrócę do swojego domu ani do swojej szkoły, ani do przyjaciół, ani rodziny. Tej ostatniej już po prostu nie ma.

Ogarnia mnie strach. Paniczny strach o to, co się ze mną stanie. Boję się, że już tu zostanę. Wpadam w panikę, jak wtedy, gdy w środku nocy otworzyły się skrzypiące drzwiczki kredensu.

Siedzę tu już ze cztery godziny, ale mam wrażenie, że czas stanął w miejscu. Nic się nie dzieje. Obok mnie chodzą w kółko trzy biedronki, mrówki łążą po trawie i jakiś czarny pajęczek zwisa na nitce pajęczyny. Liście spadają z drzew z cichym szelestem.

Dlaczego ludzie jedni drugim sprawiają tyle przykrości? Wciąż sobie dokopują. Mówią, że kochają, a robią rzeczy, które świadczą zupełnie o czymś innym. Ojciec kiedyś kochał mamę, a teraz jest wobec niej zupełnie obojętny. Kocha jakąś Lucynę. Jest szczęśliwy. Mama jest nieszczęśliwa, a ja czuję się, jakbym była niewidzialna.

W oddali słychać odgłos zbliżającego się pociągu. Wyobrażam sobie, że przez przypadek podróżuje nim ojciec. Siedzi przy oknie i wpatruje się w jesienne krajobrazy, gdy nagle miga mu przed oczami moja postać. Niewiele myśląc, pociąga za hamulec awaryjny i wyskakuje w biegu jak kaskader. Chwyta mnie w ramiona. Czuję jego ciepły oddech i uścisk rąk, które są tak wielkie, tak mocne i tak bezpieczne, że wtulam się w nie jak niemowlę.

- Tato! Jesteś!

- Jestem przy tobie, córeczko. Co ty tu robisz, sama w tym lesie? Jak dobrze, że cię zobaczyłem!

- Tęskniłam za tobą.

- Już dobrze, już jestem przy tobie, nie płacz. Nie zostaniesz tu ani chwili dłużej.

- Nie martw się, tato, dam sobie radę. Pamiętasz, jak zawsze powtarzałeś: nigdy się nie poddawaj? Wiem, że jest wam ciężko i mieliście ważne powody, aby odesłać mnie na wieś. Taka wojna domowa. Chcieliście mnie uratować. Teraz już wszystko rozumiem.

- Jestem z ciebie dumny, ale właśnie przyjechałem po ciebie, pospiesz się.

Niestety nic takiego się nie wydarza. Pociąg przemknął obok mnie. Na chwilę mnie ogłuszył i pomknął dalej. Tory znów milczą jak umarłe. Kładą się na nich długie cienie brzoź, za którymi lśni czerwona łuna zachodzącego słońca. Robi się naprawdę zimno. Chłód przenika mnie do szpiku kości. Zbieram się stąd. Muszę wracać. Biegnę, żeby się rozgrzać.

*

Z daleka dostrzegam, że dziadek z babcią stoją przy furtce i wyglądają na drogę. Dziadek charczy głośno, jakby brakowało mu powietrza.

- Dobrze, że już jesteś. Martwiliśmy się, że coś ci się stało. Dziadek chodził po całej wsi, szukał cię, ale nikt cię nie widział.

- Daj dziecku wejść do środka. Już jej nie męcz - dziadek upomina babcię i oboje prowadzą mnie do domu.

- Kolacja czeka.

Babcia ściska mnie za rękę, aż do bólu, ale nie bronię się. Chciałabym przytulić się do niej i wypłakać, ale przecież nie jestem już dzieckiem. Siadam przy stole, a babcia nalewa mi na talerz zupę mleczną.

- Słyszałam wszystko. Dlaczego nikt mi nie powiedział? - mówię z wyrzutem.

- Bali się, że będziesz się martwić, ot co. Marta sama nie może się z tego pozbierać. Niech oni tam sami wszystko sobie poukładają, a wtedy przyjadą po ciebie.

- Czy to znaczy, że oni się rozwodzą?

Babcia chyba nie spodziewała się tego pytania, bo nagle zamilkła, jakby nie wiedziała, czy powiedzieć mi prawdę.

- Nie wiem.

- Babciu! Proszę cię, powiedz mi całą prawdę.

- Jedz, dziecińko, jedz. Jakie ty masz zimne policzki, żebyś się nam tylko nie rozchorowała!

- Babciu, ja muszę wiedzieć!

- Musisz porozmawiać z mamą, sama bym chciała wiedzieć, co tam się stało. Marta przeżywa, dla niej to też zbyt wiele. Z jej nerwami jak nic skończy w szpitalu.

- Babciu!

- Zjedz choć parę łyżek.

Spoglądam w talerz zupy mlecznej i bawię się łyżką.

Babcia gładzi mnie po włosach i wzdycha głośno.

- Jedz, dziecko, jedz.

Nie chcę jej robić przykrości i zjadam parę łyżek. Białe, lepkie kluchy stają mi w gardle i nie dają się przełknąć.

Mała księżniczka cd.

Księżniczka była już przygotowana do wyprawy. Czekwała tylko na właściwy moment, aby wymknąć się z zamku. Wkrótce miało się odbyć polowanie, na które wybierała się królowa wraz z całą świtą. Były to wymarzone okoliczności, aby niepostrzeżenie oddalić się z zamku. Gdy nadszedł oczekiwany dzień, już o świcie zamek opustoszał. Kto mógł, udał się na polowanie. W królewskiej stajni wtajemniczony giermek przygotował konia dla księżniczki. Zaledwie zdążył opaść kurz po odjeżdżających, księżniczka usłyszała na zamkowym dziedzińcu stukot końskich kopyt. Był to dźwięczny i czysty odgłos, który przypominał kościelne dzwoneczki. Szybko podbiegła do okna, spodziewając się, że zobaczy ojca, jednak po raz kolejny poczuła w sercu bolesne ukłucie rozczarowania.

Był to rycerz w lśniącej zbroi, na białym koniu. Musiał być szlachetnie urodzony, gdyż rumak, na którym siedział, pokryty był złotym płaszczem. Zbroja rycerza odbijała słońce jak lustro i widać było, że jest zrobiona ze szlachetnego kruszcu.

Nie czekając na służące, księżniczka narzuciła na siebie pelerynkę i wybiegła przywitać rycerza. Ten na jej widok pochylił głowę w głębokim ukłonie. Twarz jego zakrywała metalowa przyłbica. W miejscu oczu wycięte były wąskie szczeliny, przez które mógł ją obserwować. Księżniczka jednak nie widziała jego wzroku. Z zaciekawieniem wpatrywała się w szczeliny, ale były one zbyt wąskie, aby mogła cokolwiek dojrzeć.

- Witaj, księżniczko - przybysz odezwał się śmiałym, lecz pełnym szacunku głosem. - Przynoszę ci wieści o ojcu.

Na te słowa księżniczka zadrżała, złożyła dłonie i zamarła w oczekiwaniu.

- Twój ojciec żyje, lecz jest więziony przez podstępną czarownicę, która rzuciła nań zaklęcie. Zamieniła go w delfina, który pływa w błękitnych wodach oceanu zwanego Morzem Zapomnienia. Ma go tylko dla siebie, aby się nim bawić, ale twój ojciec nie jest szczęśliwy. Jego serce przepelnione jest tęsknotą za czymś nienazwanym, za światem, o którym za sprawą czarów zapomniał.

Rycerz zamilkł, gdyż bał się zbyt mocno zranić duszę dziecka wieścią o takim nieszczęściu.

Księżniczka zachowała jednak zadziwiająco jak na takie okoliczności opanowanie.

Histeria Lidii

Chemia dobrze mi idzie. Nauczycielka tłumaczy wszystko po dziesięć razy, aż do znudzenia.

Lubię się uczyć tego przedmiotu. Zresztą, jeśli czegoś nie rozumiem, nie boję się o to zapytać. Dla niej to takie naturalne, gdy ktoś czegoś nie rozumie, po prostu tłumaczy od nowa. Inni nauczyciele zaraz dodają jakiś komentarz i człowiek traci wszelką chęć, żeby się w ogóle odzywać. Dziwię się trochę, że ludzie tak ją lekceważą. Nie odrabiają pracy domowej i gadają na lekcji. Jest po prostu zbyt uległa. Uczy dopiero pierwszy rok, jest młoda i brakuje jej doświadczenia.

Dzisiaj znów rozmawiają tak głośno, że nie można się skupić. Z takim rumorem weszli do klasy, że chemiczka nie dała rady ich uspokoić i zaczęła temat mimo lekkiego szumu. Widzę, jaka jest podenerwowana. Nie lubię takiej atmosfery.

- Proszę o spokój! - Nauczycielka musi prawie krzyczeć, aby ktoś ją usłyszał. - Otwórzcie zeszyty.

Przechodzi po klasie i sprawdza pracę domową. Ma

zachmurzony wyraz twarzy, który nie wróży nic dobrego. Wychodzi zza biurka i podchodzi do pierwszej ławki. Coś pisze w zeszycie, potem idzie dalej. Mam pracę domową, więc tylko obserwuję klasę i jestem ciekawa, jak się skończy ta lekcja. Chłopaki przesadzają z tymi wygłupami. Tylko marnujemy lekcję.

- A ty, Zosia? Co z tobą? Kolejna jedynka. Damian, Marek i Wojtek, otrzymujecie nieprzygotowanie. Emil, drugie nieprzygotowanie, następnym razem już będzie jedynka.

Pani odnotowuje w dzienniku nieprzygotowania. Możemy dwa razy nie mieć pracy domowej, potem już sypią się jedynki.

- Lidia, niestety otrzymujesz jedynkę. To już druga jedynka. W takiej sytuacji możesz się pożegnać z trójką na koniec semestru.

- Ale, proszę pani, ja wczoraj naprawdę nie mogłam. Musiałam jechać do cioci. Nie było mnie w domu.

- Co to za dziecinne tłumaczenie, Lidia?! Mogłaś wziąć książki ze sobą.

- Ale głąb! - komentuje drwiąco Emil.

Nagle Lidia zakrywa twarz dłońmi. Z jej gardła wydobywa się piskliwy, stłumiony jęk, który przechodzi w niekontrolowany, histeryczny ryk.

- Nie! Tylko nie to!

Lidia podrywa się gwałtownie z krzesła. Bezradny jęk

skrzywdzonego dziecka napełnia całą klasę. Wszyscy odwracają głowy w jej kierunku. Nastolatka z hałasem odsuwa krzesło i, nie patrząc na nikogo, wybiega z klasy. Na koniec jeszcze z hukiem trzaska drzwiami.

Chemiczka patrzy na klasę oniemiała. Mam wrażenie, że zależy jej na tym, aby wszyscy ją lubili, i dlatego pozwala na zbyt wiele. Zastanawiam się, co się stało Lidii. Jakoś ta histeria przekracza wszelkie granice uczniowskich fochów. Coś się musiało stać. W klasie zapada absolutna cisza.

Nauczycielka pochyla głowę nad dziennikiem. Wpisuje temat czy coś innego. Nie wiem, ale wydaje mi się, że po prostu nie chce na nikogo patrzeć. Klasa zachowywała się niezdalnie od samego początku, a teraz wszyscy patrzą na nią z wyrzutem, jakby to była jej wina.

Mijają długie minuty, a ona nie zaczyna tematu. W końcu podaje nam stronę w podręczniku i każe coś czytać. Do końca lekcji wszyscy siedzą cicho. Nawet Emil z Damianem mają ponure miny i siedzą spokojnie, jakby zupełnie odeszła im ochota do żartów.

Ścieżka przy torach

Po lekcjach często chodzę nad tory. Siadam tam, wypatruję pociągu i rozmyślam. Dzisiaj znów ogarnął mnie smutek, więc przyszedłam tu po szkole. Myślę o tym, co się stało. Dlaczego Lidia płakała? To nawet nie był płacz, ale histeria. Takie wycie na pokaz... Ale dlaczego to zrobiła? Nie rozumiem. Wszyscy byli przejęci tą sytuacją, nawet sama nauczycielka. W klasie wszyscy o tym mówią. Lidia zwróciła na siebie uwagę. Tak naprawdę robi to przecież cały czas. Te jej ubrania, czarne paznokcie i makijaż. Poza tym w jej zachowaniu jest coś irytującego. Jakby chciała udowodnić, że jest lepsza od innych.

Uświadamiam sobie, że wszyscy tutaj mają jakieś swoje problemy. Znów myślę o tacie. Dlaczego tak musi być? Dlaczego stracił biznes? Dlaczego spotkał tamtą kobietę? Dlaczego ją pokochał? Dlaczego nie chce bez niej żyć, a może żyć beze mnie? Mówił kiedyś, że jestem jego szczęściem i sensem życia. Co by zrobił, gdyby wiedział, że siedzę teraz sama i tęsknię za nim?

- Tato, muszę cię zapytać, czy nadal jestem twoją

ukochaną córeczką.

- Wiesz dobrze, że nie może być inaczej. Pamiętasz, jak chodziliśmy na spacerzy nad Wisłą? Brałem cię na ręce, bo chciałaś wszystko zobaczyć. Taka byłaś ciekawa świata.

- Pamiętam, że bolały mnie nogi i nie mogłam za wami nadażyć. Cały czas biegłam, ale kiedy się zatrzymywałam, brałeś mnie na ręce albo sadzałeś sobie na ramiona i wtedy musiałam trzymać się mocno twojej głowy, żeby nie spaść.

- Szybko urosłaś. Teraz jesteś taka duża i mądra.

- Tylko tak mówisz. Wcale nie jestem duża ani nawet mądra. Wielu rzeczy nie rozumiem. Chciałabym zadać ci kilka pytań.

- Możesz pytać o wszystko.

- Wiesz, tatusiu, chciałabym być teraz z tobą i nie wiem, nie rozumiem, dlaczego całymi dniami jestem sama, a was tutaj nie ma i...

- Jestem, przecież rozmawiamy ze sobą, musisz w to uwierzyć. Musisz tylko bardzo wierzyć, że cię kocham, i wszystko będzie dobrze.

Chyba siedzę na jakiejś autostradzie mrówek, bo jedna po drugiej przebiegają po moich nogach i włożą w nogawki moich spodni. Jedna z nich wbiła mi się boleśnie w łydkę, przywołując mnie do rzeczywistości.

Wstałam, ale nie chce mi się wracać do babci. Jeśli pójdę w drugą stronę, dojdę do puszczy. Widzę skraj

ciemnozielonego lasu. Jeśli tam wejść, mogę zabłądzić. Przesuwam się tylko o parę kroków i znów siadam na ziemi. Obok mnie toczy się wielki niebieski żuk. Przebiera pracowicie cienkimi czarnymi nóżkami. Zobaczył mnie i zatrzymał się na chwilę. Chyba się przestraszył, bo wgrzebuje się pospiesznie pod zeschnięty liść.

- Nie ma się czego bać, panie Niebieski. Nic panu nie grozi. Czy nie czuje się pan tu trochę samotny w tym wielkim lesie? Myle się? Wystarczy się rozejrzeć. Ta biedronka jest pana sąsiadką, a ta liszka to pana koleżanka. W tamtym motylu na pewno pan się kocha i marzy o nim po nocach i śnią się panu jego skrzydła. A mnie się wcale nie chce żyć. Coś złego się stało w moim domu i moi rodzice zostawili mnie tutaj.

W pewnej chwili słyszę za plecami trzask łamanych gałęzi i odgłos kroków dochodzący zza drzew. Odwracam się i z bijącym sercem wpatruję w las. Nagle spoza czerwonych gałęzi wychyla się ciemnobrązowa sylwetka małej sarenki. Staje na brzegu lasu i rozgląda się płochliwie. Dostrzegła mnie, ale nie ucieka. Stoi tak blisko, że widzę jej wielkie brązowe oczy. Patrzy na mnie, jakby mówiła, że doskonale rozumie, dlaczego tu jestem, i że wszystko będzie dobrze. Po chwili zawraca i znika za drzewami.

Lekcja wychowawcza

-Mam dla was dwie informacje. Jedną dobrą, a drugą złą. Którą wybieracie na początek?

- Dobrą! Najpierw dobrą! - domaga się Emil.

- Złą, a potem dobrą – wybiera Mateusz.

A mnie się wydaje, że nauczycielka już wcześniej zdecydowała.

- Przypominam o noszeniu mundurków i zakazie malowania się. To drugie oczywiście odnosi się do dziewcząt. Nie malujemy paznokci, nie używamy kredki do oczu ani pomadki. Moje drogie dziewczęta, ja to wszystko rozumiem, jesteście nastolatkami, ale w szkole obowiązują pewne przepisy.

- Lidio, możesz tu podejść?

Nie obchodzi mnie to, jak oni się ubierają. Jeśli nie zapomnę, zakładam mundurek. Tutaj zupełnie przestało mi zależeć na wyglądzie. Lidia ostatnio lubi prowokować. Dzisiaj założyła krótką spódniczkę i schyla się prowokacyjnie,

pokazując czerwone majtki, nie mówiąc już o makijażu. Dla mnie to zupełnie obojętne, ale nauczycielka musi coś z tym zrobić.

- Otrzymujesz uwagę za brak mundurka, pomalowane paznokcie i makijaż. Przypominam, że odbije się to na twojej ocenie z zachowania. Poza tym zostań po lekcji na rozmowę.

Lidia wydyma usta, wyjmuje komórkę i coś tam próbuje na niej pisać.

- Schowaj tę komórkę! - krzyczy wychowawczyni.

Lidia chowa komórkę, ale znów robi nadętą minę i zaczyna coś gryzmolić w zeszycie. Nauczycielka poddaje się. Zostawia Lidę. Musi się zająć resztą klasy. Chłopcy w ostatnich ławkach chichoczą i ukradkiem rzucają w dziewczyny kulkami papieru, gdy tylko pani odwróci głowę.

- A teraz mam dla was miłą niespodziankę. Przygotujemy jasełka na szkolną Wigilię.

- Jee! - wrzeszczy ktoś z tyłu.

- Spodziewam się, że nie zabraknie chętnych. Jak pamiętacie, w ubiegłym roku naszymi jasełkami rzuciliśmy na kolana całą szkołę i potem poproszono nas, abyśmy wystąpili w kościele. Myślę, że w tym roku będzie podobnie. Oczywiście nie chciałabym nikomu niczego narzucać, bo z niewolnika nie ma pracownika, ale proszę te osoby, które chciałyby wziąć udział w przedstawieniu, aby podniosły ręce do góry.

Nagle w klasie zapada cisza. Dziewczyny coś do siebie szepczą, chłopcy spowaźnieli i zastanawiają się. Po chwili las rąk wznosi się do góry.

Siedzę ze spuszczoną głową. W Krakowie uwielbiałam teatr, ale tutaj to zupełnie coś innego. Nic mnie nie obchodzi, co oni tam przygotowują, nie mam na to najmniejszej ochoty.

- Doskonale.

Nauczycielka jest zachwycona gotowością uczniów do współpracy. Muszę przyznać, że jestem zaskoczona, że oni wszyscy tak nagle chcą się udzielać artystycznie. Ciekawa jestem, czy Ben też wzięłoby udział w tym przedstawieniu, ale nie ma go dzisiaj w szkole.

- Cieszę się, że cała klasa chce się zaangażować. Myślę, że to wspaniała okazja, aby się jeszcze bardziej zintegrować. Teraz pozostało nam tylko przydzielić role i ustalić terminy prób. Na poniedziałek, na lekcję języka polskiego, przygotujcie jakiś fragment wiersza. Osoby, które wypadną najlepiej, otrzymają główne role.

Mnie to wcale nie dotyczy. Wyjęłam podręcznik z biologii i powtarzam ostatnią lekcję. Mamy dzisiaj kartkówkę, a zresztą nudzę się na tej lekcji wychowawczej. Chociaż chowam się za plecami kolegi, wychowawczynie zauważa, że zajmuję się tym, czym nie powinnam.

- A ty, Olu? Jesteś tu nowa, ale może też chciałabyś wziąć udział w przedstawieniu?

- Nie wiem. W Krakowie chodziłam na warsztaty

teatralne, ale nie wiem, nie bardzo...

- No proszę, mamy tu profesjonalistkę, ale tak jak powiedziałam, nikogo nie zmuszamy. Jeśli chcesz, przygotuj jakiś fragment wiersza na poniedziałek.

Kłopoty z Emilem

Na korytarzu coś się dzieje. Chłopaki z trzeciej klasy wciągają do toalety pierwszaków. Ciągną ich po ziemi przy ogólnym wrzasku i śmiechu reszty uczniów, którzy stoją i biernie na to patrzą. Trzecioklasiści są wysocy i silni. Nie zwracają uwagi na żadne prośby ani groźby. Jest wśród nich Emil. Trzyma z największymi rozrabiakami w szkole. Jakiś chłopak z pierwszej klasy rozplakał się, więc teraz go zostawili i wciągają dziewczyny do męskiej toalety i polewają je wodą. Sprawia im to wielką uciechę. Słysząc pisk dziewczyn i dzikie salwy śmiechu na całym korytarzu.

Emil coś mówi, wskazując na mnie, i z innymi chłopakami z trzeciej klasy idą w moją stronę. Śmieją się złośliwie. Nie mam zamiaru się z nimi szarpać ani też być zmoczona. Rozglądam się wokół w panice. Gdzie jest dyżurujący nauczyciel? Nie ma nikogo. Na szczęście stoję w pobliżu schodów. W jednej chwili chwytam za poręcz i, przeskakując po kilka stopni, biegnę w dół. Z rozpędu wpadam na wychowawczynię, która zaniósła na dół dziennik i wraca na drugie piętro dyżurować.

- Nie biegamy po schodach! - upomina mnie szorstkim tonem.

- Przepraszam bardzo, ale gonią mnie chłopcy.

- Jacy chłopcy?

- Emil z kolegami wciągają nas do toalety i polewają wodą! - wołam na jednym wydechu.

- Znowu Emil, tym razem inaczej to załatwimy.

Wychowawczynie wchodzi z pośpiechem na górę, ale chłopcy stoją już jak największe niewiniątka pod klasą. Wzburzona wychowawczynie podchodzi do Emila.

- Co się tu dzieje? To już twój trzeci wybryk w tym tygodniu. Muszę porozmawiać z twoimi rodzicami.

- Ojciec pracuje – Emil odpowiada ironicznym tonem.

Za jego plecami słyhać gromki śmiech chłopaków.

- Może przyjsć mama.

- Mama nie ma czasu.

- Myślę, że dla własnego syna znajdzie czas, spróbuję ją przekonać. Dziś po południu będę dzwonić, możesz uprzedzić rodziców.

Nagle Emil wygląda jak zmoczony kurczak. Stoi z bezradną miną, drżą mu usta, a ręce bezwiednie opadły wzdłuż ciała. Po dzwonku, gdy wchodzimy do klasy, wciska się przede mną i wrzeszczy mi do ucha.

- Jeszcze pożałujesz.

Teraz to już mam naprawdę dość. Nie wystarczy, że o mało nie dostałam ataku serca, gdy w trójkę próbowali mnie złapać na korytarzu, to teraz jeszcze mi grozi. Jednak, mimo że jestem na niego wściekła, wolę zejść mu z drogi i nikomu o tym nie mówię.

Następnego dnia Emil przychodzi do szkoły z podbitym okiem. Zastanawia mnie to. Nie wiem, kogo mam o to zapytać, więc nie pytam. Dostrzegam, że wciąż jest na mnie wściekły. Mam wrażenie, że ciska we mnie piorunami, gdy na niego spoglądam. Na przerwach nie daje mi spokoju. Co ja mu zrobiłam? Przecież się tylko broniłam! Czuję, że dzieje się tu wielka niesprawiedliwość, jednak udaję, że nic się nie stało.

Cały dzień Emil zachowuje się nieznośnie. Nie uważa na lekcjach. Nauczyciele różnie reagują. Niektórzy stawiają mu uwagi, a inni ignorują i mają nadzieję, że sam się uspokoi.

Emil jest miejscowy, więc dopiero w autobusie mogę odetchnąć z ulgą.

Nie wiem, co się dzieje z Benem. Ostatni raz widziałam go może tydzień temu. Pokazał się w szkole na parę dni. Pozaliczał sprawdziany i znowu sobie odpuścił szkołę. Mam nadzieję, że przyjdzie jutro. Ben jest duży i silny. Emil czuje przed nim respekt. Myślę, że w jego obecności nie odważyłby się mnie nękać.

*

Całe popołudnie siedzę w swoim pokoju. Obłożyłam się książkami i staram się uczyć. Trudno jest mi się jednak

skoncentrować. Wciąż stoi mi przed oczami wściekła twarz Emila. Zastanawiam się, co mu się stało i czy jego podbite oko ma jakiś związek z wczorajszym incydemtem.

Mam jutro test z geografii, muszę napisać opis postaci z polskiego, rozwiązać cztery zadania z matmy i zrobić dwie strony ćwiczeń z angielskiego. Nie wiem, od czego zacząć, bo najchętniej poczytałabym sobie którąś z książek, które wypożyczyłam ze szkolnej biblioteki.

Zaprzyjaźniłam się trochę z bibliotekarką. Obiecała, że poszuka dla mnie wiersza księdza Twardowskiego, którego chcę się nauczyć na poniedziałek.

Nagle słyszę wibrację komórki. Zerkam na ekran, na którym wyświetliła się mała koperta. To tylko SMS od Julki. Szybko sprawdzam wiadomość: „Wystawiamy sztukę w teatrze Słowackiego. Wyobraź sobie, »Romeo i Julia« w prawdziwym teatrze, a ja z Bartkiem gramy główne role, musisz to zobaczyć”. Wyobrażam ich sobie przez chwilę, potem wyłączam komórkę i wracam do lekcji.

Choroba dziadka

-**O**lu, możesz tu przyjść? - Babcia zagląda do mojego pokoju.

Ma zaczerwienione oczy. Jest chyba szósta rano. Wczoraj uczyłam się to testu i jestem ledwo przytomna.

- Co się stało?

- Dziadek. Źle z nim - sapie ciężko babcia. - Już od dawna skarżył się na ból w piersiach, ale dzisiaj rano upadł przy łóżku. Ledwie dał radę się podnieść i teraz leży bez sił. Nie wiem, co robić.

- Dzwoń po pogotowie, babciu!

- On nie chce, mówi, że już jest za stary na doktora. Co ja mam robić? Może ciebie posłucha...

Przez chwilę patrzę w osłupieniu na potargane włosy babci. Widzę, że jest przerażona. Czuję, że cały ciężar tej sytuacji spada na moje barki.

- Uspokój się, babciu, jeśli nie chce lekarza, to znaczy, że nie jest jeszcze z nim tak źle - mówię z pozorną lekkością,

starając się stłumić drżenie głosu.

Jestem już zupełnie rozbudzona. Nakładam sweter na pizamę i idę za babcią do ich sypialni.

Powtarzam jakieś słowa, żeby uspokoić staruszkę, ale sama niepokoję się jeszcze bardziej. Nigdy w życiu nie widziałam umierającego człowieka. Boję się, ale muszę udawać dorosłą, bo babcia jest cała roztrzęsiona.

- Dziadku, niedobrze z tobą, trzeba zadzwonić po lekarza.

Długo nic nie odpowiada. Ciężko wzdycha i jęczy.

- Dziadku!

Odwrócił się do ściany i leży bez ruchu jakby nas nie było.

- Ja już za stary na doktora - odpowiada powoli, z trudem wypowiadając każde słowo.

- Dziadku, nie mów tak, babcia się strasznie martwi. Dzwonię po pogotowie i to zaraz - mówię stanowczo i wpatruję się w niego wyczekująco.

Dziadek wreszcie odwraca głowę. Spogląda na mnie i wydaje mi się, że skinieniem głowy daje mi znak, że się zgadza. Wystukuję bez zastanowienia numer pogotowia na swojej komórce. Będą za pół godziny. Teraz babcia siada obok mnie i obejmuje mnie mocno. Przytulam się do jej ramienia. Też mam ochotę płakać, ale ktoś w tym domu musi zachować zimną krew.

Z dziadkiem na szczęście nic gorszego się nie dzieje. Tylko leży i ciężko oddycha. Zamknął oczy i wydaje się, że

śpi. Czekamy ponad godzinę na pogotowie. Do umierających dziadków nie spieszą się zbyttnio. Co innego, gdyby rodziło się dziecko. W końcu go zabierają.

- Wszystko będzie dobrze. Dziadek wróci jak nowy - pociesza sanitariusz.

Zostajemy same. Babcia siedzi na brzegu łóżka i wzdycha głośno. Gdzieś kapie woda. Z podwórka dobiega żałosne porykiwanie Kazi. Głośno ujada pies sąsiadów. Nie wiem, co mam robić.

- Zobaczę, co się tam dzieje.

Trzeba się zająć zwierzętami. Nakarmić kury i wyprowadzić Kazię na pastwisko. Robiłam to w wakacje z dziadkiem, więc myślę, że sobie poradzę. Szkoda tylko, że spóźnię się na test z geografii.

Wczoraj wkuwałam rzeki i jeziora Afryki. Kongo, Nil, Zambezi, Niger. Mogę je recytować jak wiersz. Akurat dzisiaj chciałabym pójść do szkoły.

Kazia nie jest łagodnym bydlątkiem. Szarpie się i wymachuje wielkim łbem. Na pastwisko idziemy prawie dwa kilometry. Najgorsze, że musimy przejść przez ruchliwą szosę. Z daleka widzę szary pas asfaltu. Śmigają po nim rozpedzone osobówki i samochody ciężarowe. Zaciskam mocniej rękę na żeliwnym łańcuchu, który krowa ma zapięty na szyi. Kazia jakby czytała w moich myślach i chciała ze mnie zakpić. Zamaszystym ruchem głowy wyrywa mi z dłoni łańcuch, zadziera ogon i biegnie galopem w stronę szosy.

Łańcuch dzwoni na kamienistej drodze i sunie za nią zygzakiem jak zmija. Staram się na nim stanąć i ciężarem swego ciała zatrzymać krowę, ale tracę równowagę i upadam boleśnie. Chwytam się odruchowo za kolano. Skóra jest zdarta do krwi. Nogę przeszywa ból. Podnoszę głowę i nagle zamieram z przerażenia. Szosą jedzie rozpędzony tir, a Kazia pędzi wprost pod koła.

- Stój! - krzyczę na całe gardło.

Już wiem, że nie zdążę. Kierowca nie dostrzega niebezpieczeństwa. Wzdłuż drogi rosną gęste krzewy bzu, które ograniczają widoczność. Przed skrzyżowaniem stoi znak ostrzegawczy przedstawiający krowę, ale kierowcy zupełnie go ignorują. Zakrywam dłońmi twarz i zaciskam powieki. Nagle słyszę, że ciężarówka spokojnie mija skrzyżowanie. Nie słyszę huku zderzenia ani ryku zwierzęcia. Otwieram oczy i widzę Bena, który wymachuje rękami i odstrasza krowę, aby nie wbiegła na jezdnię.

- Uciekła ci?

- Chyba się mnie przestraszyła, bo zawsze wyprowadza ją dziadek.

- To prawda. Widuję go codziennie. Mieszkam tam niedaleko. - Ben pokazuje mi jakieś domy przy szosie.

- Znasz dziadka?

- Ludzie się tu znają.

Benek z łatwością chwyta krowę za łańcuch. Jest silny i wyrośnięty. Jestem mu szczerze wdzięczna.

- Co ty tu robisz? Dlaczego nie jesteś w szkole i nie piszesz testu z geografii?

- A to jest jakiś test? Zapomniałem. Nie mów nikomu, że mnie widziałas.

- Nie ma sprawy. Dziękuję za uratowanie Kazi.

Na jego twarzy pojawia się beztroski uśmiech. Idziemy razem na łąkę. Ben prowadzi zwierzę, a ja opowiadam mu, jak mi się zaczął ten dzień. O chorobie dziadka i o babci, która się całkiem załamała i muszę się zająć gospodarstwem. Twarz Bena staje się poważna. Ma ciemne, brązowe oczy i nie jestem pewna, co wyrażają. Nie wiem, czy to współczucie, smutek czy też jakaś melancholia, którą on w sobie nosi.

- Co robią twoi rodzice?

- Wyjechali do Londynu do pracy.

- Moi siedzą w Szwecji. Ja zostałem z dziadkiem. Na początku myślałem, że to nawet fajnie. Mam swobodę, komputer. Mogę grać całymi dniami i nocami. Dziadka to nie obchodzi. Chce mieć tylko święty spokój.

- Dlatego nie chodzisz do szkoły?!

- Bo ja wiem...

Ben patrzy mi prosto w oczy, jakby chciał sprawdzić, czy rozumiem. Nie wiem, co powiedzieć. Ben miga się od szkoły. Zjawia się tam od święta, a wtedy wszyscy się z niego śmieją, bo śpi na lekcjach.

- Dziękuję, że uratowałeś to nierozumne zwierzę. To czysty przypadek, że akurat tu przechodziłeś, i dlatego tym bardziej się cieszę.

Zmartwienie babci

Kiedy wracam do domu, babcia krząta się po kuchni, jakby nic się nie stało. Wilgotną ścierką przeciera kuchenne szafki. Robi to jednak w jakimś zapamiętaniu, z pochyloną głową i okropnym wyrazem twarzy. Wcale nie zauważa mojego wejścia, więc postanawiam wziąć plecak i wymknąć się z domu. Nie wiem, co jej powiedzieć i jak z nią rozmawiać. Niestety potykam się o blaszane wiadro, które z hałasem przewraca się na podłogę.

- Już jesteś! Siadaj do stołu. Zrobiłam ci śniadanie.

- Spotkałam Bena, pomógł mi z krową.

- Tego od krawców? To dobry chłopak. Jego babka była krawcową. Teraz to już nikt ubrań nie szyje. Taniej kupić gotowe, ale kiedyś była do niej kolejka. Mieszkają na kolonii, w tym białym domu za szosą.

Siadam posłusznie i staram się przełknąć kęs jajecznicy. Jest zimna i smakuje jak kawałek szarego mydła. Nie jestem w stanie tego zjeść, ale nie chcę dodawać babci zmartwień. Biorę dwie duże kromki chleba i pakuję w nie jajecznicę.

Zawijam kanapkę w papier śniadaniowy.

- Nie jesz?
- Spieszę się. Mam dzisiaj test z geografii. Muszę lecieć.
- Ale jak się tam dostaniesz? Może zostań dziś w domu.
- Wezmę rower. Pa, babciu.

Z ulgą zamykam za sobą drzwi i zbiegam po schodach. Szkoda, że nie zdążę na test, będę musiała zaliczać w innym terminie. Trafiam na długą przerwę. Na szczęście mam opłacone obiady. Kanapkę z jajkiem rzuciłam dzikim kaczkom nad stawem, a teraz poczułam wilczy głód. Od szóstej jestem na nogach, a przez te wszystkie przeżycia spaliłam tysiące kalorii. Powinnam jeszcze poprosić kogoś, żeby mi wytłumaczył zadania z matmy. Wczoraj ani w ząb nie mogłam z nimi ruszyć. Na szczęście dostrzegam na stołówce Mateusza. On na pewno jest przygotowany. Odkąd stanął w mojej obronie na pierwszej lekcji, istnieje między nami niedostrzegalna nić sympatii. Odbieram z okienka kotlet mielony z ziemniakami i surówką z marchwi i siadam naprzeciwko niego.

- Smacznego.
- Dziękuję.

Mateusz patrzy na mnie długo szeroko otwartymi oczami i nagle spuszcza wzrok. Nie wiem, co powiedzieć. Też się czuję nieswojo. Obok nas przy sąsiednim stoliku siedzą dziewczyny z naszej klasy. Spoglądają na nas i coś do siebie szepczą. Przetykam duże kęsy jedzenia, byleby tylko szybciej

skończyć. Mateusz też się chyba zastanawia, dlaczego przysiadłam się do niego. Teraz już na pewno nie zapytam go o te zadania. Niech się dzieje, co chce.

Matematyczka założyła krótką spódnicę i wysokie obcasy. Ma wypielęgnowane, ostre paznokcie, pokryte czerwonym lakierem i długie, lśniące włosy, które pewnie szczotkuje godzinami. Wygląda po prostu nieskazitelnie. Boję się tego wyglądu. Na pewno nie zapomniała, że zadała kilka zadań do domu.

- Proszę, otwórzcie zeszyty i pokażcie mi pracę domową.

Łatwo powiedzieć.

Nauczycielka przechadza się po klasie i podpisuje się pod pracą domową. W moim zeszycie stawia jedynkę.

- Proszę to uzupełnić.

I nic. Muszę nadrobić masę materiału, ale jak to zrobić? Nie rozumiem tego. Odsunęłam ten temat w nieokreśloną przyszłość. Myślę o Mateuszu, że mogłabym go zagadnąć, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej staję się nerwowa na sam jego widok. Nie wiem, co mam robić.

Ben znajduje szczeniaka

Ben jest od ósmej w szkole. Cieszę się, że przyszedł, chociaż prawie ze sobą nie rozmawiamy. Wydaje mi się, że zawsze jest w pobliżu, gdy któryś z chłopaków zaczyna mi dokuczać. Mam nadzieję, że mu zależy, aby skończyć w końcu tę budę i pójść w życiu dalej. Na jego miejscu miałabym już dość.

- Benjamin zaszczycił nas dziś swoją obecnością, czy zechciałby w takim razie napisać zaległy sprawdzian?

Nauczyciele też mają już dość Bena i gdy tylko się pojawia w szkole, każą mu coś pisać, aby złapał choć kilka ocen. Jest zdolny. Nawet chodząc w kratkę do szkoły, lepiej sobie radzi niż wielu innych.

- Mogę pisać.

Pan od historii każe mu usiąść w ostatnim rzędzie, kładzie przed nim sprawdzian i zaczyna nowy temat.

W połowie lekcji coś się dzieje pod ławką Bena. Jego plecak porusza się delikatnie. Nie uchodzi to uwagi chłopaków, którzy siedzą w przedostatniej ławce. Któryś

z nich kopie plecak i nagle rozlega się zduszony pomruk. Coś pomiędzy kocim miauczeniem i psim skowytym. Nauczyciel, przekonany, że to jakaś nowa sztuczka jego psotnych uczniów, rozgląda się niespokojnie po klasie.

- Co tam znowu?

Nie musi jednak o nic więcej pytać. Spod ławki Bena wypęza na środek klasy maleńki szczeniak, znacząc swoją drogę mokrą smugą. Na widok tyłu wpatrzonych weń oczu zsiusiał się biedaczek na środku klasy. Ma zaledwie kilka tygodni. Jest to małe bezradne stworzenie, które nawet na twarzy surowego pedagoga wywołuje wyraz współczucia. Nauczyciel spogląda nerwowo w stronę drzwi.

- Czyj to pies?

Ben wstaje powoli. Spokojnie podnosi szczeniaka i chowa go pod połą szkolnego mundurka.

- Czyś ty zwariował doszczętnie? Zabieraj mi się stąd razem z tym, tym swoim przyjacielem.

Chłopak patrzy z wyrzutem w stronę kolegów, potem bez słowa zbiera książki do plecaka i podtrzymując połą koszuli, pod którą schował pieska, wychodzi z klasy. Po drodze kładzie na biurku nauczyciela skończony test.

Po lekcji wybiegam na podwórko z nadzieją, że jeszcze zastanę Bena z psiakiem. Strasznie chcę go zobaczyć. Skąd zdobył takiego uroczonego zwierzaka?

Ben jest już otoczony przez grupę małolatów z podstawówki. Każdy chce dotknąć, pogłaskać albo

potrzymać szczeniaka. Mnie też udaje się dostać go na chwilę w ręce. Jest to mięciutka, żółta kuleczka. Jego brązowe, błyszczące oczka są smutne i bezradne, jakby miał się za chwilę rozpłakać. Tak mi go strasznie żal. Przyciskam go do piersi i całuję w główkę.

- Skąd go masz?

- Znalazłem go dziś rano w olszynie koło szosy. Ktoś go musiał wyrzucić z samochodu.

- Weźmiesz go do domu?

- Nie, nie mogę. W zagrodzie dziadka są już trzy psy.

Już wiem, że jest mój. Zawsze chciałam mieć psa, ale moi rodzice nigdy nie chcieli się zgodzić. Teraz, kiedy dziadek jest w szpitalu, jakoś sobie poradzę z babcią.

- Musi być głodny. Pójdę na stołówkę do kucharek, może dadzą mi trochę mleka.

Oddaję szczeniaka Lidii, która stoi tuż przy mnie i prosi, abym dała jej go potrzymać. Kucharki nalewają mi troszkę mleka do plastikowego kubeczka po jogurcie. Myślę, że wystarczy. Kiedy wracam, Lidia wciąż kurczowo trzyma szczeniaka.

- Wiesz, postanowiłam go zaadoptować - informuje mnie spokojnie.

- Coś ty?!

Nie mogę tego pojąć. Kiedy pobiegłam po mleko, Lidia po prostu go sobie wzięła. Nie mówiłam wcześniej, że go chcę,

bo jakoś nie widziałam, żeby ktoś się do tego palił. Jestem niepocieszona.

- Ja pierwsza go chciałam - upieram się.

- Nic nie mówiłaś.

- No tak, ale to chyba było oczywiste.

- Wcale nie było.

- Ben, powiedz jej coś.

- Załatwcie to, dziewczyny, między sobą.

Dla Bena najważniejsze jest to, że pozbywa się kłopotu. Czuję narastającą bezradność. Wydaje mi się, że się rozplączę. Stoimy tak bez słowa. Już dawno po dzwonku, a my wciąż targujemy się o zwierzaka. Teraz Lidka dała mi go potrzymać na chwilę i wcale nie mam zamiaru jej go oddać. Jest taki malutki i bezradny. Przytulił się do mnie i zamknął oczka.

Chyba zasnął. Musi być potwornie zmęczony.

- No dobrze, jeśli tak bardzo chcesz - zgadza się w końcu Lidia - możesz go sobie wziąć. Ja chyba wolę jakiegoś rasowego psa. Ten to zwykły kundel, w przeciwnym razie nikt by go nie wyrzucił.

Naprawdę jest mój? Nie mogę w to uwierzyć. Lidka pobiegła na lekcje. Zostaliśmy tylko Ben i ja. Patrzymy sobie w oczy bez słowa. Jestem mu wdzięczna, że przyniósł tego szczeniaka, a on mi, że go wzięłam. Uśmiechamy się do siebie.

- Na lekcje! - słyszymy nagle wrzask woźnej, która wyszła na schody i wydziera się na nas, bo już dawno po dzwonku.

Znów się uśmiechamy. Ten wrzask wcale mnie nie wzrusza, jakby dotyczył kogoś innego.

- Chodźmy na lekcję, Ben.

- Dziękuję, że wzięłaś szczeniaka. Dam ci mój numer telefonu. Gdybyś miała jakieś kłopoty, po prostu zadzwoń.

Myślę, że to dobry pomysł, i też daję mu numer swojej komórki. Tak na wszelki wypadek.

Dziwny chłopak z tego Bena. Przytulam psa i czuję jego maleńkie ciało na piersiach.

Rozczuła mnie jego wilgotny, czarny nosek. Zostawiam go na parę godzin pod opieką woźnej i idę na lekcje.

Wciąż nie mogę zapomnieć oczu Bena, wyglądały, jakby było w nich pełno gwiazdek, które o mało nie wysypały się spod powiek. Czuję ciepło tego spojrzenia i po raz pierwszy jest mi tu dobrze i jakoś swojsko.

Mała Księżniczka cd.

-Kim jesteś? - zapytała odważnie księżniczka.

- Jestem synem królewskim - odpowiedział poważnym głosem rycerz. - Mój ojciec jest królem potężnego państwa, które leży daleko stąd. Za siedmioma górami i siedmioma rzekami, i ogromnym, ciemnym lasem, którego strzegą złośliwe czarownice. Tylko człowiek o nieustraszonemu sercu może przebyć ten las. Opuściłem zamek już ponad rok temu. Jeżdżę po świecie i szukam przygód. Pomagam utrudzonym, bronię słabszych i naprawiam krzywdy. Usłyszałem o tobie, księżniczko, od moich poddanych, bo twoje nieszczęście odbiło się już echem o krańce świata.

Księżniczka wpatrywała się w księcia z niedowierzeniem. Jej duszę napełnił ogromny smutek na wieść o nieszczęściu, jakie spotkało jej ojca. Domyśliła się, jak bardzo musi cierpieć uwięziony w zaklętym morzu czarownicy.

- Chciałabym jak najszybciej wyruszyć do pałacu jędzy i uwolnić ojca.

- Spodziewałem się, księżniczko, że twoje kochające serce

tak właśnie będzie chciało uczynić. Jednak samotna podróż byłaby dla ciebie zbyt niebezpieczna. Pozwól, że będę ci towarzyszył.

Księżniczka otuliła się szczelniej pelerynką, gdyż poranny chłód przenikał ją na wskroś, i zacisnęła dłonie w pięstki. Ogarnęła ją nieopisana złość na wiedźmę, która tak okrutnie postąpiła z jej ojcem. Nie bała się trudów, które czekały ją w drodze, i była gotowa wiele wycierpieć. Mimo to w głębi serca odczuła ulgę, że nie będzie sama w tej podróży. Z pałacu wyszła tylko służba, aby ich pożegnać. Koń przy koniu, odjechali żwawo, nie oglądając się za siebie. Podkowy księżęcego rumaka dźwięczały tak, że księżniczce znów wydawało się, że słyszy dzwoneczki w kościele.

Cezar

Cezar to zwyczajny żółty kundelek, ale otacza go jakiś niewidzialny, prawdziwie cesarski majestat. To znaczy, wydaje się, że jest zwyczajny, ale tak naprawdę jest niesamowity. Ma aksamitną, pomarszczoną skórę i fałdki na karku. Tak chyba mają wszystkie szczeniaki. Matka chwytą je zębami, gdy przenosi z miejsca na miejsce, nie robiąc im krzywdy. Lubię wtulać twarz w jego mięciutkie futerko. Kiedy go przytulam, czuję, jak mocno bije mu serduszko. Jest mój i ma tylko mnie. Jednocześnie należy do swojego psiego świata. Ma psie nawyki. Lubi zwijać się w kłębuszek na swoim pościeliu. Czasem wsuwa się do mojego ciepłego kapcia i zasypia tam od razu, a ja chodzę wtedy w skarpetkach po zimnej podłodze. Babcia zabroniła mi spać ze mną w łóżku. Zrobiłam Czarusiowi pościeliu w sieni. Wyłożyłam mu wiklinowy koszyk swoją flanelową piżamą, żeby miał blisko nosa mój zapach, kiedy śpi. On jednak mimo wszystko wychodzi nocą z koszyka i skomle pod drzwiami. Uchylam cichutko drzwi i zabieram go pod kołdrę. Babcia nic o tym nie wie.

Często budzę się w środku nocy bez powodu. Wcześniej strasznie się bałam. Nakrywałam głowę kołdrą i umierałam ze strachu. Teraz mam Cezara. Właśnie słyszę, jak piszczy w sieni. Chyba wyczuł, że nie śpię. Cichutko, żeby nie obudzić babci, otwieram drzwi. Betonowa podłoga jest lodowato zimna. Przebiegam bosą w stronę wejściowych drzwi, gdzie stoi koszyk psa. Wyciągam go z ciepłego posłania, przytulam mocno i zabieram do siebie. Chyba popiskiwał przez sen, bo teraz wydaje się zupełnie zaskoczony. Na szczęście nie protestuje, kiedy biorę go ze sobą. Zwija się w kuleczkę pod kołdrą, a ja tulę go mocno do siebie.

- Cześć, malutki. Smacznie spałem?

Teraz już się nie boję skrzypiącej szafy. A niech tam sobie skrzypi. Nie zwracam już na to uwagi.

Troski

-**M**asz jakieś wieści od mamy? - babcia zagaduje mnie jakby od niechcienia przy śniadaniu. Zwykle stara się unikać tego tematu, jakby czuła się z nim niezręcznie. Może też mnie obwinia, tak jak ja siebie. Gdybym się nie urodziła, nie byłoby depresji poporodowej i ojciec nie zaprzyjaźniłby się z Lucyną.

- Nie, ostatnio nie dzwoni. Pewnie znów ma gorszy czas. Już się przyzwyczaiłam.

- Biedne dziecko.

Babcia gładzi mnie po włosach. Drażni mnie to i potrząsam głową. W końcu zabiera rękę.

Wzdycha ciężko. Nie jest jej ze mną łatwo, ale nie chcę, żeby się nade mną litowała. Głaskanie niewiele pomoże. Sama muszę sobie z tym poradzić.

- Odwiedzimy dziadka w szpitalu? - pytam, bo myślę o tym już od kilku dni.

- Dzwonił dziś rano. Jest nadzieja, że niedługo go puszczą.

Mnie ciężko chodzić, a do autobusu daleko.

- Może sąsiad by nas podwiózł?

- Maciej? Nie trzeba zawracać mu głowy. Budują dom, to i czasu nie ma.

- Dziadkowi byłoby przyjemnie, gdybyśmy go odwiedziły, i może szybciej by wyzdrowiał.

- Może i tak, ale sama widzisz, że nie dam rady.

Cała babcia. Od razu rezygnuje. Może mały wysiłek dobrze by jej zrobił. Taki spacer do przystanku to samo zdrowie. Może później jeszcze spróbuję ją przekonać.

Wracam do siebie, biorę Cezara na ręce i wtulam twarz w jego futerko. Tęsknię za mamą. Co się z nią dzieje?

Nie mam zbyt dużo pieniędzy na karcie, ale muszę to zrobić. Wybieram numer mamy na komórce, po czym słyszę krótki, piskliwy dźwięk i prawie natychmiast włącza się automatyczna sekretarka.

„Zostaw wiadomość po sygnale”.

„Co u ciebie? Dziadek w szpitalu. Martwię się. Ola”.

Znowu nic. Ma wyłączony telefon. Co się tam dzieje? Mamo, na miłość boską, czy już nic cię nie obchodzi?! Muszę już lecieć. Zaraz będzie autobus, a dzisiaj piszę poprawę z matmy.

*

Wracam do domu totalnie przybita. Nawet nie zachodzę do kuchni, żeby przywitać się z babcią, tylko idę prosto do

swego pokoju. Cezar płacze mi się pod nogami. Skomli i wdrapuje mi się na but. Biorę go na rękę. Przytulam i wpatruję się w jego ufne, brązowe oczka. Rzucam do kąta plecak i padam na łóżko. Czuję się beznadziejnie.

- Wiesz, nie napisałam tej poprawy. To było do przewidzenia. Miałam nadzieję, że może będzie coś łatwiejszego, coś, co umiem, ale ja przecież jestem straszna noga z matmy. To takie głupie i beznadziejne. Nigdy tego nie zrozumie. A ta nauczycielka nie ma zamiaru mi odpuścić.

Szczeniak popiskuje żałośnie, zagląda mi w oczy, jakby chciał mnie pocieszyć, i delikatnie potrąca noskiem.

- Miałam beznadziejny dzień. Bena znów nie było w szkole. Jestem zupełnie sama, nikt się do mnie nie odzywa, nikt o nic nie zapyta, nie podejdzie, żeby porozmawiać. Jakby mnie tam w ogóle nie było. Martwię się matmą, ale nie wiem, kogo mam prosić o pomoc. Boję się nauczycielki, bo ona zawsze mówi podniesionym głosem. Nie lubię ludzi, którzy krzyczą. Co ja mam robić, Czarusiu?

Cezar jest niesamowity, wszystko rozumie. Macha ogonkiem i spogląda na piłeczkę. Mam się z nim bawić? Trochę mi się nie chce, ale rzucam piłeczkę, a on biegnie za nią i niesie mi ją w zębach. Kiedy on się nauczył aportować?

Czuję się już nieco lepiej. Przyszedł mi nawet do głowy pomysł, żeby poprosić Martę, aby mi wytłumaczyła matmę. Jutro w szkole ją po prostu zagadnę. Jeśli mnie spławi, nic nie stracę.

Tarmoszę psa za uszy i głaszczę jego puszyste, biskoptowe futerko.

Zgłodniałam trochę, więc idę do kuchni. Zaglądam do lodówki, do szafek, ale świecą pustkami. Znalazłam jakieś resztki, ale nic poza tym. Wpadam na pomysł, aby poszukać jajek w kurniku. Znajduję nawet sporo. Widać, że babcia ich dzisiaj nie zbierała. Ciekawe, czy nakarmiła kury i czy sama zjadła... Uświadamiam sobie, że dzieje się z nią coś złego. Wracam pospiesznie do domu, stawiam torbę z jajami na stole i pukam do jej sypialni. Długi czas nikt nie odpowiada. Zaczynam się poważnie niepokoić. Ostrożnie naciskam klamkę i wchodzę.

Widzę, że babcia położyła się w ubraniu na łóżku i zasnęła. Łóżko jest niepościelone. W pokoju ogólny nieporządek.

Zamierzam się właśnie wycofać, gdy babcia otwiera oczy. Powoli siada na łóżku.

- Co się stało, babciu? Wszystko dobrze?

- Oj, ciężko - narzeka babcia - nogi bolą. Nie dam rady chodzić. To reumatyzm. Wcześniej dziadek wszystko robił, karmił zwierzęta, chodził do sklepu. Chciałam sama, ale nogi tak mnie rozboleły, że musiałam się położyć.

- Nie martw się, babciu. Ja je mogę nakarmić.

- Jak my sobie damy radę?

- Jakoś musimy. Usmażę parę jajek. Chodź do kuchni, babciu, coś zjemy.

- Kochana wnusia, co ja bym bez ciebie zrobiła?

Babcia ma czerwone oczy i boję się, że zaraz się rozpłacze. Pomagam jej wstać i przejść do kuchni. Widzę, z jakim trudem stawia kroki. Ona też powinna pójść do lekarza, ale najbliższa przychodnia jest w Dąbrowie. Będę musiała poprosić sąsiadów, aby ją zawieźli. Smażę jajecznicę i robię dla nas herbatę. Babcia chciwie przetyka kęsy. Mam wyrzuty sumienia, że nie poszłam do niej od razu, gdy tylko wróciłam ze szkoły.

- Powiedz mi, babciu, co jeszcze powinnam zrobić?

Babcia zastanawia się, ale nie może zebrać myśli. Ścisza mnie za rękę i powtarza:

- Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Magda

Nawet mnie to już specjalnie nie dziwi, gdy los rzuca mi pod nogi kolejną kłodę. Nie mogę wciąż się nad sobą rozczulać. Muszę zająć się gospodarstwem i babcią.

Zastanawiam się, co zrobić z matką. Nie mogę tego tak zostawić. Im dalej w las, tym więcej drzew. Chyba jednak porozmawiam z Magdą.

Biorę do szkoły zeszyt i książkę z matmy, chociaż nie mamy dzisiaj tego przedmiotu. Mogłabym nawet poprosić Mateusza. Wiem, że on chętnie by mi wytłumaczył. Nie jestem jednak w stanie do niego podejść.

Na przerwie Magda siedzi pod ścianą i czyta jakąś grubą powieść. Na pewno jej przeszkadzę, ale nie mam innego wyjścia.

- Sorki, że przeszkadzam, ale czy mogłabyś mi trochę pomóc z matmy?

Dziewczyna spogląda na mnie zdziwiona. Wydaje mi się, że w zdenerwowaniu mój głos zabrzmiał raczej arogancko.

- Mogę, czemu nie?

- Bo wiesz, tak lecimy z materiałem, że całkiem wypadłam z tematu i dostaję gęziej skórki przed każdą lekcją.

- Nie przejmuj się. Większość klasy nie rozumie, a naszej pani nie można zapytać. Nie ma cierpliwości.

- Sama nie dam rady.

- Na początku roku zapisywali nas na kółko matematyczne. Ciebie jeszcze nie było. Prowadzi je inna nauczycielka, która nam wszystko od nowa tłumaczy.

- I ty też tam chodzisz?

- Tak. Jest nas spora grupa. Zajęcia są w środy, po lekcjach. Po prostu przyjdź, może cię jeszcze przyjmie.

- Dzięki. A mogłabyś mi jeszcze pomóc rozwiązać te zadania na jutro?

- Jasne. Pokaż.

Magda czyta zadania. Zastanawia się przez chwilę, a potem pisze wyliczenia na kartce. Widzę, że dla niej to proste. Jestem jej wdzięczna, że poświęca mi swój czas. Dziewczyna uśmiecha się i chyba jest nawet zadowolona, że do niej podeszłam.

Ben przyszedł na historię, która jest czwartą lekcją z kolei. Rano go nie było. Nie wiem, czy po prostu interesuje się historią czy też nie był w stanie wstać wcześniej. Wypatrzył mnie na korytarzu i od razu podchodzi.

- Cześć, co słychać?

- Lepiej nie pytaj.

- Aż tak źle? Jak tam dziadek?

- Nie mam pojęcia, co się dzieje. Babcia mówi, że dzwonił. Czuje się lepiej, ale nie wiadomo, kiedy go wypiszą. Chciałabym go odwiedzić, ale babcię bolą nogi i nie jest w stanie ze mną pojechać. Chyba pojedę sama, ale nawet nie wiem, w którym szpitalu leży.

- Trzeba podzwonić po szpitalach.

- Tylko że nie mam w domu Internetu.

- To żaden problem, spróbuję się dowiedzieć.

- Dzięki.

- Wiesz, twój dziadek był u nas całkiem niedawno. Ucięli sobie pogawędkę z moim staruszkiem. Zawsze jak się spotkają, wspominają dawne czasy. Byli razem w partyzantce. Po wojnie ukrywali się w naszych lasach. Ktoś z miejscowych ich wydał i zostali aresztowani. Razem siedzieli, a na tamtego, co zdradził, partyzanci wydali wyrok. Został rozstrzelany, a jego ciało ktoś porzucił na skrzyżowaniu dróg, ku przestrodze innym. W tym miejscu teraz stoi taki wysoki, brzozowy krzyż, tam, gdzie autobus skręca do Bronek.

Dzwonek na lekcję przerywa nam rozmowę. Czekamy jeszcze parę minut, zanim nauczyciel wejdzie z parteru, gdzie jest pokój nauczycielski, na drugie piętro.

- Posłuchaj - Ben przypomina sobie, o czym wcześniej

rozmawialiśmy – poszukam w Internecie numerów telefonów i dowiem się, gdzie leży twój dziadek. Możemy razem do niego pojechać. Na przykład w sobotę.

- Naprawdę chciałbyś ze mną pojechać?

- Nie ma sprawy.

Nigdy jeszcze sama nie odwiedzałam nikogo w szpitalu. Muszę porozmawiać z lekarzem, a tego boję się najbardziej. Wracam do domu w wesołym nastroju. Po drodze zachodzę do sklepu i robię zakupy. Mam nadzieję, że babci się polepszyło. Jeszcze niedawno chodziła po podwórku i wszystko robiła w domu. Może to tylko osłabienie.

Niestety znów zastaję ją w łóżku. Nie jest dobrze. Gdyby mogła, na pewno czekałaby na mnie z obiadem. Na kuchence stoją puste garnki. Trzeba przygotować coś do jedzenia.

Potrafię ugotować rosół. Mam kostki rosołowe i makaron. Na drugie danie robię spaghetti z sosem. Wszystko kupiłam w naszym sklepie. Jestem z siebie zadowolona.

Babcia wciąż leży. Dopiero z moją pomocą wstaje powoli i idzie do kuchni. Jemy w milczeniu. Babcia wzdycha głęboko między jedną łyżką rosółu a drugą.

- Jak się czujesz, babciu?

- Sił brakuje.

- Może powinnaś pójść do lekarza? Może zadzwonić po pogotowie?

- Te moje nogi, żeby tylko mogła pojechać do lekarza do

Dąbrowy, może on by mi coś wypisał.

- Mogę poprosić sąsiada.
- Tak by było najlepiej, tylko do Macieja nie idź. Buduje dom, ma robotników. Nie zostawi ich.
- No dobrze, w takim razie do kogo?
- Tu każdy ma samochód, ale ludzie pracują, mają gospodarstwa albo dojeżdżają do Dąbrowy lub do Białegostoku do pracy. Musiałabyś zapytać.

Niezbyt mi się podoba chodzenie po domach i pytanie, czy ktoś zawiezie babcię, ale nie mam innego wyjścia. Nie mogę patrzeć, jak się męczy. Dla towarzystwa biorę ze sobą Cezara. Na drodze spotykam Stasia, chłopaka z Broniek, który chodzi do szóstej klasy. Znam go z widzenia. Dojeżdża ze mną szkolnym autobusem.

- Stasiu, powiesz mi, kto tu ma samochód i mógłby zawieźć moją babcię do lekarza?
- Nie wiem, może Czerwiński.
- Zaprowadzisz mnie?
- Spoko.

Czerwiński zgadza się chętnie. Pracuje w urzędzie pocztowym w Dąbrowie, ale zwolni się jutro z pracy i zabierze babcię do lekarza, a potem odwiezie ją do domu. Ludzie w Bronkach są naprawdę życzliwi. Pani Czerwińska pyta mnie o dziadka i babcię, oferuje pomoc. Może będę musiała z niej skorzystać.

Jest wieczór. Nakarmiłam zwierzęta. Dałam też karmę i wodę Czarusiowi. Wreszcie mogę zająć się lekcjami. Wyjmuję książki, siadam przy stole i wtedy ogarnia mnie przemożna senność. Powieki same mi się zamykają, a głowa opada na książkę. Wychodzę do łazienki, spryskuję sobie twarz wodą, ale niewiele to pomaga. Spoglądam w lustro i przychodzą mi do głowy te wszystkie pytania. Co ja tu robię na tym końcu świata? Jak długo jeszcze?

Odwiedziny

Przyszedł Ben, z czego oczywiście niezmiernie się cieszę. Nie było go dziś rano w autobusie, więc myślałam już o najgorszym, że po prostu zapomniał o swojej obietnicy i że nie pojedzie ze mną do szpitala. Czasem brakuje mi wiary w ludzi. A on przyszedł, tylko się trochę spóźnił na pierwszą lekcję. Skinął do mnie głową z daleka, ale wygląda dość ponuro. Rzucił plecak na ziemię i wcisnął się w wąską przestrzeń pomiędzy biurkiem i krzesłem, starając się nie robić hałasu. Usiadł ociężale i wpatruje się w stolik, jakby zupełnie go nie obchodziło, co się dzieje na lekcji.

Kiedy nauczyciel wzywa go do odpowiedzi, Ben nie reaguje.

- Najwyraźniej nie wyspałeś się, ale liczą się dobre chęci. Obecny ciałem, duchem w piernatach.

Klasa wybucha śmiechem. Ben podnosi głowę i stara się zrozumieć, co się stało.

- Przepraszam, zamyśliłem się.

- Jeśli myślisz, że nie obowiązują cię szkolne zasady, to się

grubo mylisz! Gdzie jest twoja książka i zeszyt?

Ben podnosi plecak z podłogi. Wstaje raptownie. Krzesło zgrzyta po podłodze i o mało się nie przewraca. Chłopak chwyta je w ostatniej chwili. Ogląda się za siebie i zatrzymuje na mnie wzrok. Patrząc mu prosto w oczy. Jego twarz i cała postać wyrażają złość, ale w jego oczach widzę smutek. W końcu Ben oddycha głęboko. Siada, wyjmując książki i pochyla się nad nimi. Na przerwie siada w korytarzu, na ławce przytwierdzonej do ściany metalowymi śrubami, wyjmując komórkę, spuszcza głowę i zasłania twarz włosami. Mam wrażenie, że nie chce rozmawiać. Staję przed nim, uśmiecham się i czekam, aż podniesie wzrok. Patrzy mi w twarz.

Rysy jego twarzy łagodnieją i wreszcie też się uśmiecha.

- Co sływać?

- Wszystko w porządku. Znalazłem twego dziadka.

- Naprawdę? To super. Czy wciąż chcesz ze mną jechać?

- Zgodnie z umową jedziemy jutro.

Nie umiem ukryć radości, ale widzę, że Ben jest zmartwiony. Odwraca głowę i unika mego wzroku, jakby coś przede mną ukrywał.

- Coś ci powiedzieli?

- Nic mi nie powiedzieli. Przez telefon nie podaje się żadnych informacji. Wiem tylko, że jest po operacji.

- Po operacji?

- Przeszedł operację i teraz robią mu jeszcze jakieś badania.

- Operacja w jego wieku! Wiesz, co to oznacza?!

- Zależy, jaka operacja.

- Może lepiej, że babcia z nami nie jedzie.

- Jutro porozmawiamy z lekarzem.

Ta wiadomość zawładnęła mną na cały dzień. Nie potrafię o niczym innym myśleć. Wyobrażam sobie, jak zareaguje babcia. Ona już teraz ledwo daje sobie radę. Te dwa tygodnie bez dziadka zwały ją z nóg. Co się stało? Dzwonił ze szpitala i nic jej nie powiedział? Może ja też nie powinnam.

W nocy nie mogę zasnąć. Leżę z otwartymi oczami i wpatruję się w mrok. Jest już po północy. W okno zagląda księżyc. Jest pełnia. Dostrzegam kontur kredensu, którego drzwiczki są lekko uchylone i co jakiś czas wydają chrapliwe odgłosy, które przypominają kroki skradającego się człowieka. Potrafię już sobie wytłumaczyć, że nic mi nie grozi. To tylko złudzenie. Przy moich nogach śpi Cezar. Gdyby rzeczywiście ktoś nadchodził, narobiłby hałasu, a on śpi spokojnie jak baranek. Mimo to wpatruję się uparcie w czarne kontury, które rysują się wyraźnie w srebrnej poświacie księżycy przenikającej przez okno, i nie mogę zasnąć prawie do rana.

W szpitalu

Babcia spakowała trochę rzeczy, o które dziadek prosił przez telefon. Ręcznik, szlafrok i pantofle.

- Ucałuj dziadka i daj mu to.

Chwytam torbę i wybiegam na przystanek. Ben już czeka. Jestem mile zaskoczona, myślałam, że jest strasznym śpiochem. Oprócz nas stoją jeszcze dwie kobiety z koszykami pełnymi jaj.

Domyślam się, że jadą na targ. Autobus podjeżdża prawie pusty, co mnie raczej nie dziwi.

Zajmujemy miejsca z tyłu i rozmawiamy przez całą drogę.

- Czy twój tata też pochodzi z Podlasia?

Wkładam ręce do kieszeni i zaciskam mocno dłonie. Spoglądam podejrzliwie na Bena. Dlaczego pyta mnie o ojca? Nie chcę o nim teraz rozmawiać.

- Nie. Jest z Krakowa.

- Jaki on jest?

- Bo ja wiem... Jest szczupły, ma czarne włosy. Pamiętam, że gdy byłam mała, podnosił mnie wysoko i sadzał sobie na ramionach. Wcale się nie bałam, czułam się z nim bezpieczna. Teraz nie potrafię tego zrozumieć, że...

- Wydaje ci się to dziwne, że cię tu zostawił?

- Po prostu chciałabym wiedzieć, co się stało. Może nie wolno nikomu ufać do końca...

- To nie fair.

- Wiem, ale to niełatwe.

Powiedziałam to i czuję ulgę. Ben jest okay. Jest taki normalny i można z nim pogadać. Może dlatego, że jest o rok starszy.

- Nie martw się. Teraz jest coraz więcej takich eurosierot jak my.

- Teraz to już mnie dobiłeś.

- Nie patrz tak na mnie!

- Jak?

- No... Jakbym był twoim wrogiem.

- Przepraszam.

Oboje milczymy. Patrzymy w okno na przydrożne drzewa i domy, które migają nam przed oczami. Strasznie chciałabym przytulić się do Bena, ale nie znamy się jeszcze tak dobrze. Czasem tylko spoglądamy na siebie i uśmiechamy się.

- Ten szpital jest naprzeciwko parku. W wakacje pracowałem w pizzerii, która jest niedaleko. Możemy się później przejść. Mój kumpel, Radek, wciąż tam pracuje w weekendy. Zrobi nam świetną pizzę. Dasz się namówić?

- Dawno już nie jadłam pizzy i chętnie poznam twego kumpla.

Ben zna doskonale Białystok, jakby się tam urodził. Chce mi o wszystkim opowiedzieć, ale nie jestem wcale ciekawa. Tęsknię za Krakowem, za Julką, Bartkiem i moją starą klasą, ale nie mówię mu tego, nie chcę mu sprawić przykrości i udaję, że słucham.

Wyglądam przez okno i nagle odpływam. Wyobrażam sobie, że idę z Julką wąską uliczką Starego Miasta, a ona opowiada mi, że dostała główną rolę w „Romeo i Julii”, a Bartek gra Romea. Na każdej próbie umierają z miłości. Sztuka będzie wystawiona w Teatrze Słowackiego i wszyscy są niewyobrażalnie podekscytowani i koniecznie muszą przyjechać, żeby to zobaczyć.

Dobrze, że Ben ze mną pojechał. On wie wszystko, gdzie wsiąść i dokąd pójść.

Przechodzimy przez most nad torami i wsiadamy do miejskiego autobusu, który zatrzymuje się pod szpitalem. Jest to rozległy kompleks budynków. Wchodzimy za bramę i rozglądamy się. Ben rozmawia ze strażnikiem w dyżurce, który wskazuje nam szary blok ukryty za drzewami. Pytamy po drodze jeszcze kilka osób, zanim wreszcie dowiadujemy się, gdzie leży dziadek.

Na korytarzu uderza mnie zapach leków i środków dezynfekcyjnych. Współczuję pacjentom. Od samego oddychania tym powietrzem można się rozchorować. Korytarz pomalowany jest na jasnofioletowy kolor, z ciemniejszym pasem na dole. Podoba mi się ten kolor i bez zastanowienia przeciągam dłonią po ścianie. Mija nas pielęgniarka, ale nie zwraca na nas uwagi.

Nie od razu poznaję dziadka. Jego łóżko stoi przy oknie. Przyglądam się leżącym na sali i ogarnia mnie przygnębienie. Twarze chorych są blade i zmęczone. Dostrzegam w nich ból i niepewność. Czuję się nieswojo. Dziadek ma zamknięte powieki i szeroko otwarte, bezzębne usta. Jego mlecznobiałe włosy są sztywne i nastroszone. Robią odstrasżające wrażenie. Pod rozpiętą piżamą na piersiach widać bandaże. Sąsiad dziadka przebiera w dłoniach paciorki różańca. Przygląda nam się, gdy tak stoimy obok łóżka i nie wiemy, co robić.

- Śpi już ze dwie godziny, trzeba go obudzić - zachęca nas.

- Może trochę poczekamy, niech odpoczywa.

- Już pomału dochodzi do siebie - ktoś informuje nas niepytany.

- Z jedzeniem jest problem, ale to wróci, trzeba czekać.

Ktoś szybko podsuwa nam krzesła, żebyśmy usiedli. Wyczuwam szczerą życzliwość i solidarność między pacjentami. Mam wrażenie, że cieszą się, jakbyśmy przyszli

trochę także do nich.

- Ola? A to kto?

Dziadek nagle otwiera oczy.

- Ben od krawców. Nie poznajesz, dziadku?

- Dzień dobry. Jak się pan czuje?

- A, dzięki Bogu już lepiej. Może mnie puszczą lada dzień. A babka jak tam daje radę?

- Wszystko dobrze, nie musisz się o nic martwić, dziadku. Trochę babci pomagam w gospodarstwie i pani Czerwińska obiecała, że przyjdzie, jak zajdzie potrzeba.

- Czerwińska? Tego bym się nie spodziewał.

Dziadek jest zaskoczony. Zupełnie nie wiem, o co chodzi, ale nie pytam, żeby go nie męczyć, tylko szybko zmieniam temat.

- Porozmawiam z lekarzem i zapytam, kiedy cię wypiszą.

- Ale czy on zechce z tobą gadać, dzieciaku?

- Pójdziemy z Benem. On jest starszy i prawie dorosły.

Nagle dziadek wpada w dziwne odrętwienie. Jakby zapomniał, że tu jesteśmy. Leży nieruchomo i wpatruje się w sufit. Jego wyblakłe oczy pokryły się białą mgiełką. Z piersi dobywa się cichy jęk. Po chwili powieki opadają i wydaje mi się, że zasnął.

- On tak cały czas. Obudzi się, popatrzy i znów zasypia. Wymęczony organizm, musi odpocząć - uspokaja nas głos ze

środku sali.

Dziadek jednak nie zasnął, tylko odpoczywał. Teraz daje mi znak, że chce wstać. Podbiegam i podaję mu rękę. Jego dłoń jest miękka i wilgotna. Spod kołdry wysuwają się zeszywniałe nogi.

- Tam na szafce leżą moje zęby.

Odwracam się i patrzę błagalnie na Bena. Chłopak rozumie mnie bez słów. Nakłada dziadkowi szlafrok, wsuwa nogi w pantofle, a potem podaje mu sztuczną szczękę, którą staruszek wsuwa do bezzębnych ust.

Powoli, przy życzliwym dopingu pacjentów, wychodzimy na korytarz i spacerujemy przez całą długość korytarza i z powrotem. Dziadek zatrzymuje się co kilka kroków, ale po chwili znów rusza do przodu.

- Kazali chodzić. Inaczej nie wypuszczą do domu. Dobrze, że przywiozłaś kapcie.

Po spacerze dziadek jest zmęczony. Znów się kładzie i zasypia. Słyszymy jego świszczący, urywany oddech.

Cichutko wstajemy, odstawiamy na miejsce krzesła i wychodzimy na korytarz. W dyżurce spotykamy dwie pielęgniarki, które pytamy o lekarza. Niestety musimy czekać.

Pod gabinetem stoi dwoje ludzi w średnim wieku. Rozmawiają szeptem. Słysząc głębokie westchnienia. Wreszcie nadchodzi lekarz. Ma narzucony na ramiona biały fartuch, a pod spodem zielonkawą szpitalną uniformę.

- Do mnie? Proszę.

Oni byli pierwsi, więc my jeszcze czekamy. Ben spogląda na mnie pełnym współczucia wzrokiem, ale nic nie mówi. Wreszcie tamci wychodzą. Kobieta pochlipuje w chusteczkę.

Mężczyzna ma zboląły wyraz twarzy. Z lękiem przekraczam próg gabinetu.

- Jesteśmy krewnymi Józefa Chrostowskiego.

- Jakie jest pokrewieństwo?

- Jestem wnuczką, a to mój chłopak.

Zerkam na Bena, ale on odwrócił głowę i rozgląda się po ścianach, gdzie wiszą makiety narządów wewnętrznych człowieka.

- Chciałabym się czegoś dowiedzieć o stanie mojego dziadka.

Lekarz przegląda dokumenty na biurku. Bierze do ręki kartkę i miętosi ją w dłoniach.

- Przyszły już wyniki badań, ale nie mam dobrych wiadomości. Pani dziadek przyjechał do nas bardzo późno. Jego płuca zaatakował nowotwór. Musieliśmy usunąć dużą część płuca. W tym wieku nie możemy stosować typowych dla choroby środków medycznych.

- Co to oznacza?

- Chemioterapia czy naświetlania by go zabiły. Musimy pozostawić jego organizm siłom natury. Pocieszające jest to, że w takim wieku komórki rakowe rozwijają się bardzo

powoli.

Czuję, że wargi zaczynają mi drżeć, więc zagryzam je mocno. Ben wyręcza mnie w zadawaniu pytań.

- Jak długo będzie żył?

- Nie mogę zbyt wiele obiecać. Należy pogratulować, że pan Chrostowski dożył tak sędziwego wieku. Nie wszystkim się to udaje.

- Kiedy wróci do domu?

- Poczekamy do zdjęcia szwów. Jeszcze tydzień. Po wypisaniu będzie pod kontrolą przychodni onkologicznej.

- Czy to pan go operował?

Lekarz ma bladą, przezroczystą skórę i podkrążone oczy. Jest trochę podobny do swoich pacjentów.

- Tak.

- Dziękuję.

Udaje mi się wykrztusić tylko to jedno słowo.

- Nie trzeba dziękować, to moja praca.

Lekarz ma poważny wyraz twarzy. Takie sytuacje to dla niego codzienność, ale widzę, że nie jest mu łatwo informować o śmiertelnej chorobie.

- Pani dziadek nie musi tego wszystkiego wiedzieć - podpowiada mi.

Wspieram się na ramieniu Bena, kiedy wychodzimy z gabinetu. Potrzebuję go. Czuję, że miękną mi nogi i żołądek

podchodzi do gardła.

Po opuszczeniu szpitala idziemy do parku, ale nie mam ochoty na pizzę czy poznawanie kogoś. Ben tak się cieszył na spotkanie z kolegą, więc nie mogę go zatrzymać.

- Wiem, że chcesz się zobaczyć z Radkiem. Poczekam tutaj na ciebie.

- Wcale nie muszę. Nawet do niego nie dzwoniłem.

Cały Ben. Jestem mu wdzięczna, że nie zostawi mnie tu samej. Potrzebuję go teraz.

- Przepraszam, że tak powiedziałam u lekarza.

- Że co?

- Że jesteś moim chłopakiem, ale chciałam, żeby mnie potraktował poważnie.

- Nie ma sprawy, przecież jesteśmy... przyjaciółmi. To chyba nawet więcej.

- Tak sądzisz?

Teraz już mogę przytulić się do Bena i nie bać się, że on sobie coś pomyśli.

- Trzeba się pogodzić. Śmierć to ludzka rzecz, każdy musi umrzeć. Poza tym twój dziadek jeszcze trochę pożyje.

- Nie chcę, żeby cierpiał.

- Gdzieś czytałem, że cierpienie jest darem, którego aniołowie ludziom zazdroszczą.

Wieczorem dzwonię do mamy. Muszę jej o wszystkim

powiedzieć. Może ona tam w Londynie będzie mogła zdobyć lepsze lekarstwa dla dziadka. Wybieram numer i długo czekam, aż mama odbierze. Wciąż jest w pracy. Nie powinna rozmawiać przez telefon, bo nie podoba się to menadżerowi. Mówi do mnie szybko, ściszym głosem i ma czas tylko, aby mi się poskarżyć na swoje życie. Nie mówię jej nic o dziadku, skoro o niego nie pyta. To byłoby dla niej zbyt wiele. Ma dość swoich kłopotów. Powiem jej, kiedy dziadek wyjdzie ze szpitala i poczuje się lepiej.

Przydział ról na jasełka

-Na dzisiaj mieliście nauczyć się wierszy na pamięć. Oczywiście ci, którzy będą recytowali najładniej, otrzymają główne role.

Nauczycielka polskiego przydzieli nam już dzisiaj role. Jednak chcę wziąć udział w tym przedstawieniu. Uwielbiam teatr. W Krakowie często chodziłyśmy z mamą na sztuki. To było tak dawno temu...

Po kolei wychodzimy na środek klasy. Prawie wszyscy mówią ten sam wiersz o jesieni, który mieliśmy ostatnio na polskim. Tylko niektórzy postarali się o coś innego. Marta przygotowała wiersz Kamieńskiej, Mateusz coś z Gałczyńskiego, a Emil wszystkich zaskoczył Miłozem.

Lidia nauczyła się ładnego wiersza o matce, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. Kilka osób powiedziało swoje teksty. Teraz moja kolej. Nie wiem, dlaczego tak się denerwuję, przecież nie zależy mi na tym przedstawieniu aż tak bardzo.

„Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą.

Zostaną po nich buty i telefon głuchy...”

Wyobrażam sobie, że siedzimy z mamą w małej kawiarence i mówię do niej te słowa szeptem, a potem wyobrażam sobie, że stoję na scenie w teatrze i krzyczę głośno, żeby oboje się opamiętali. Czuję, że mam rozpalone policzki i zalewają mnie emocje.

Nie słyszę, co mówi nauczycielka. Na szczęście ktoś inny wychodzi na środek klasy i mówi swój wiersz.

Ben recytuje Norwida cicho i spokojnie i sprawia, że jego głos mnie uspokaja:

„Tęskno mi ówdzie, gdzie któż o mnie stoi?

I tak być musi, choć się tak nie stanie Przyjaźni mojej!

Tęskno mi, Panie”.

Podnoszę oczy i wpatruję się w jego twarz. Mówi powoli, jakby trochę niezdarnie, ale bez wysiłku. Jakoś tak zwyczajnie. Tak zwyczajnie, jakby stał przed nami sam Norwid i skarżył się na swój tułaczy los.

Wszyscy są pod wrażeniem, ale Ben może zostać tylko pastuszkami, jeśli chce brać udział w jasełkach. Nie może dostać głównej roli, bo często opuszcza lekcje. Ja też zagram pastuszkami. Mateusz dostał rolę świętego Józefa. Role Heroda i jego żony zagrają Andrzej i Magda. Emil będzie diabłem, a Lidię nauczycielka wybrała do głównej roli. Ma zagrać Maryję. Myślę, że ona się do tego nadaje, bo jest naprawdę ładna. Reszta klasy też weźmie udział w przedstawieniu, będą pastuszkami, diabłami albo aniołami.

Kłopoty z Emilem

Zosi nie ma dzisiaj w szkole. Pojechała na badania. Tak mi powiedziała wczoraj. Jeśli będzie trzeba, zostawią ją w szpitalu i potrwa to parę dni. Wolałabym, aby tak się nie stało. Kiedy jej nie ma, mam problem. Od jakiegoś czasu Damian z Emilem siedzą za nami i wciąż nam dokuczają. Zamienili się miejscami z Kubą i Andrzejem, a raczej zmusili ich, aby się przesiedli. Nauczyciele jakoś tego nie zauważają.

Zośka ma na nich sposób. Gdy nauczyciel nie patrzy, potrafi odwrócić się i wymierzyć łokciem sprawiedliwość. Chłopaki czują przed nią respekt. Gdy jej nie ma, nie mogę się od nich opędzić. Wciąż mnie poszturchują i coś zabierają.

Teraz to już naprawdę przesadzili. Jest lekcja biologii. Zygotą tłumaczy nam budowę rośliny i pisze na tablicy informacje, które wszyscy przepisują, a oni zabrali mi książkę i zeszyt i nie mają zamiaru ich oddać. Odwracam się i próbuję prośby, groźby i perswazji, ale to ich tylko bawi. W końcu nasze stłumione głosy dobiegają do uszu nauczycielki. W momencie, gdy pani na nas spogląda, jestem odwrócona plecami do tablicy i dlatego właśnie mnie

postanawia ukarać za ten cały bałagan na lekcji.

- Ola, co się tam dzieje!?

Emil z Damianem robią głupie miny, a ja tylko zaciskam zęby i milczę.

Zygota nie wytrzymuje i z kredą w ręku idzie prosto do mnie. Damian szybko rzuca mi na ławkę zeszyt i krztusi się ze śmiechu. Emil, niewiele myśląc, podrzuca w górę podręcznik z taką siłą, że książka leci aż pod ścianę.

Otwieram zeszyt i nie wierzę własnym oczom. Jest cały porysowany niecenzuralnymi obrazkami.

- A to co?!

- To koledzy, proszę pani... - bronię się.

Nauczycielka stuka nerwowo palcami o blat biurka.

- Co wy wyprawiacie? Tym razem nie ujdzie wam to na sucho. Wy dwaj - zwraca się do Emila i Damiana - proszę ze mną, idziemy do pani pedagog.

- Przepraszamy, już nie będziemy.

- Nie rozumiem, co was napadło.

Jest środek lekcji, ale mimo to wychodzą. Pani nie powinna zostawiać nas samych. Na szczęście wszyscy siedzą spokojnie, słysząc tylko ściszone rozmowy.

Tamci wracają przed końcem lekcji. Chłopcy mają skruszone miny i nie patrzą na mnie. Nauczycielka stawia ich pod tablicą i prosi również mnie na środek klasy.

- A teraz przepróście koleżankę.

Emil pierwszy wyciąga rękę.

- Ty chamie! Pierwszy wyciągasz grabę do dziewczyny? Nikt cię nie nauczył kultury? - strofuje go Zygota.

- Mam to w dupie - wybucha Emil i nie pytając o zgodę, wraca do ławki.

- Po południu zadzwonię do twoich rodziców.

- Może pani dzwonić. Wątpię, czy się pani dodzwoni.

- Uważaj, bo ci się rodzina powiększy o kuratora! - grozi nauczycielka.

W końcu Damian mnie przeprasza i możemy już wrócić na swoje miejsca. Te wymuszone przeprosiny nie mają dla mnie najmniejszego znaczenia. Wręcz przeciwnie. Wywołują tylko niepotrzebne emocje.

Wracamy do ławek, a pani dalej prowadzi lekcję. Zerkam ukradkiem na Emila, który siedzi bez ruchu, z wypiekami na twarzy, z trudem powstrzymując łzy. Wszyscy spoglądają w jego stronę ze zdziwieniem i politowaniem. Zwykle gra twardziela, jednak dzisiaj go zaboląły uwagi nauczycielki.

- Ja się zabiję - mówi drżącym głosem, ale wystarczająco głośno, by klasa mogła usłyszeć.

- Zrzucimy ci się na wieniec - ironizuje głośno Lidia.

Nikt się jednak nie śmieje.

Na przerwie podchodzę do okna i obserwuję szkolne

podwórko. Stoję tyłem do korytarza i zupełnie nie wiem, co się tam dzieje. Słyszę jakieś urywane rozmowy i wyczuwam nerwową atmosferę za swoimi plecami, ale się nie odwracam. Ogarnia mnie coraz większy niepokój. W pewnym momencie podbiega do mnie Emil.

- Zginiesz! - krzyczy mi prosto do ucha.

Na szczęście do okna podchodzi Ben i jakby od niechcienia siada na parapecie. Emil spogląda na niego z wyrazem pogardy na twarzy, ale zostawia mnie w spokoju. Nawet nie patrzę na Bena. Nadal uparcie wpatruję się w szkolne podwórko. Może to zupełny przypadek, że się tu właśnie teraz pojawił. Tymczasem Ben, jak gdyby nigdy nic, wyjmuje jakąś książkę i przegląda ją uważnie.

Nie mogę w to uwierzyć, ale następnego dnia Emil znów przychodzi do szkoły z podbitym okiem i siniakami na twarzy. Zachowuje się, jakby coś zażył. Śmieje się histerycznie i biega jak wariat po korytarzu. Łamie wszelkie przepisy. Na lekcjach nawet nie wyjmuje książek i zeszytów. Niektórzy nauczyciele go ignorują, inni stawiają uwagi, ale nie robi to na nim wrażenia.

- Kto go tak urządził? - zagaduję Bena, gdy nikogo nie ma w pobliżu.

- Domyślam się, co się stało. Później o tym pogadamy.

Kiedy wracamy do domu, Ben wysiada na moim przystanku.

- Odprowadzę cię.

- Możesz mi powiedzieć, co się dzieje z Emilem?

- Nic, jego stary ma twardą rękę.

- Bije takiego dużego chłopaka?

- Wszyscy ich znają, tylko ty jesteś nowa, to nic nie wiesz. Ojciec Emila surowo wychowuje dzieci, a szczególnie, gdy Emil narozrabia w szkole, to potrafi mu nieźle przyłożyć. Chce chyba pokazać, jakim jest dobrym ojcem.

- Straszyl, że mnie zabije.

- Nie bój się. Nic złego ci nie robi, tylko ostatnio się buntuje przeciw całemu światu. Druga klasa gimnazjum, rozumiesz.

- Czy można mu jakoś pomóc?

- Nie wiem. Przykro mi, ale czarno to widzę. Lepiej na niego uważać.

- Chciałabym mu pomóc.

- Ale jak?

Rozmowa z Emilem

Widok Emila wzbudza we mnie lęk. Widzę z daleka, jak wchodzi do szkoły, lekko pochylony, na kołyszących się nogach, z szerokim uśmiechem na twarzy, który w każdej chwili może się zmienić w grymas złości lub pogardy.

Nauczyłam się w stosunku do niego ostrożności. Odczuwam duży dyskomfort, gdy pomyślę, że chciałby mnie skrzywdzić. Wolałabym, abyśmy zakopali wojenny topór i aby nasza relacja była bardziej przyjacielska. Po tym, co usłyszałam od Bena na temat jego ojca, zmieniłam o nim zdanie. Chciałabym mu jakoś pomóc, chociaż zupełnie nie wiem jak i czy to jest w ogóle możliwe. Zastanawiam się, jak doszło do tego, że tak mnie nienawidzi. Nie podoba mi się jego poza, gdy idzie przez korytarz z wysuniętymi do przodu ramionami i pochyloną głową, jakby czaił się do ataku.

Być może został skrzywdzony przez los, ale mści się i krzywdzi ludzi, którzy nie zrobili mu nic złego. Znów dokucza Zosi. Wyjął z plecaka plastikową rurkę po długopisie i wydmuchuje przez nią kulki papieru. Nie jest to bolesne, ale męczy i upokarza Zośkę. Kiedy dziewczyna odwraca się,

aby zobaczyć, kto to zrobił, szybko chowa rurkę i robi zdziwioną minę, jakby nie miał z tym nic wspólnego.

W końcu Zośka nie wytrzymuje.

- Jeszcze raz to zrobisz, a pożałujesz!

- O co chodzi, grubasie? - odcina się Emil.

Zośka zalewa się rumieńcem, zaciska pięści i zamierza się do ciosu. Podbiega do Emila, ale on jakby tylko na to czekał. Śmieje się szyderczo i wielkimi susami ucieka przez środek korytarza. Jest zręczny i szybki. Zośka zatrzymuje się po kilku krokach. Nie ma z nim szans.

- Daj spokój - próbuję ją uspokoić. - Ignoruj go, na głupotę nie ma lekarstwa.

Tymczasem Emil stoi już za moimi plecami i wszystko słyszy.

- Chcesz dostać, mała?

- Mam tego dość! - krzyczę mu prosto w twarz. - Tupetu ci nie brakuje, już mnie o tym przekonałeś, ale wcale się ciebie nie boję!

- Pogadamy po lekcjach! - Emil znów mnie straszy, jakby tylko siłą potrafił rozwiązywać swoje problemy.

- Chętnie z tobą porozmawiam.

Na szczęście nauczyciel otwiera drzwi i wchodzimy do klasy. Udaję, że pogrożki Emila nie robią na mnie wrażenia, ale wewnątrz cała się trzęsę. Mam spocone dłonie i czuję, że krew odpłynęła mi z twarzy. Na szczęście chłopaki siedzą

z tyłu i nie mogą widzieć, co się ze mną dzieje. Ben znów nie przyszedł. Mam nadzieję, że jeszcze dojdzie, może tylko się trochę spóźni. Jeśli nie, będę musiała to jakoś sama załatwić. Nie wierzę, że Emil mógłby podnieść na mnie rękę, ale tak naprawdę zupełnie nie wiem, czego mogę się po nim spodziewać. Na przerwie Emil ulatnia się gdzieś, biegnąc w dzikich podskokach. Naprawdę muszę z nim pogadać. Nie będę już dłużej znosić jego zachowania, poza tym szkoda mi Zosi.

- Jak tam wypadły badania? - zagaduję ją, gdy wychodzimy z klasy.

- Nic nie wyszło. Wszystko w porządku.

Inne dziewczyny z naszej klasy siadają w kółko na ziemi nieopodal i pokazują sobie projekty ubrań, które mieliśmy wykonać na sztukę. Nagle Lidia odwraca się za siebie i spogląda na Zosię.

- Gdybym ja była taka gruba, tobym chyba nic nie jadła dzień i noc - komentuje głośno.

Dziewczyna nie reaguje. Spuszcza tylko wzrok i wpatruje się uparcie w płytki podłogi. Jestem wściekła na Lidię. Łatwo jej mówić, gdy sama wygląda perfekcyjnie. Niektóre dziewczyny już tak mają. Nie muszą nic robić, a ich cera i figura są idealne.

- Nie zwracaj na nią uwagi - staram się pocieszyć Zosię.

- Chciałabym być taka jak wszyscy, nikt nie chce być inny.

- Wiem. Ja też. Spójrz na moją cerę. Choćbym robiła nie

wiem co, codziennie rano budzę się z twarzą czerwoną od pryszczu.

- Hormony.

- Sama widzisz.

- Ale ty się tym wcale nie przejmujesz.

- Wierzysz w to, co mówisz? Nienawidzę tego draństwa.

- Zastanawiam się, dlaczego jestem inna. Dlaczego właśnie mnie to spotkało? To niesprawiedliwe.

- Chętnie się z tobą zamienię. Wezmę twoje kilogramy, a oddam ci moje pryszcze.

- Lepiej nie. - Twarz Zośki rozjaśnia nikły uśmiech.

- Sama widzisz! Diabeł znany jest lepszy od tego, którego nie znamy.

Zosia wzrusza ramionami i uśmiecha się blado. Nagle mnie samej robi się trochę lżej na sercu.

Spoglądam na to, co robią dziewczyny obok, i przypominam sobie swoje projekty. Siedziałam nad nimi wczoraj prawie do północy. Jest to kolekcja długich sukien, z głębokim dekoltem na plecach, jakie czasem ubiera moja mama. Pokazuję je Zosi, więc ona też wyjmuję z plecaka swoje.

- Są to ubrania dla puszystych.

Muszę przyznać, że nawet mi się podobają te szkice, przyglądam im się trochę zdziwiona. To odważne z jej strony,

że zaryzykowała z takimi projektami.

- Oryginalne.

- Podobają ci się?

- Niezłe. Wiesz, na świecie jest chyba więcej takich ludzi przy kości niż chudzielców. W każdym razie wszyscy potrzebują ubrań. Świetnie, że o tym pomyślałaś.

Dobrze mi się rozmawia z Zośką. Szkoda tylko, że Emil ze swoimi kumplami nie dają nam spokoju. Zaglądają nam przez ramię na rysunki, komentują i śmieją się.

- Bardzo wymyślne majtasy, pokaż!

Emil błyskawicznym ruchem wyrywa z rąk Zosi projekt. W jej palcach pozostaje jedynie urwany skrawek papieru.

- Co ja teraz zrobię? Dostanę jedynkę!

Zosia zaciska usta i widzę, że jest bliska płaczu.

- Oddaj ten projekt! - wrzeszczę do Emila.

- A jak nie, to co mi zrobisz?

Zatrzymuję Zosię, aby za nim nie biegła, bo jemu tylko o to chodzi, aby ją ośmieszyć. Nie mogę na to patrzeć. Po kilku minutach sam zwraca projekt. Trzeba tylko róg przykleić taśmą.

Nic więcej nie da się zrobić.

Muszę z tym gagatkiem porozmawiać. Mam już dość jego zaczepek. Staram się zagadnąć go na przerwie, ale gdzieś znika. Pewnie pali za szkołą albo przesiaduje w sklepiku.

Dopiero podczas obiadu nadarza się okazja. Gdy wchodzę na stołówkę, Emil stoi ostatni w kolejce. Ustawiam się za nim. Przed nami długi ogonek, więc możemy zamienić kilka słów.

- To nie fair, gdy tak mi grozisz, chociaż nic złego ci nie zrobiłam. Jeśli powiedziałam coś nauczycielce, to tylko dlatego, że mnie sprowokowałeś. W obronie własnej. To chyba różnica.

Emil patrzy na mnie zaskoczony.

- Nie bardzo pojmuję... O co ci chodzi?

- Dlaczego wyrwałeś Zosi projekt? Wiesz, że ona płakała?

- Czego ty ode mnie chcesz?!

- Co ona ma zrobić? Popatrz, jak zachowują się dziewczyny! Wyobrażasz sobie, co ona czuje?

- A co mnie to obchodzi?!

- A mnie obchodzi, co ty czujesz, kiedy przychodzisz do szkoły z rozwalonym okiem i siniakami na twarzy.

- Nie twoja sprawa!

- Jesteś moim kolegą z klasy i martwi mnie to.

Widzę, że w Emilu coś drgnęło. Zbladł i spogląda w stronę drzwi, jakby miał ochotę stąd uciec. Chyba tylko głód trzyma go wciąż w kolejce.

- Nie wtrącaj się w cudze sprawy, dobrze?!

Patrzy na mnie, zaciskając szczęki, ale widzę, że coś w nim pęka. Ma bolesny, zmęczony wyraz twarzy. Bierze

talerz i odchodzi na koniec stołówki.

Z emocji straciłam apetyt. Przełykam zaledwie kilka łyżek zupy i odnoszę do okienka prawie nietknięte drugie danie. Przed lekcją czekamy jeszcze kilka minut na nauczyciela. Jestem wciąż głodna. Na szczęście mam w plecaku herbatniki. Wyjmuję paczkę i nerwowo podgryzam ciastka. Emil spogląda na mnie, ściągając brwi, jakby wciąż nic nie rozumiał.

- Poczęstuj się - podchodzę parę kroków i częstuję go ciasteczkami.

Emil waha się, spogląda na ciastka i mam wrażenie, że ma ochotę wyrwać mi je i wrzucić do kosza. Patrę na niego w oczekiwaniu. Wyciąga rękę i szybko chwyta jedno, rozgląda się przy tym niepewnie jak okaleczone zwierzę, które ktoś próbuje oswoić.

Mała Księżniczka cd.

Droga do czarodziejskiej krainy była daleka i pełna przeszkód. Odległości jednak nie można było zmierzyć w kilometrach. W trakcie podróży księżniczka musiała pokonać wiele wymiarów czasu i przestrzeni. Raz podróżowali ukwieconą doliną, to znów wjeżdżali do ciemnego tunelu, aby wyjść po przeciwnej stronie w środku śnieżnej zimy. Innym razem ich konie wchodziły do rzeki, gdzie porywał je silny nurt i niósł przez zawite meandry, by wyrzucić na pustynny, spalony słońcem brzeg. Gdy morza czy góry wydawały się nieskończone, niespodziewanie otwierały się ukryte wąwozy, które prowadziły do nieznanych światów. Aż wreszcie dotarli do granicy, za którą rozciągało się królestwo czarownicy. W tym miejscu horyzont stykał się z niebem, które miało wygląd bladoniebieskiej szyby pokrytej kropelkami rosy.

Tutaj książę gestem dłoni nakazał księżniczce, aby zatrzymała konia.

- Za tą zasłoną znajduje się królestwo wiedźmy. Jej pałac porywa niezmiernym urokiem. Cały skąpany w ognistej

czerwieni i lśniący czerwonym złotem. Drogi i ulice kuszą blaskiem diamentów i szlachetnych kamieni rozrzuconych gęsto u stóp wędrowców, ale nie dotykaj żadnego z nich. W każdym klejnocie tkwi zaklęte Ziarno Zapomnienia. Za każdym razem, gdy podniesiesz diament, twoje serce ugodzi cierń obojętności, każdy szlachetny kamień zdmuchnie jeden promyk nadziei w twoich oczach. Każde złote ziarno zgasi iskrę wiary, a wtedy twoje serce stanie się niezdolne do miłości. Pamiętaj, że miłość do ojca jest twoim jedynym orężem w walce z czarownicą.

Księżę zwrócił swą twarz w stronę księżniczki i popatrzył jej prosto w oczy, jakby chciał przejrzeć na wskroś jej serce. Ona jednak, choć wpatrywała się w metalową przyłbicę, nie mogła dostrzec jego wzroku. Ufała jednak jego słowom.

- Czy jesteś gotowa?

- Tak, ale gdybym wzięła trochę złota, mogłabym obdarować biednych w moim królestwie.

- Nie troszcz się teraz o nich. Ziemia jest pełna dobrych darów, których zawsze wystarczy, gdy zechcesz je dzielić z miłością. Nie zapomnij, że twoje serce musi pozostać bez skazy. Jeden mały cierń wystarczy, byś zwątpiła w chwili próby.

- Jestem gotowa - wyrzekła poważnie księżniczka.

- Wejdziemy teraz do zaklętego królestwa. Nie wiem, co nas czeka, i musimy być przygotowani na wszystko. Czarownica potrafi zaskoczyć. Jednak nie lękaj się, bo jestem

przy tobie i jestem gotów oddać za ciebie życie.

Spięli konie i jednym susem wskoczyli w wilgotną, błękitną otchłań. Jakież było ich zdziwienie, gdy granica światów okazała się tak cienka jak poranna mgiełka, a tuż za nią konie wkroczyły w wilgotny mrok.

Wokół nich zapanowały nieprzeniknione ciemności. Słyszeli tylko wiatr szumiący w gałęziach drzew. Poczuli zapach butwiejących i nadpalonych liści, jakby gdzieś pod końskimi kopytami tliło się leśne poszycie. Konie zadrżały i potrząsnęły łbami, gdyż ich nozdrza podrażnił dym snujący się nisko nad ziemią. Jednak, ponaglone przez jeźdźców, podążyły posłusznie naprzód.

Wtem pomiędzy drzewami zamigotały dwa białe światełka, które szybko przybliżały się w ich kierunku. Po chwili usłyszeli w oddali trzask łamanych gałęzi i miarowy odgłos pędzącego wprost na nich zwierzęcia.

- To władca lasu, Wilk Ognistooki - krzyknął książę. - Trzymaj mocno konia.

Księżniczka chwyciła grzywę konia i położyła nisko głowę na jego szyi.

W jednej chwili książę wysunął się do przodu i wyciągnął miecz, w którego ostrzu odbił się płonący wzrok zwierza.

Wilk zarył łapami o ziemię. Zatrzymał się i zawahał, jakby rozpoznał jeźdźców. Popatrzył na nich przez chwilę, a następnie pochylił pokornie łeb przed przybyszami.

- Witajcie, panie - rzekł ludzkim głosem, kłaniając się

księciu. - A ty musisz być Białą Koniczynką, która szuka swego ojca - zwrócił się do księżniczki. - Słyszałem twoją historię i wzruszyła mnie głęboko, ponieważ sam jestem ojcem. Zapraszam was do mojego zamku. Bądźcie dzisiaj moimi gośćmi.

- Wybacz, władco lasu, ale nie możemy spocząć, dopóki nie uwolnimy mego ojca z rąk czarownicy, która więzi go w Morzu Zapomnienia - odezwała się odważnie księżniczka.

Na te słowa wilk zawył przeraźliwie, a na jego wezwanie z hukiem skrzydeł nadleciał ku nim ogromny orzeł. Przysiadł nisko na ziemi i podparł się potężnymi skrzydłami w oczekiwaniu na rozkazy.

- Mój sługa - powiedział wilk - przeprowadzi was bezpiecznie do granicy lasu. Dalej musicie podążać już sami.

Rozmowa z Julią

- **J**ula! Tak się cieszę, że dzwonisz!
- Co słyszeć? Pewnie się trochę nudzisz.
- Niezupełnie, ale lepiej opowiadaj, co u ciebie.
- Och, sama wiesz najlepiej, siedzę w książkach. Wciąż jakieś testy. Jutro sprawdzian z fizyki. Nic nie rozumiem. Nawet korki niewiele pomagają.
- Mam to samo z matmą. Na szczęście zapisałam się na zajęcia dodatkowe. A jak tam „Romeo i Julia”?
- Nie jesteś zazdrosna?
- Nie. Naprawdę.
- Nie uwierzysz, ale Bartek jest boski w roli Romea.
- Naprawdę jest dobry?
- Jest wspaniały i tylko sobie wyobraź...
- Nadal się przyjaźniliście?
- Muszę się przyznać, że jest między nami coś więcej. Miłość to coś innego niż przyjaźń. To zupełnie inne uczucie.

Kiedy na mnie patrzy... Nie wiem, jak to powiedzieć... Nie mogę spać, bo wciąż o nim myślę, i tęsknię za nim, gdy tylko tracę go z oczu.

- To piękne.

- Szkoda, że ciebie tu nie ma... - Julia wzdycha głośno.

- Może lepiej, bo jeszcze pobiliłyśmy się o niego.

- A tak nie jesteś zła?

- Nie. Bartek kiedyś mi się podobał, ale to już historia. Zresztą i tak nie wiem, kiedy wrócę do Krakowa.

- Rodzice zabierają cię do Londynu?

- Mam nadzieję.

- Masz nadzieję? To znaczy, że nie jesteś tego wcale taka pewna? Chyba nie zostawią cię na pastwę losu w tych Bronkach?

- Obawiam się, że między nimi coś się popsuło. Ukrywają to przede mną. Podśluchałam rozmowę dziadków. Ojciec nie mieszka z mamą.

- To fatalnie. Tak mi przykro, ale pamiętaj, oni oboje cię kochają! To sprawa tylko między nimi.

- Julia! Przestań! Nie pocieszaj mnie. Wiesz, co to dla mnie znaczy. Czuję się, jakbym spadała w przepaść.

- Chyba wiem, ale boję się, że będziesz się obwiniać, tak jak za chorobę mamy. To przecież nie zależy od ciebie.

Julia ma szczęście, że jej mama jest silna. Chciałabym

mieć szczęśliwy dom i zwyczajnych rodziców. Ojciec chyba też chciał mieć inne, spokojne życie i dlatego w końcu nas zostawił.

Wizyta Lidii

W nocy znów nie mogę zasnąć. Niepokoi mnie ciemność. Wpatruję się w nią jak w czarną zasłonę, za którą czai się coś złego. Znów ogarnia mnie lęk. Każdy dźwięk wywołuje mocniejsze bicie serca. Słyszę coś jakby odgłos kapiącej wody, stukanie gałązki za oknami, szmer, który przypomina oddech człowieka. Przyniosłam z sieni szczeniaka i tulę go pod kołdrą. Obecność Cezara dodaje mi otuchy, jeśli zjawi się ktoś obcy, pies będzie szczekał. Przenika mnie poranny chłód. Jest sobota, ale i tak muszę wcześniej wstać. Trzeba nakarmić kury i podrzucić siana dla Kazi. Jest już zbyt zimno, żeby wyprowadzać ją na pastwisko. Zjadłam śniadanie i porozmawiałam trochę z babcią. Dowiedziałam się, że dzwoniła do swojego syna do Gdańska i powiedział, że przyjedzie na święta z rodziną. Ciocia z wujkiem i trójką chłopców. Ich najstarszy syn jest pięć lat starszy ode mnie. Znamy się od dziecka. Dwóch młodszych pewnie bym nie poznała. Nie widzieliśmy się od kilku lat. Parę razy spotkaliśmy się tutaj na wakacjach. Maciek zawsze mi imponował. Zabierał mnie na dalekie wyprawy, chociaż

zawsze bolały mnie nogi, gdy długo chodziliśmy po lesie. Wdrapywałam mu się na plecy, a on niósł mnie bez skargi.

Mam nadzieję, że wujek coś postanowi w sprawie staruszków i przy okazji mój problem też się jakoś rozwiąże. Może zabiorą ich do Gdańska, a ja będę musiała stąd wyjechać, nie zostawią mnie przecież tu samej.

- Ktoś do ciebie. - W drzwiach mego pokoju staje babcia i wrywa mnie z zamyślenia.

- Cześć! - słyszę piskliwy głosik Lidii.

Co ona tu robi? Już myślałam, że to może rodzice. Przemknęła mi przez głowę myśl, że chcieli zrobić mi niespodziankę. Jestem jednak nie mniej zdziwiona. Co też mogło Lidię sprowadzić w moje progi? Już bardziej spodziewałabym się Emila z żądzą zemsty w oczach niż przymilnie uśmiechającej się Lidii.

- Wejdz. Jak mnie tu znalazłaś? - Zapraszam ją do środka trochę niepewnym gestem, a Lidia zaczyna się tłumaczyć.

- Moja ciocia mieszka tu niedaleko, w Bronkach Górnych. Przyjechałyśmy z siostrą. Twoja kolonia jest całkiem blisko.

Lidia wchodzi ostrożnie do mojego pokoju i rozgląda się ciekawie. Wpatruje się w portret Amelii, który wisi nad moim łóżkiem.

- Kto to jest? Wiesz, że jesteś do niej podobna?

- To siostra mojego dziadka.

- Spójrz na ten nos i usta! Zupełnie jak twoje. Tylko te

włosy. Ich raczej po niej nie odziedziczyłaś – Lidia robi aluzję do moich skręconych, rudych włosów, które dzisiaj wyglądają, jakby całą noc harcowały w nich skrzaty.

– Mam je po mamie.

– Nastawię na herbatkę, dziewczynki – babcia woła do nas z kuchni.

– Dziękuję, babciu.

Jestem jej wdzięczna. Z babcią rozumiemy się bez słów. Szkoda, że z moją mamą nigdy tak się nie dogadywały. Nawet dzisiaj ich relacja jest dość oziębła.

– Mogę go pogłaskać? Ale podrósł! Uroczy, tylko trochę nieproporcjonalny. Ma takie śmieszne krótkie łapki i gruby brzusek... – Lidia zachwyca się szczeniakiem.

– Wiem, że wolisz rasowe psy.

– Wcale nie, tak tylko wtedy powiedziałam. Tak naprawdę mamy już jednego psa i bałam się, że mój ojciec zacznie się wściekać i w ogóle. Zresztą nie możemy trzymać go w domu. Jest uwiązany na łańcuchu. Taka psia dola.

Obie tarłosimy miękkie futerko Cezara, a on merda ogonkiem i próbuje nas lizać po twarzy.

– Często tu przyjeżdżasz?

– To zależy. Gdy ojciec zaczyna pić dzień po dniu i wynosi wszystko z domu, to mama nie chce, abyśmy na to patrzyły, i wywozi nas do cioci. Po paru dniach ojcu przechodzi i wracamy.

Lidia wyjmuje ciemnoniebieską kredkę i zaczyna malować sobie usta. Ma czarne paznokcie i grube, brunatne kreski wokół oczu. Jest blondynką i ten ciemny makijaż sprawia, że jej twarz wygląda chorobliwie blado.

- To przez ojca wtedy płakałaś? Wtedy, na chemii? Tak mi się wydawało, że wcale nie chodziło o stopnie.

- Dlaczego nie? Właśnie że chodziło o stopnie. Zależy mi. Chociaż tak naprawdę to nie wiem. Chyba chciałabym się już od nich wyprowadzić na dobre. Gdy skończę osiemnastkę, nic mnie w domu nie zatrzyma.

- Pójdiesz do pracy?

- Nie wiem. Coś wymyślę.

Chciałabym porozmawiać z nią o swoich problemach, ale trochę jej nie ufam. Boję się, że w szkole będzie mnie obgadywać. Czekam, kiedy wreszcie sobie pójdzie. Lidia ma jednak inne plany.

- Przejdziemy się trochę?

- Nie wiem, pogoda dzisiaj całkiem pod zdechłym Azorkiem.

- Wiem, ale nie chce mi się siedzieć w domu. Możemy wziąć Cezara na spacer.

- No dobrze, przy okazji pies trochę pobiega - zgadzam się bez entuzjazmu. Na zewnątrz jest zimno i wietrznie, ale chyba wolę już trochę pochodzić, niż siedzieć tu z Lidia i gadać nie wiadomo o czym.

Najbardziej cieszy się Cezar. Spuściłam go ze smyczy, więc wyrwał przed siebie za stadem wron, ale po chwili wrócił i teraz biega wokół nas tanecznym krokiem, uderzając nas po nogach ogonem.

Idziemy w stronę szosy. Z daleka widzę już dom Bena. Ciekawe, co może robić w sobotnie przedpołudnie...

- Zajdziemy do Benka? - proponuje Lidia.

- Skąd wiesz, że tu mieszka?

- Wiem.

- No dobrze. Znasz tu wszystkich.

Wybieram numer kolegi na komórce i czekam chwilę, aż odbierze.

- Cześć. Jesteśmy z Lidią pod twoim domem. Wyjdiesz?

- Z Lidią? Co ona tu robi?

- Nic, przyszła do mnie.

- Zaraz, moment.

Ben się rozłącza, ale po chwili otwiera nam drzwi.

- Wejdźcie! Zimno jak diabli.

- Nie jest tak źle, tylko ten wiatr.

Pokój Bena jest duży, prawie taki jak mój. Na biurku stoi włączony komputer i widać, że chłopak grał w jakąś grę. Ma na sobie rozciągnięty dół od dresów i trochę poplamioną podkoszulkę, ale jakoś wcale mi to nie przeszkadza. Patrzymy na siebie i widzę radość w jego oczach. Siadamy na

jego niepościelonym tapczanie, a Ben idzie do kuchni, żeby nam zrobić herbatę.

Po chwili słyszymy czyjeś kroki i w drzwiach pojawia się dziadek Bena. Jest zgarbiony i wspiera się ciężko na lasce. Jego postać chwieje się lekko i obawiam się, aby w naszej obecności się nie przewrócił.

- To jest Ola z kolonii - przedstawia mnie Ben.
- Aaa, a jak tam Alek się czuje?
- Mój dziadek? Już lepiej. Za parę dni wraca ze szpitala.
- To dobrze. Jak wróci, to go pozdrów ode mnie.
- Dziękuję, pozdrowię na pewno.

Stary człowiek wpatruje się we mnie. Trochę mnie to śmieszy, ale nie mam nic przeciwko temu. Ma takie gęste, krzaczaste brwi i ciemne, brązowe oczy, zupełnie jak wnuk. Przygląda mi się z dziwnym, smutnym uśmiechem, jakby był bardziej zapatrzonego w jakieś własne, nieodgadnione myśli niż we mnie.

- Jak tam mama? Co tam u niej słyszać? Czy dobrze się czuje? - staruszek zasypuje mnie pytaniami.

- Całkiem dobrze.
- A kiedy przyjedzie?
- Co to za przesłuchanie, dziadku? - Ben przychodzi mi z pomocą.

Staruszek spogląda na wnuka z lekką urazą. Odwraca się

powoli, stuka laską i wychodzi.

- Benek, przejdiesz się z nami? - Lidia chce już iść, jakby zupełnie nie mogła usiedzieć w miejscu.

- Czemu nie? - chłopak zgadza się bez większego oporu.

Wychodzimy na drogę i idziemy po prostu przed siebie połą drogą. Lidia cały czas mówi, a ja słucham jej paplaniny bez entuzjazmu, choć cieszę się, że Ben jest z nami. Idzie obok mnie i czuję, że emanuje jakimś ciepłem. Podoba mi się jego czarna kurtka, szare spodnie i niebieskie adidasy. Patrzę na jego buty, gdy tak sobie maszerujemy, i dobrze mi z tym, że idzie obok nas. Lidia cały czas gada coś bez sensu, ale się śmiejemy, bo dopisują nam humory.

- Pamiętacie, jak Tango przyszedł w jednym czarnym i w jednym brązowym bucie? On zawsze biega po klasie jak nakręcony, a wtedy siedział za biurkiem jak kwoka na jajach. Aż w końcu się zapomniał, bo Emil zaczął bawić się komórką. Podbiegł, aby mu ją zabrać, i wtedy ktoś zauważył te buty. A pamiętacie, jak Hubert przyniósł do szkoły chomika i wypuścił na matmie? To był dość skromny okaz, a nasza Kosa myślała, że to mysz albo szczur. Po raz pierwszy widziałam przerażenie w jej oczach. A najlepsze było, kiedy chłopaki wysmarowały klejem krzesło Zygoty, gdy wyszła na zaplecze... Ona zupełnie nic nie zauważyła, usiadła na tym krześle i... Boże, jak ona się wściekała! - Wszyscy głośno się śmiejemy. To naprawdę było zabawne.

Powietrze pachnie już przymrozkiem i nagle uświadamiam sobie, że wiatr ucichł, a z nieba spadają

pojedyncze płatki śniegu. Są drobniutkie i lecą prawie do góry unoszone przez wiatr.

Zadzieramy głowy ku niebu i płatki spadają nam na twarze i włosy. Pierwszy śnieg. Krzyczymy z zachwytem. Biegniemy przez pola, wygłupiamy się i hałasujemy. Jeśli ktoś by na nas teraz popatrzył, to mógłby pomyśleć, że się czegoś naćpaliśmy. Ale nikogo tu nie ma, pola są puste i prędzej natkniemy się na jakieś wystraszone zające albo sarny niż na ludzi. Dobrze mi tutaj z Lidką i Benem włóczyć się po tych polnych drózkach i pozwalać, żeby śnieg zamieniał nas w bałwany.

- Zimno mi - skarży się Lidia i pierwsza chce już wracać.

Teraz dopiero dociera do mnie, że mam skostniałe dłonie i szczękam zębami. Lidia ma całkiem sine policzki. Nie chcę, żeby się rozchorowała.

- No to wracajmy.

Znów biegniemy, żeby się rozgrzać. W końcu nie mogę złapać tchu i zatrzymuję się. Ben jest przy mnie. Dotyka delikatnie moich ramion, a potem mnie obejmuje. Przytulam się do niego, a on rozciera dłońmi moje plecy, żeby mnie rozgrzać.

- Już lepiej? - Zagląda mi w oczy.

Lidia nie zauważa, że się zatrzymaliśmy. Biegnie przed siebie. Zostajemy na chwilę sami, ukryci za kępą młodych świerków. Patrzymy sobie w oczy bez słowa. Ben odgarnia mokre włosy, które przykleiły mi się do policzka, i całuje

mnie delikatnie w usta. Chciałabym tu zostać, przytulona do Bena, już na zawsze, ale pociągam go za rękę i biegniemy za Lidią, która zatrzymała się nieopodal i czeka na nas zniecierpliwiona.

Mała księżniczka cd.

Kiedy dotarli na skraj lasu, orzeł rozpostarł skrzydła i zatoczył nad nimi wielkie koło, jakby na pożegnanie, a potem zniknął na powrót w mrocznej głębi puszczy. Księżniczka popatrzyła w niebo i uśmiechnęła się do księcia. W górze nad nimi rozciągał się nieskażony żadną chmurką błękit. Po długiej wędrówce w niemal zupełnych ciemnościach musieli mrużyć oczy, gdyż raziło ichienne światło. Księżniczka podniosła rękę do czoła i pobiegła wzrokiem ku odległej linii widnokręgu. W oddali na horyzoncie srebrzyło się pasmo skalistych gór, a przed nimi rozciągała się łąka świeżej, wiosennej trawy. Mogli się wreszcie zatrzymać i nakarmić konie. Zeskoczyli na ziemię i pozwolili im paść się wolno, a sami usiedli nieopodal, posilając się chlebem i suszonymi owocami.

Księżniczka spoglądała z niedowierzaniem na połyskujące w słońcu nagie granity. Jak daleko znajduje się zamek czarownicy? Czy może za pomocą czarów ukryła go przed wzrokiem intruzów? Co jeszcze czeka ich w tej podróży? Znużenie opanowało nagle jej ciało i ręka z kromką chleba

opadła na kolana. Dziewczynka osunęła się na ziemię, zapadając w kamienny sen.

Tymczasem książę, zaniepokojony zupełnym bezruchem przyrody, przeczuwał czyhające na nich niebezpieczeństwo. Rozglądał się uważnie dookoła, ale nic nie wskazywało na obecność w pobliżu ludzi ani zwierząt. Jedynie wysoko na niebie dostrzegł szarego ptaszka śpiewającego radosny hymn na cześć Boga, który w swojej doskonałości stworzył wiosnę, niebo i skowronki. Ptaszek wzniósł się tak wysoko, że stał się zaledwie ciemną plamką na błękitnie, jednak jego piosenka rozbrzmiewała na całą okolicę.

W pewnej chwili nad głową księcia przemknął ponury cień. Należał on do wielkiego ptaka, który z prędkością błyskawicy mknął w stronę skowronka. Książę wzniósł ręce i krzyknął:

- Tutaj, prędko!

Skowronek w ostatniej chwili spostrzegł drapieżnika. Jego serce zamarło z przerażenia i ptaszek, sparaliżowany śmiertelnym niebezpieczeństwem, runął w dół jak kamień rzucony w przepaść. Jastrząb, pewny łatwej zdobyczy, zniżył lot i śledził miejsce, gdzie ofiara upadnie, aby ją dopaść w swoje szpony. Wtedy ujrzał ludzi, zawahał się i zdecydował, że jednak bezpieczniej będzie pochwycić skowronka w locie. Zatrzepotał skrzydłami i przeleciał tuż nad głową księcia. Jednak, w tej samej chwili, książę pochwycił zemdłego ptaszka w wyciągnięte ręce. Jastrząb zaskrzeczał złowrogo i odleciał tak szybko, jak się pojawił.

Gdy skowronek odzyskał przytomność, książę postawił go ostrożnie na otwartej dłoni, by pozwolić mu odlecieć, lecz ptaszek wzbił się tylko lekko w powietrze, zakwilił nad głową rycerza, a następnie z gracją przysiadł na jego ramieniu.

- Nazywam się Feliks i jestem do twoich usług, panie. Dziękuję, że uratowałaś mi życie. Pragnę odwdzińczyć ci się za szlachetne serce. Jestem odtąd twoim sługą.

Książę uśmiechnął się pobłaźliwie, gdyż nie sądził, by taka mała ptaszyna mogła przysłużyć się człowiekowi, jednakże gdy spojrział na śpiącą księżniczkę, pomyślał, że skowronek mógłby pocieszyć ją swoimi piosenkami.

- Leć, ptaszku, do nieba i śpiewaj nam swoje piosenki. Rozweselisz nasze serca i tym się nam najlepiej odwdzięczysz.

Skowronek poderwał się do lotu, ale po chwili powrócił.

- Jeśli mogę dać ci radę, omijaj z daleka pałac czarownicy, który znajduje się po drugiej stronie gór. To okrutna wiedźma, która włada potężnymi czarami. Lepiej skieruj się na wschód, gdzie znajdziesz różane ogrody.

- Dziękuję za ostrzeżenie, Feliksie, jednak tam właśnie prowadzi nas droga. Szukamy ojca księżniczki, którego wiedźma trzyma w niewoli.

- W takim razie nie mogę was opuścić. Będę waszym przewodnikiem. Te góry kryją zbyt wiele pułapek, które grożą niechybną śmiercią przygodnym podróżnym. Przelatuję czasem nad zamkiem czarownicy, gdy lecę na

południe. Właśnie stamtąd wracałem, gdy zaatakował mnie jastrząb. Przeraziłem się, bo rozpoznałem w nim sługę wiedzy. Ona na pewno już o was wie. Musicie mieć się na baczności.

- Czy widziałeś tam ludzi?

- Nie ma tam nikogo oprócz zwierząt i potwornych stworzeń, które mogłyby być ludźmi, gdyby nie zniekształcone członki i rysy ich twarzy budzące odrazę. Moje współczucie wzbudziły jedynie delfiny pływające w morzu otaczającym zamek. Zatrzymuję się tam, aby posłuchać ich smutnej piosenki. Czasem jestem nią tak przygnębiony, że o mało mi serce nie pęknie. To piosenka o małej księżniczce, za którą tęskni ojciec.

Ojciec

Zastanawiam się, jakie jest moje pierwsze wspomnienie ojca. Trudno powiedzieć. Pierwsze wspomnienia kojarzą mi się z mamą. Byłam w szpitalu, gdy miałam cztery lata. Pamiętam strach i kurczowe trzymanie się rękawa jej kurtki. Wyraźnie widzę dom. Ucieranie żółtek przed świętami, na które piekłyśmy moje ulubione ciasteczka z cynamonem. Pierwszy dzień w przedszkolu i ogromną torbę słodczy. Papierowa szara torba była pełna herbatników, cukierków i batonów. Ledwie zdołałam objąć ją rękami. To wszystko kojarzy mi się z mamą.

Ojciec był gdzieś w tle.

Niezbyt wyraźnie pamiętam ten dzień, kiedy rodzice mnie zgubili. Może brzmi to dziwnie. Nie byłam przecież pluszowym misiem, plastikową lalką ani nawet parasolką, którą można zostawić przez roztargnienie na przystanku autobusowym albo która może nam wypaść z dłoni, kiedy się zamyślimy, i za nic w świecie nie możemy sobie przypomnieć, gdzie ją zostawiliśmy.

Pamiętam zatłoczoną ulicę. Gwar wielu głosów i jasny, słoneczny dzień. Nie pamiętam nawet lęku. To rodzice mówili później, że płakałam. Tamto zdarzenie, wiele razy opowiadane różnym osobom, urosło do rodzinnej legendy. Przeżyli wtedy koszmar. Ja pamiętam z tej historii tylko ojca, który przyklęka, aby zrównać się ze mną wzrostem. Bierze mnie na ręce, a potem wstaje, unosząc mnie jednocześnie. Wysoko, na wyciągniętych ramionach, aby wszyscy mogli zobaczyć.

Pamiętam jeszcze niedzielne spacerunki po parku. Chodziliśmy po alejkach zasypanych szeleszczącymi liśćmi, a ojciec patrzył w górę, na pokryte jesienną rdzą drzewa, i szedł przed siebie dużymi krokami. Zostawiał mnie samą w moim świecie. Kopałam liście, zbierałam kasztany i żołędzie. Uciekałam i wracałam, a on krążył po parku bez słowa. W końcu odnajdywałam jego dłoń i prowadziłam do domu.

Pewnego dnia wyjechał. W moim życiu prawie nic się nie zmieniło. Była szkoła, po szkole obiad, lekcje, telewizor i telefony do Julki, żeby zabić czas. Było cicho i przestrzennie. Nikt mi niczego nie zabraniał, nie nakazywał. Wychodziłam do swego pokoju i udawałam, że się uczę. Mama zostawiała mnie samą. Coś się z nią działo. Widziałam podkrążone oczy. Wiedziałam, że tęskni. Mnie też brakowało ojca, ale umiałam sobie jakoś z tym poradzić. Chciałam tylko, aby wszyscy zostawili mnie w spokoju. Czekałam, co się wydarzy... Kiedy wróci? Co mi przywiezie?

Gdy dzwonił, zawsze miałam wrażenie, że się spieszy, że dzwoni w krótkiej przerwie pomiędzy jednym pociągiem a drugim. Wciąż słyszałam w słuchawce ogłoszenia na dworcu. Właśnie wracał z pracy albo do niej jechał. Nie zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie dzwoni z domu, chociaż chciałam go zapytać, czy mieszka na dworcu. Nie odpowiadał na pytania, zawsze mówił tylko to, co sam chciał powiedzieć. Jego życie tam było osnute tajemnicą. Nie rozmawiałam o tym z mamą, chociaż myślę, że się niepokoiła.

Teraz ojciec prawie nie dzwoni. Odkąd tu jestem, zadzwonił może trzy albo cztery razy. Mama jest osobą, przez którą dowiaduję się, co się z nim dzieje. Już wiem, że nie mówi mi prawdy. Wrócił do Krakowa i zamieszkał z tamtą kobietą. Czy to właśnie dlatego odesłali mnie na drugi koniec Polski, żeby mogli sobie spokojnie wszystko poukładać? Byłabym tylko przeszkodą. Mogłabym starać się ich pogodzić. Grałabym swoje dziecięce gierki, które by zmuszały ich, aby się mną zajmowali. Nie chcieli, abym pokrzyżowała im plany destrukcji naszej rodziny.

Mała księżniczka cd.

Księżniczka poruszyła się niespokojnie, potrząsnęła głową i krzyknęła przez sen. Otworzyła szeroko oczy i rozejrzała się z wyrazem niedowierzania dookoła, z trudnością rozpoznając, gdzie się znajduje.

- Gdzie ja jestem?

- Miałaś zły sen, ale już dobrze. Obudź się.

Odetchnęła z ulgą, jak to zwykle się dzieje, gdy ktoś przebudzi się z koszmaru i nagle uświadamia sobie, że jest w domu i śpi we własnym łóżku. Śniło jej się właśnie, że została wtrącona do ciemnej komnaty o tysiącu drzwiach, które w miejscu klamek mają żywe głowy węży.

- Poznaj Feliksa.

Skowronek wzbił się w powietrze ponad ich głowami i zakwilił jedną ze swoich piosenek, aż księżniczka oniemiała z zachwytu.

- Feliks jest naszym przyjacielem. Przeprowadzi nas przez góry.

Księżę popatrzył daleko przed siebie i wskazał ostre szczyty w oddali.

- Za nimi jest zamek i Morze Zapomnienia, w którym czarownica więzi twego ojca. Zaledwie wczoraj skowronek widział delfiny. Wśród nich na pewno jest twój ojciec.

- Czy rozmawiałeś z nim, Feliksie?

- Nie, ale słyszałem, jak śpiewał smutną piosenkę o małej księżniczce, do której tęskni.

- To musiał być mój ojciec! - wykrzyknęła radośnie dziewczynka.

Potem rozplakała się z radości i wzruszenia, bo w tych długich dniach uciążliwej wędrówki nie raz była bliska zwątpienia. Teraz miała pewność, że ojciec żyje i pamięta o niej i tęskni tak mocno jak ona.

Nie było czasu do stracenia. Wsiedli na konie i skierowali je ku siniejącym na horyzoncie skałom. Skowronek leciał przed nimi, to przysiadał na ramieniu księcia, by odpocząć, to wznosił się wysoko, by sprawdzić, czy w oddali nie czai się nieprzyjaciel.

W kilka godzin przebyli obszerną równinę porośniętą wysokimi trawami. Dalej musieli przedzierać się przez kolczaste krzewy głogu, dzikiej róży i ścielące się nisko jeżyny, omijać jeziora i przeprowiać się przez rwące strumienie o kamienistych dnach. Księżniczka nie skarżyła się ani razu i dzielnie wytrzymywała trudy podróży.

Wreszcie pod wieczór stanęli u podnóża gór. Popatrzyli ze

zgrozą na strome, skaliste zbocza niemożliwe do przebycia dla koni. Skowronek zaćwierkał im jednak nad głową, aby podążyli za nim, więc posłusznie skęcili w bok i brnęli powoli wąską ścieżką, nad którą leciał ptaszek.

W końcu Feliks zniknął w gąszczu strzelistych, wiekowych jodeł. Ścieżka biegła w inną stronę, więc księżniczka z rycerzem zatrzymali się i spoglądali w czerniejącą głąb lasu z niepokojem w oczach. Czyżby skowronek zostawił ich tutaj samych? Być może zmęczył się albo czegoś wystraszył. Księżę i księżniczka patrzyli na siebie pytająco. W tej chwili z gąszczu dobiegł głos skowronka, który nawoływał ich, aby szli za nim.

Konie brnęły teraz powoli, niemal w zupełnych ciemnościach. Przyświecał im jedynie księżyc i srebrne światło miliona gwiazd nad ich głowami. Potykali się o próchniejące pnie drzew i wystające z ziemi korzenie, ale Feliks nie ustawał i zachęcał ich, aby nie zatrzymywali się. Na koniec dotarli do miejsca, gdzie drzewa stały się rzadsze, a końskie podkowy dźwięczały głośno, uderzając o skaliste podłoże.

- Tutaj jest jaskinia, którą przejdziemy na drugą stronę gór. Będziemy też mogli zatrzymać się na spoczynek - odezwał się uradowany Feliks, który sam długo kluczył, szukając szczeliny w skale.

Księżę zapalił pochodnię, gdyż wewnątrz panował całkowity mrok. Zeszli z koni i weszli do środka. Ściany jaskini były pokryte wilgocią i wyraźnie słychać było odgłos

wody spływającej po skałach. Księżę nazbierał chrustu i rozpałił ognisko. Rozłożyli na ziemi płaszcze i ułożyli się na nich, strudzeni po całym dniu. Sen z łatwością spadł na ich ociężałe powieki.

Zaledwie jednak zdążyli się zdrzemnąć, gdy dziwny hałas wyrwał księżniczkę ze snu. Wpatrywała się w ciemność i czujnie nasłuchiwała. Zza pobliskich skał dochodził żalospny jęk. Niby pisk zranionego ptaka albo skomlenie zbłąkanego psa. Księżniczka, ogarnięta współczuciem, podniosła się z postania i przyświecając sobie wyjętą z ogniska gałązką, zbliżyła się do miejsca, skąd dochodziły dźwięki. Nagle coś zatrzepotało gwałtownie pod jej stopami. Jakieś małe zwierzę chciało rzucić się do ucieczki, ale tylko miotało się ze strachu, nie mogąc ruszyć się z miejsca.

- Nic ci nie grozi, nie musisz się obawiać.

Pochyliła się i delikatnie pogładziła szamocące się zwierzę. Wyczuła, że drżące ciało zwierzątka uspokaja się powoli. Wzięła go na ręce i przyniosła bliżej ogniska. Był to mały, szary zajaczek, którego zmierzwione futerko było lepkie od krwi.

- Co się stało, malutki? Skąd te rany?

- Wilk mnie pochwycił. Zacisnął mocno w zębach. Udawałem martwego, więc zostawił mnie sobie na później, ale jestem pewien, że wróci. Nie mam siły uciekać, więc czeka mnie tu pewna śmierć.

- Nie bój się, wilk nie podejdzie do ognia.

Księżniczka wyjęła białą, jedwabną chusteczkę, rozerwała na dwie części i opatrzyła rany zajączka.

- Jak masz na imię? - zapytała Biała Koniczynka.

- Kicus - odparł niepewnie.

- Możesz spać spokojnie, Kicusiu. Nie zostawimy cię tutaj. Rankiem wyruszymy w drogę, więc musisz odpocząć.

- Zawsze będę twoim wdzięcznym sługą - obiecał zajączek.

- Nie musisz nam służyć, ale możesz być pewien, że cię tu nie zostawimy.

Babcia zdradza tajemnicę

W szpitalu dziadkowi usunęli z płuca guz, który okazał się nowotworem złośliwym. Na początku strasznie się tego przestraszyłam. Nie wiedziałam, co to może oznaczać. Nie mogłam nic jeść. Bałam się, że dziadek umrze. Operacja na szczęście się udała. Dziadek będzie żył. Jeszcze przez jakiś czas. Dowiedziałam się właśnie, że w piątek wraca do domu. Babcia jest dzisiaj taka lekka i radosna. Inaczej niż zwykle zawiązała chustkę - tym razem z tyłu głowy - i wygląda o dziesięć lat młodziej. Zawsze wiąże ją na duży supeł pod brodą jak wiejskie babcie, ale dziś wygląda odświeżenie, chociaż to dopiero środa, a dziadka wypisują w piątek.

- Upieczemy ciasto? Musimy jakoś przywitać dziadka w domu.

- Wiadoma rzecz, że upieczemy. Niech dziadek wie, że na niego czekamy, ale tak po prawdzie, to mnie się zdaje, że on takich rzeczy jeść nie będzie. Rosołek, zacierka na mleku, to są teraz jego przysmaki. Wiek robi swoje, a co dopiero choroba.

- Wiesz, babciu, martwię się o dziadka. Nie chcę, żeby umarł.

Staruszka patrzy na mnie trochę zdziwiona, a trochę rozczulona. Kładzie swoją miękką, pulchną dłoń na mojej głowie i gładzi moje włosy.

- Każdy musi umrzeć, a my przeżyliśmy już ponad osiemdziesiąt wiosen. Dziadek skończy w tym roku osiemdziesiąt trzy lata. W naszym wieku to jest tak, jakby nadszedł wieczór i czas już się położyć do snu. Dziadek wszystko zawsze robił na czas, a kiedy przyjdzie jego godzina, to się położy i zaśnie. A Pan Bóg jeden wie, co mu się wtedy przyśni.

- Tak spokojnie mówisz o śmierci, babciu, jakbyś się wcale jej nie bała, a przecież wszyscy boją się śmierci najbardziej ze wszystkiego.

- Człowiek młody chce żyć. Kiedy dzieci były małe, chciałam żyć bardziej niż ktokolwiek inny na świecie, ale teraz, kiedy wszystkie moje koleżanki, sąsiadki, moi rodzice i moje siostry są już tam, zostaliśmy tu sami jak sieroty. Pan Bóg dał nam długie życie, ale wiem, że i o nas nie zapomni i weźmie nas do siebie, kiedy przyjdzie czas.

- Możecie jeszcze długo żyć.

- Kochane dziecko, nie myśl już o tym. Masz dość własnych kłopotów. Dopiero zaczynasz życie. Przed tobą jeszcze długa droga.

- Powiedz babciu, co ja mam zrobić, żeby moi rodzice

znów byli razem, żebym mogła wrócić do domu? Co ja mam zrobić?

- Wszyscy wiemy, co twoi rodzice powinni zrobić, ale oni nas nie posłuchają. Chcą być szczęśliwi. Szukają szczęścia, a nie wiedzą, że na szczęście trzeba zapracować. Dzień za dniem składać cegiełka za cegiełką. Dodawać jeden uśmiech do drugiego, jedną łzę do drugiej, przebaczać, podnosić się i iść dalej. Szczęścia nie wygrywa się na loterii. Nie można go kupić za żadne pieniądze. Szczęście jest nagrodą za uczciwe i mądre życie.

- Całe szczęście, bo już myślałam, że się urodziłam pechowcem i nic na to nie poradzę.

Babcia dzisiaj czuje się lepiej. Siedzimy sobie w kuchni przy stole, popijamy herbatę z dużych kubków i rozmawiamy. Cezar położył się pod stołem i oparł się całym ciałem o moje nogi. Jego ciepłe futerko grzeje mi stopy.

Zaczął się listopad i nagle przyszła zima. Za oknem jest już ciemno, chociaż wybiła dopiero piąta po południu. Pada śnieg. Widzę, jak duże płatki śniegu przyklepiają się do szyby. Mamy w kuchni palenisko połączone z dużym kafłowym piecem. Kiedy palimy w kuchni, nagrzewa się piec i jest naprawdę ciepło. Pan Czerwiński kupił dla nas trochę węgla, który zrzucił do piwnicy pod domem. W sieni pod podłogą są schody prowadzące do piwnicy. Nie muszę nawet wychodzić na zewnątrz, żeby przynieść węgiel.

Przyzwyczałam się już trochę do tego życia na wsi. Dużo babci pomagam, a ona teraz tak się cieszy, że tu jestem, więc

czuję się jak w domu. Dawno już mi się tak dobrze z babcią nie rozmawiało i zastanawiam się, czy mogłabym zapytać ją o ten portret w moim pokoju. Odkąd Lidia powiedziała, że jestem podobna do tej kobiety na obrazie, chciałabym dowiedzieć się o niej czegoś więcej. To siostra dziadka, jestem z nią spokrewniona, a nic praktycznie o niej nie wiem. Na dodatek słyszałam, jak babcia powiedziała o niej, że uciekła z malarzem.

- Wiesz, babciu, chciałabym cię zapytać o ten portret, który u mnie wisi. Kto go właściwie namalował?

Babcia zamyśla się na chwilę, patrzy jakby w głąb siebie i w końcu podnosi na mnie szeroko otwarte oczy. Trochę jakby zdziwione, a trochę przerażone. Wyprostowała się nagle na krześle i mam wrażenie, że chce stąd uciec, jakby została schwytana w pułapkę.

- Mama nigdy ci o tym nie opowiadała?

- Nie, nigdy.

Reakcja babci trochę mnie zaciekawiła. Zastanawiam się, czy z Amelią wiąże się jakaś barwna rodzinna historia czy raczej skandal, o którym wszyscy woleliby zapomnieć. Babcia milczy. Obawiam się, że jeśli teraz niczego z niej nie wyciągnę, to taka okazja już się szybko nie nadarzy.

- Opowiesz mi o niej, babciu?

Babcia spuszcza wzrok, żeby na mnie nie patrzeć. Wpatruje się w blat stołu pokryty lnianym obrusem w biało-zieloną kratkę, z wyszytymi kwiatami słonecznika w rogach.

Zaciska dłonie i wzdycha głęboko.

- Amelia to twoja prawdziwa babcia.
- Prawdziwa?! Nie rozumiem.
- To znaczy, że to ona urodziła Martę, twoją mamę.
- A ty?
- Jestem tylko jej ciocią.

Patrzę na babcię w totalnym osłupieniu i nie mogę wyrzec ani słowa. Skoro dziadek jest bratem Amelii, kto w takim razie jest moim prawdziwym dziadkiem? Co się stało z moimi prawdziwymi dziadkami, z rodzicami mojej mamy? Tego już za wiele! Boję się nawet pytać.

- Dlaczego mama mi o tym nic nie powiedziała?

Babcia wzrusza bezradnie ramionami. Szarpie nerwowo brzeg serwety i widzę, jakby skurczyła się w sobie. Nie myślała, że o to zapytam. Ale dlaczego to ukrywała? Przecież to moja najbliższa rodzina. Teraz już zaczynam rozumieć oziębłe stosunki mojej mamy z jej „rodzicami”.

- Pewne sprawy lepiej zostawić w spokoju.
- Powiesz mi, babciu, co się stało z rodzicami mamy? - Jestem przerażona tym, co usłyszałam, ale chcę znać całą prawdę.

Babcia milczy długo, ale czekam cierpliwie. Muszę to wiedzieć. Wreszcie staruszka nabiera pełne płuca powietrza, wzdycha głęboko i zaczyna opowiadać.

- To długa historia. Kiedy tu przyszedłam, to znaczy wyszłam za dziadka i zamieszkałam w tym domu, Amelia była jeszcze młodziutka. Może w twoim wieku. Ale już wtedy była ładną dziewczyną.

- To widać na portrecie.

- Kochał się w niej taki jeden chłopak ze wsi, a i ona upodobała sobie tego Macieja.

- Jakiego Macieja?

- Kuczyńskiego.

- Dziadka Bena?

- Tak, właśnie jego. To dopiero była para, aż miło było na nich patrzeć, jak tu przychodzili razem. Aleksander z Maciejem mieli dużo do pogadania, byli razem w partyzantce. Ale stało się nieszczęście. Ubowcy znaleźli broń we wsi i aresztowali sporo mężczyzn. Dziadek opowiadał, że ich bili i głodzili. Niektórzy nie wytrzymywali. Na szczęście dziadkowi nic nie udowodnili i wypuścili go po paru miesiącach, ale Maciej nie wrócił. Kuczyńscy nie mogli niczego się dowiedzieć od władz, ale ktoś, kto z nim siedział w celi, opowiadał, że Macieja wzięli na przesłuchanie i nie wytrzymał. Wszyscy byli pewni, że nie żyje. Takie były czasy. Amelia czekała parę lat, aż w końcu chyba też w to uwierzyła. Wszyscy widzieli, że nosiła po nim w sercu żalobę. Nie chciała innego, ale dla rodziny stała się ciężarem i popchnęli ją do tego małżeństwa. Przyjęła oświadczyzny Czerwińskiego, ale nie była z nim szczęśliwa. Władek

Czerwiński to był bogaty, ale prosty, surowy chłop. Była dla niego za delikatna.

- Czerwińscy to nasi kuzyni?

- Tak jakby. Kto by pomyślał, że Maciej jednak żyje. Wywieźli go daleko stąd. Dopiero po wielu latach wrócił. Amelia była już mężatką, miała dziecko. Co miał robić? Wyjechał do Szwecji, ożenił się, ale w końcu wrócił tu po śmierci żony. Przywiózł ze sobą syna, który się tu ożenił z jedną taką panną z Dąbrowy i też doczekał syna.

- Mówisz, babciu, o Benie? To jego ojciec urodził się w Szwecji?

- Tak. Nic dziwnego, że siedzi tam więcej niż w Polsce.

- Teraz już nic nie rozumiem. Dlaczego nie wezmą ze sobą Bena? Dlaczego jego dziadek wrócił?

Babcia wzrusza tylko ramionami i nic nie odpowiada. Wiele widziała w swoim życiu i nic jej nie dziwi. Wzdycha głośno i mówi dalej, jakby na nowo przeżywała tamte wydarzenia.

- Amelia urodziła Władkowi trójkę dzieci. Pracowała, dbała o dom jak każda gospodyni. Nic jej nie można było zarzucić, ale Władek jej nie szanował. Sam był sobie winien, że w końcu odeszła.

- Rozwiedli się?

- Nie rozwiedli się, ale uciekła od niego.

- Jak to uciekła?

- Był tu jeden taki, artysta. Przyjechał tu po wojnie z matką. Zajęli pusty dom w Brzeźnie. Żyli tam sobie trochę na odludziu, na kolonii. Dawid był jeszcze dzieckiem, gdy tu przyjechali. Pamiętam, jak chodził po polach z taką brązową teczką i rysował wszystko, na co spojrzał. Miał taki dar.

- To on namalował ten portret?

Babcia potakuje głową, ociera czoło fartuchem i mówi dalej.

- Był od niej dużo młodszy. Studiował, kiedy się poznali. Bóg jeden wie, jak do tego doszło. Miał może dwadzieścia lat, a ona prawie czterdzieści. Spotykali się po kryjomu, ale ktoś ich wyśledził i doniósł Władkowi. Ten wpadł we wściekłość. Opowiadał po pijaku, że jak go dopadnie, to zabije jak psa. Chłopak musiał uciekać, a Amelia całkiem oszalała, zostawiła dzieci i poleciała za nim. Potem doszły nas wieści, że wyjechali do Krakowa i żyją tam na kocią łapę. Z czego żyli, nie wiem. Trwało to blisko dwa lata. Trudno powiedzieć, dlaczego wróciła. Była wtedy w ciąży z Martą. Tak to jest z artystami. Nie trzeba być jasnowidzem, żeby to przewidzieć. Czerwiński jednak postawił warunek. Zapowiedział, że nie będzie wychowywać bękarta.

- I co wtedy zrobiła?

- Zamieszkała u nas.

- A ten malarz? Co się z nimi stało?

- Nie ma co do tego pewności. Nigdy nie przyznała się, kto jest ojcem Marty. Po powrocie z Krakowa mieszkała

u nas parę miesięcy, póki nie urodziła. Potem oddała nam dziecko. Aleksander był jej wujkiem, ale nigdy jej o tym nie powiedzieliśmy. Mieliśmy czworo własnych dzieci. Traktowaliśmy ją na równi ze wszystkimi, ale ona była taka trudna, zamknięta w sobie, uparta. Nieraz brakowało nam do niej cierpliwości.

- Cały czas ukrywaliście prawdę?!

- Serce bolało, kiedy Amelia przychodziła tutaj i bawiła się z małą, przytulała ją i całowała. A gdy Marta miała cztery latka, ciężko zachorowała i umarła.

- Dlaczego nigdy jej tego nie powiedzieliście?

- Myślałam, że pamięta. Czekałam, kiedy sama nas o to zapyta. Nie zapytała, a my nie chcieliśmy budzić złych duchów. Jestem już stara i może niedługo przyjdzie mi się pożegnać z tym światem. Musiałam powiedzieć ci całą prawdę, żeby móc spokojnie umrzeć.

Mała księżniczka cd.

Wczesnym rankiem wyruszyli w dalszą drogę. Szli wąskim tunelem wydrążonym przez podziemny strumień. Woda nieustannie obmywała skały, opływała ściany jaskini, a miejscami kapłała im na głowy. Wokół panowała ciemność rozświetlana jedynie bladym światłem pochodni. Stąpali delikatnie, gdyż końskie kopyta ślizgały się po mokrych kamieniach. Księżę szedł obok swego konia i starał się badać grunt. Złamana noga mogłaby kosztować konia życie. Zwierzęta szły spokojnie i reagowały posłusznie na każdą komendę.

Po kilku godzinach dłużącego się marszu dostrzegli wreszcie przebłyski światła po drugiej stronie tunelu.

Z wilgotnego chłodu jaskini weszli w skwar południowego słońca. Zmrużyli oczy od nadmiaru światła. Przed nimi rozciągała się rozległa górską kotlina porośnięta karłowatymi sosnami i pożółkłymi od słonecznego żaru trawami. W oddali, za kilkoma niższymi wzgórzami, dostrzegli ostre wieże potężnego zamczyska, a za nimi, na krańcach horyzontu, jak żywe srebro połyskiwały wody

oceanu.

- Jesteśmy już niemal u kresu podróży - zakwilił skowronek.

- Zatrzymajmy się na odpoczynek - zdecydował książę.

Byli śmiertelnie znużeni. Zarówno konie, jak i ludzie. Nie mówiąc już o Kicusiu, który tylko jęczał cichutko w objęciach Białej Koniczynki.

- Jak się czujesz? - dopytywała z troską księżniczka, ale zajączek nie miał siły, żeby mówić.

Przerażona dziewczynka spojrzała błagalnie w stronę księcia. Za żelazną kratką nie mogła jednak ujrzeć wyrazu jego oczu. Zapragnęła teraz boleśnie dostrzec jego wzrok, jednak nie śmiała go prosić, aby uchylił przyłbicę.

Tymczasem skowronek oddalił się od jeźdźców, lecz po niedługim czasie powrócił, niosąc w dziobie zielone liście, z których końców wypływała żółto-pomarańczowa ciecz.

- Posmaruj tym sokiem ranę Kicusia. Wystarczy kilka kropel - zwrócił się do księżniczki. - To jaskólcze ziele, ale bądź ostrożna, bo jest trujące. Niewielka ilość zagoi ranę, znieczuli ból i przyniesie ulgę.

Księżniczka uczyniła tak, jak jej powiedział skowronek, a już po kilku minutach zajączek zapadł w długi sen, który przywracał mu siły.

- Co dalej? - zastanawiał się książę, wpatrując się w odległy horyzont.

- Widziałem - szepnął mu do ucha skowronek - jak delfiny podpływają do brzegu, jak chodzą na ogonach po wodzie, jak wyskakują w powietrze i wyczyniają akrobacje na rozkaz czarownicy.

- Czy to są zaklęci rycerze?

- Widziałem wśród nich jednego ze złotą obrożą przypominającą koronę.

- To ojciec Białej Koniczynki - stwierdził książę. - Już wkrótce go uwolnimy.

- To nie będzie łatwe, wiedźma zna wiele straszliwych zaklęć - ostrzegł Feliks.

Książę zastygł w bezruchu, wpatrując się w dal w milczeniu. Starał się przypomnieć sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszał o czarownicy od swojej niani, która była dobrą wróżką.

- Ruszajmy - powiedział, pomagając księżniczce wsiąść na konia. Następnie dosiadł własnego i oba konie drobnymi krokami zaczęły schodzić wąską, krętą ścieżką w dół zbocza góry, u której podnóża, jak nastroszone wojenne piki, wznosiły się trzy spiczaste wieże potężnego zamczyska.

Powrót dziadka

Siedzę w swoim pokoju i wyglądam przez okno. Od kilku dni nie mogę otrząsnąć się z tego, czego się dowiedziałam od babci. Dziwne, że mama o tym nic mi nie powiedziała. Może nawet nie domyśla się, że babcia nie jest jej prawdziwą mamą. Muszę ją zapytać. Wolałabym jednak nie rozmawiać z nią o tym przez telefon. Poczekam, aż się spotkamy.

Za oknem szaro. Śnieg stopniał i powróciła jesień. Jest pochmurny, mglisty dzień. Ze śniegu pozostały tylko błotniste kałuże. Drzewa pozbawione liści wyglądają nago i żałośnie. Gdzieś w oddali, na wzgórzu, stoi stary drewniany dom. Nie wiem, kto tam mieszka. Wpatruję się w niebo i widzę smugę dymu sączącą się z komina. Wiatr bawi się nim jak wstążką. Raz podrywa go ku niebu, to znów przygniata do ziemi. Zatacza koła i marszczy jak falę morską. Przyglądam się temu obrazkowi i chciałabym go namalować. Niewiele myśląc, sięgam po kartkę i pastele. Pośpiesznie szkicuję ściany domu, komin i tasiemkę dymu, a w tle krajobraz w różnych odcieniach brązu i szarości.

Nagle słyszę, że przed domem zatrzymuje się samochód.

Serce podskakuje mi w piersiach. Już wiem, że to dziadek. Tak naprawdę czekam na niego od rana. Jestem radosna i nic nie może już tego zmienić, nawet te ponure rodzinne historie, których naopowiadała mi babcia.

Czasami po prostu zaczynam w to wątpić.

Wraz z Cezarem wybiegamy na zewnątrz. Pies łąsi się do sanitariuszy. Taki już ma charakter. Jest przyjacielem wszystkich. To na pewno nie jest pies obronny, ale kocham go takiego, jakim jest.

Dziadek wysiada z samochodu jakby w zwolnionym tempie. Wystawia najpierw jedną nogę, potem drugą i ostrożnie przy pomocy sanitariuszy stara się utrzymać na własnych nogach. Jest blady i dostrzegam, że ma zupełnie białe włosy. Podrosły mu w szpitalu i teraz wiatr rozwiewa je we wszystkie strony.

- Powoli, powoli, damy radę - zachęca jeden z mężczyzn, ubrany w czerwony uniform ze srebrnymi pasami odbłaskowymi.

- Jeszcze kawałeczek... - dziadek dodaje sam sobie otuchy.

Przyglądam mu się przerażona. Jest w znacznie gorszym stanie, niż spodziewałam się go zobaczyć. Idzie krok za krokiem, powoli, wspiera się na sanitariuszach i sapiąc, wchodzi do środka. Siada ciężko na krześle i łapie kilka łyków powietrza.

- Cześć, dziadku! Jak się czujesz?

- A czyj to pies?
- Ola dostała, to wzięliśmy - wyjaśnia babcia.
- Po co wam ten kłopot?
- Ostrożnie. Nie trzeba go męczyć. Musi się położyć - wyjaśnia sanitariusz.

Obie z babcią wyglądamy chyba na mocno strapione, bo medycy uspokajają nas, zapewniają, że wszystko będzie dobrze, że trzeba tylko czekać, bo w tym wieku szwy nie goją się w takim tempie jak u młodych. Zostawiają jeszcze kilka opakowań leków w niebieskich pudełkach i plik recept do wykupienia, po czym wychodzą.

Dziadek pokazuje, że chce się położyć. Odprowadzamy go do sypialni, a potem siadamy przy jego łóżku i patrzymy, jak leży z zamkniętymi oczami. Chyba zasnął. Cezar piszczy i obwąchuje go, jakby chciał go po swojemu przywitać. Po chwili dziadek otwiera na wpół przytomne oczy i przygląda się nam.

- Jak tam gospodarstwo? Dajecie sobie radę?
- Dajemy, dziadku, nie ma się co martwić.
- A ten pies, co on robi w domu? Pies ma pilnować podwórza.
- Tylko się nie denerwuj... - Babcia stara się go jakoś udobruchać, ale dziadkowi Cezar wyraźnie nie przypadł do gustu.

Nie rozumiem, dlaczego szczeniak dziadkowi

przeszkadza. Nagle cała radość z powrotu dziadka gdzieś się ulatnia, zostaje tylko smutek i gorzki smak prawdy, którą babcia przede mną odkryła. Nie jestem ich prawdziwą wnuczką. Zabieram Cezara i wychodzę.

Kładę się na chwilę, żeby trochę odpocząć i przemyśleć sobie jeszcze raz wszystko, co się wydarzyło, ale zamiast tego chyba zapadam w lekką drzemkę. Nagle słyszę jakąś melodię, która wyrywa mnie ze snu. To moja komórka. Spoglądam na ekran. Mama. Dlaczego zawsze musi dzwonić w chwilach, kiedy najmniej się tego spodziewam, a gdy czekam na telefon, to zawsze milczy?

- Cześć, mamó.
- No cześć, skarbie. Co słychać? Jak tam w szkole?
- No wiesz. Normalnie.
- A dziadek? Wrócił?
- Tak, wrócił. Jest u siebie. Chyba śpi.
- I co? Nie cieszysz się?
- Cieszę się, cieszę. Daj mi spokój!
- Córeczko, coś się stało?
- Nic się nie stało. Po prostu jest zmęczony, położył się. Jest dobrze.
- Słyszę, że coś jest nie tak...
- Nic się nie dzieje! O co ci chodzi?
- A matma?

- Dostałam piątkę z testu. Wystarczy?
- Ola! Nie mów do mnie takim tonem!
- Z tobą się nie da po prostu rozmawiać.

Milczymy przez chwilę. Nabieram w płuca powietrza. Ciekawe, z czym mama znów wyskoczy? Tak bym chciała z nią zwyczajnie pogadać, ale ona dostaje od razu temperatury, gdy tylko powiem jej o jakimś problemie, wolę więc nic nie mówić. Po co ma się denerwować niepotrzebnie... I tak jest zbyt daleko, aby mi w czymkolwiek pomóc.

- Oleńko, wiem, że jest ci tam ciężko samej. Obiecuję ci, że święta spędzimy razem.

- Naprawdę?

- Na pewno, kochanie. Nie ma takiej możliwości, żeby mogło być inaczej. Nie wiem jeszcze, czy przyjadę do was czy ty przylecisz tutaj... Jeszcze tego nie zaplanowałam. Muszę porozmawiać z ojcem.

- Chciałabym wrócić do Krakowa.

- Ja też, kochanie, ale na te święta to nam się chyba nie uda. Porozmawiam z ojcem i oddzwonię do ciebie. Strasznie za tobą tęsknię.

Mała Księżniczka cd.

Książę i Księżniczka podążali spokojnie i bez pośpiechu w stronę zamczyska. W oddali dostrzegli chmury wron i jastrzębi zataczających kręgi nad ich głowami, ale gdy zmierzali prosto do zamku, nikt im w tym nie przeszkadzał. Książę tylko od czasu do czasu zasłaniał się ręką, gdy któraś z wron przelatowała mu tuż nad głową. Skowronek na wszelki wypadek ukrył się w skórzanej torbie księcia, skąd zerkał z trwogą przez uchylone wieko na żarłoczne jastrzębie, które rozszarpałyby go w mgnieniu oka, gdyby tylko dostał się w ich szpony.

Zamczysko wyglądało na opustoszałe. U ogromnych wrót nie stali strażnicy ani też nie broniły im dostępu żelazne zamki, które zardzewiały od nieużywania. U wejścia do tej posiadłości leżały rozrzucone w nieładzie diamenty różnych kształtów i różnej wielkości, a także kopce szlachetnych kamieni, które lśniły tajemniczo i uwodziły swym blaskiem. Żaden zwyczajny śmiertelnik nie mógłby ich minąć, nie zatrzymując się i nie schylając, aby napełnić nimi kieszenie. Z chwilą jednak, gdy je podnosił, zamieniał się w zwierzę.

Księżę znał tę pułapkę. Opowiadała mu o niej niania, gdy był jeszcze dzieckiem. Strzegł więc księżniczki, aby ani na moment nie zsiadła z konia i nie pochyliła się ku ziemi, by dotknąć skarbu.

Bez przeszkód minęli ciężkie wrota, które stały otworem. Przeszli przez wiele pustych korytarzy, gdy wtem ciszę zmącił ledwie słyszalny szmer, niby szelest wiatru w liściach albo szum wody w strumieniu. Zwrócili głowy w stronę, skąd dochodziły dźwięki. Uchylili ostrożnie drzwi i weszli do środka komnaty.

Pokój wydawał się ogromny. Sufit podtrzymywały trzy rzędy kolumn, po których spływała woda. Wyglądało to, jakby fontanny podpierały sklepienie. Na zewnątrz był słoneczny dzień, ale tutaj docierała zaledwie ciemnozielona poświata. Pomieszczenie sprawiało wrażenie ponurej, wilgotnej celi. Szum wody zdawał się być złowrogim, szyderczym szeptem. Wszystko wokół jakby drwiło z przybyszów, którzy ośmielili się przekroczyć te nieprzychylne progi.

Biała Koniczynka, wiedzona siłą miłości i pragnieniem uwolnienia ojca, postępowała pewnie za księciem, który wysunął się lekko do przodu, aby bronić przyjaciółki przed niespodziewanym atakiem. Na jego ramieniu siedział Feliks, którego serduszko biło głośno i dźwięcznie, jakby ktoś grał na cymbałkach. Kicus nastroszył swoje szare futerko i przywarł drżący do ciała księżniczki, która wciąż trzymała go pod płaszczem.

Czarownica siedziała na wysokim tronie, na który musiała wspinać się spiralą marmurowych schodów. Wyniosła i dumna. Jakby oczekiwała śmiazków i tylko rozmyślała, jakim przewrotnym czarom ich poddać. Księżę odgadł zamiar więdźmy. Jeden raz wymierzył w nią wzrokiem ukrytym za pancerną przyłbicę z taką siłą, że jędza skurczyła się w sobie, pisnęła z bólu jak rażona prądem i w ostatniej chwili zasłoniła się niewidzialną chustą. Zasłona ta przeszkadzała jej jednak w rzucaniu czarów na przybyszów.

- Czego tu szukacie? - zapytała zgryźliwie. - Czy nie wiecie, że kto raz tu wstąpi, ginie bezpowrotnie i żaden bohater nigdy stąd nie wrócił?

- Nie jesteźmy bohaterami i nie dla sławy przybyliśmy tutaj! Księżniczkę przywiodła tu miłość do ojca, którego więzisz bezprawnie!

- Miłość? Ha, ha, ha! Cóż to takiego?!

- Nie znasz jej siły, więdźmo!

- Dobrze, jeśli taka potężna jest moc tej małej czarownicy, niech zmierzy się ze mną!

- Biała Koniczynka nie jest czarownicą, lecz małą księżniczką.

Na te słowa przez komnatę przebiegł szalony i złowrogi ryk więdźmy. Przypominał wycie wilków w pustym polu zimą.

- Przyjdźcie tutaj o świcie, aby wykonać zadanie, a jeśli wam się nie uda, dołączycie do stada wron i jastrzębi, które krążą nad zamkiem.

Wiedźma zaśmiała się szyderczym śmiechem.

- A jeśli nam się uda?

- Jak dotąd jeszcze się tak nie zdarzyło.

- A jeśli wykonamy zadanie? - nalegała księżniczka.

*- Wtedy zapewne twój ojciec będzie wolny -
odpowiedziała drwiąco czarownica i popatrzyła z nienawiścią
na księżniczkę, gdyż złościła ją odwaga małej dziewczynki.*

Wizyta Bena

Nie rozmawiałam jeszcze z Benem o całej tej historii z Amelią. Chyba czekałam na dziadka, żeby się czegoś więcej dowiedzieć, ale po tym, jak zareagował na Cezara, straciłam ochotę, aby go o cokolwiek pytać.

Wstałam wcześniej rano i uczyłam się chemii. Mam dziś sprawdzian. Czuję się przygotowana.

Ostatnio w ogóle poprawiłam oceny i idzie mi coraz lepiej w szkole. Teraz ja tłumaczę matkę Lidce i Emilowi. Zawsze mnie nachodzą, żebym im dała przepisać zadania, ale staram się im pomóc zrozumieć. Mam z tego satysfakcję. No i Emil już mi nie dokucza tak bardzo. Nie mogę powiedzieć, żeby zaczął się lepiej zachowywać w szkole, bo co to, to nie, ale ja mam spokój. Przynajmniej na razie.

W szkole ogłosili konkurs „Krajobrazy Podlasia”. Trzeba wykonać obraz dowolną techniką. Jakoś utkwił mi w pamięci ten dom z kominem i szarą mgiełką dymu wijącą się ku niebu. Muszę dokończyć ten rysunek. Mateusz przyznał się na lekcji, że też zaczął już malować. Mówił coś o wsi,

drewnianych płotach i bocianim gnieździe. U nas w Bronkach też jest bocianie gniazdo, nawet niejedno. Bociany dawno już odleciały, ale na wiosnę na pewno wrócą. Może wtedy ja też wrócę do domu i mama wróci, i znów będziemy razem. Na pewno zabiorę ze sobą Cezara. Kocham go i za nic w świecie nie zostawię go tutaj.

Nakładam czapkę i rękawice, bo z rana jest dość mroźnie, chociaż w ciągu dnia temperatura podnosi się zwykle powyżej zera i nie można narzekać. Spoglądam na zegarek. Jest dziesięć po siódmej. Mam zaledwie pięć minut. Chwytam w locie plecak i wybiegam na drogę. Z daleka widzę, że autobus wyłania się zza zakrętu. Przyspieszam. Kierowca na szczęście dostrzega mnie i czeka jeszcze chwilę, zanim wskoczę na schodek autobusu.

- Dziękuję! - wołam zasapana.

- Wsiadać i przechodzić dalej. - Na szczęście pan Stefan ma dzisiaj dobry humor i nie komentuje mojego spóźnienia.

W głębi autobusu widzę Bena. Macha do mnie i pokazuje, że zajął dla mnie miejsce. Jest naprawdę kochany. Cieszę się, że jedzie do szkoły. Z dwóch powodów: po pierwsze ze względu na niego, bo nareszcie zaczęło mu zależeć i chce napisać ten sprawdzian z chemii, a po drugie, że chcę mu opowiedzieć o Amelii, mojej prawdziwej babci.

- Musimy pogadać! Muszę ci coś powiedzieć, coś niesamowitego.

Ben patrzy na mnie trochę z niedowierzaniem, co też

mogło się wydarzyć w Bronkach, gdzie nigdy nic się nie dzieje.

- Co takiego?

Ben nadstawia ucha, ale dziewczyny, które siedzą przed nami, też się oglądają, żeby usłyszeć, co mam do powiedzenia, i nagle uświadamiam sobie, że wcale nie chcę, aby ktokolwiek oprócz Bena się o tym dowiedział. Spoglądam znacząco w stronę dziewczyn, a on od razu rozumie.

- Może po szkole mógłbym odwiedzić twojego dziadka, a przy okazji sobie pogadamy... Co ty na to?

- Dobrze, w porządku. - Udaję, że to taka zwyczajna rzecz, że Ben wpadnie do mnie po lekcjach, chociaż serce skacze mi z radości.

Siedzimy obok siebie trochę sztywno, nagle dziwnie skrępowani. Nie mam odwagi podnieść głowy i spojrzeć mu w oczy, jakbym się bała, że porazi mnie prąd. Odsuwam się od niego, żeby przypadkiem nie dotknąć jego ciała. Na szczęście nie mam żadnej kontroli nad moim płaszczem, którego poła rozłożyła się bezceremonialnie na jego nodze, i czuję, że poprzez ten płaszcz przenika mnie jego ciepło. Ben tu naprawdę jest. Siedzi obok mnie. Mówi coś do mnie. Potakuję i uśmiecham się do niego. Od czasu do czasu zwracam ku niemu twarz i zerkam w jego oczy, które błyskają gwiazdkami, gdy Ben odgarnia włosy i uśmiecha się do mnie.

W szkole lekcje dłużą się niemiłosiernie. Na przerwach

Ben stoi w grupce chłopaków, którzy chyba opowiadają sobie dowcipy, bo raz po raz wybuchają niepohamowanym śmiechem. Ja siedzę jak zwykle pod ścianą obok Zosi, wysyłam SMS-y do Julki albo gadam z Zośką. Ona się wiecznie przejmuję tym, co ktoś powiedział albo że zrobił jej głupi żart. Daje się wciągnąć w jakieś awantury, a potem całymi dniami chodzi nieszczęśliwa i skarży się, że wszyscy się z niej śmieją.

Emil z Damianem potrafią być naprawdę nieznośni. Z nudów potrafią zatruć komuś życie.

Czasem jeszcze próbują ze mną, ale nie reaguję. Dzisiaj wystarczy, że popatrzę na Bena i jest mi obojętne, co do mnie mówią. Trudno powiedzieć, dlaczego te gagatki przed nim wymiękają, bo nie jest to kwestia siły. Ben nie wdaje się z nimi w bójki ani nic takiego. Jest w nim jakiś kamienny spokój, jakby był z innej planety. A co najważniejsze, ten chłopak postanowił mnie chronić. Wszyscy to widzą. Przyjaźnimy się. Zależy mu na mnie i on się z tym wcale nie kryje. Inne dziewczyny robią do niego słodkie oczy, ale on je ignoruje. Lidka na przykład nachalnie go kokietuje, ale on nie zwraca na nią uwagi.

Po lekcjach Ben wysiada na moim przystanku i idziemy do mnie. Gadamy całą drogę. Mam dobry humor. Nareszcie coś zaczęło się rozjaśniać na horyzoncie mojego życia. Poznałam Bena i mama obiecała, że razem spędzimy święta. Ben opowiada mi żarty. Skąd on zna ich tyle? Ja od razu zapominam, gdy jakiś usłyszę. Śmiejemy się głośno i robimy

tyle hałasu, że ludzie spoglądają na nas zza firanek. Nic sobie jednak z tego nie robimy. Czuję się zupełnie na luzie i chyba odreagowuję stres ostatnich tygodni. Ben dodaje mi pewności siebie. Cokolwiek bym zrobiła lub powiedziała, on zawsze patrzy na mnie tak samo. Kocham to spojrzenie, które przenika mnie ciepłem i za każdym razem potwierdza, że akceptuje mnie taką, jaką jestem, niezależnie od tego, jak wyglądam i co zrobię.

Cezar wybiega nam na spotkanie. Podskakuje i próbuje polizać nas po twarzy. Jest na to jednak za mały. Ben pochyla się nad nim i tarmosi go za uszy. Psiak piszczy radośnie i łąsi mu się do nóg. Gdy otwieramy drzwi, Cezar wciska się przed nami do środka. Nie chce zostać na zewnątrz. Teraz zawsze, gdy jestem w szkole, dziadkowie wypuszczają go z domu i Cezar spędza długi czas na zewnątrz. Dziadek zrobił dla niego nawet budę ze starej klatki po królikach. Kiedy wracam ze szkoły, zabieram go do środka i nie zgadzam się, aby był poza domem. Dziadek ustępuje, ale widzę, że nie za bardzo mu się to podoba. Gdy idę do szkoły, Cezar pilnuje podwórka. Taka jest decyzja dziadka. Nie zgadza się, aby kręcił się po domu.

Nie mogę zamknąć psa w swoim pokoju, bo piszczy. Nie wiem, jak rozwiązać ten problem.

Boję się, co będzie, gdy przyjdą większe mrozy.

Babcia stoi w otwartych drzwiach do kuchni i zaprasza nas na obiad.

- Nie jestem głodny - wymawia się Ben. - Jadłem obiad na

stołówce.

- Trzecia godzina, musieliście zgłodnieć. Chociaż łyżkę zupy...

- Dobrze, babciu. Zaraz przyjdziemy, tylko zostawimy książki.

Ja też nie czuję głodu, ale wiem, że z nią nie jest tak łatwo. Lepiej trochę zjeść, a wtedy babcia da nam spokój i będziemy mogli sobie porozmawiać.

Wchodzimy na chwilę do mnie i zdejmujemy plecaki. Ben rozgląda się ciekawie po moim pokoju.

- Ale salon!

- To pokój gościnny. Jak przyjeżdżamy z mamą na wakacje, zawsze się tu zatrzymujemy. Babcia pozwoliła mi tu mieszkać. Poza tym dziadkowie mają trochę prywatności. Mieszkają w innym skrzydle. Po drugiej stronie korytarza.

- Dobrze się tu czujesz?

- Ten pokój przypomina mi mamę.

Ben dostrzega portret Amelii na ścianie. Przez dłuższy czas wpatruje się w niego zaskoczony.

- To niesamowite! Kiedyś widziałem bardzo podobny portret. Tylko na tamtym obrazie kobieta była w niebieskiej sukience. Pamiętam dobrze, bo się zastanawiałem, dlaczego malarz namalował niebo w takim samym kolorze jak niezapominajki. Tą samą farbą, chociaż to był taki dziwny odcień. Taki blady, prawie siny. Czasem śnieg ma taki kolor

w słoneczne dni.

Wzruszam tylko ramionami. Ludzie są czasem do kogoś podobni. Stoimy bez słowa, każdy z nas pochłonięty innymi myślami, gdy nagle słyszymy, jak drzwiczki od kredensu otwierają się z ochrypłym, przeciągłym skrzypieniem.

- Co to? Mieszkasz z duchami? - Ben śmieje się rozbawiony własnym skojarzeniem.

- Miałyś inną minę, gdybyś usłyszał ten dźwięk w środku nocy!

- One tak się zawsze same otwierają?

- Niestety, nic się z nimi nie da zrobić. Próbowалаm je naoliwić, ale to nie pomaga.

Ben podchodzi do kredensu i dokładnie ogląda zawiasy. Próbuje zamknąć drzwiczki, ale nie jest to proste.

- Drewno spuchło z wilgoci i stawia opór. Można by trochę spiłować.

- Chodźcie już, chodźcie, bo zupa całkiem wystygnie! - woła babcia i słyszymy już jej kroki w korytarzu. Idzie po nas. Ben zostawia na wpół otwarty kredens i idziemy na obiad. Dziadek już siedzi przy stole. Jedną ręką oparł się o stół, a w drugiej trzyma łyżkę, którą zanurza głęboko w zupie, uderzając o dno talerza. Je w milczeniu, zapatrzony w stół i nieobecny.

- Dzień dobry, panie Chrostowski - Ben wita się uprzejmie.

Dziadek przytomnieje, podnosi głowę i przygląda się nam przez chwilę. Cała jego postać drży lekko, jakby dziadek z trudem utrzymywał się na krześle. Przez chwilę obawiam się, że ręka z łyżką opadnie na talerz, a zupa rozprysnie się po serwecie. Teraz odczuwam tylko współczucie dla dziadka. Jest taki słaby i bezradny jak małe dziecko. Jednak kiedy podnosi wzrok, widzę w jego oczach zdecydowanie i determinację. Walczy ze słabością i nie pozwala nikomu litować się nad sobą.

- A jak tam Maciej? Trzyma się jeszcze?

- Tak, dziękuję. Oprócz stawów nic mu nie dolega. Trochę trudno mu chodzić, ale mówił, że wybiera się do pana z wizytą.

- Razem siedzieliśmy na UB. To było przed samym Bożym Narodzeniem. Mróz, śnieg za oknem, a w oknie tylko kraty. Dali nam po kromce czarnego chleba na cały dzień i kubek czarnej herbaty. Taka to była Wigilia. U niego w stodole za krokwią znaleźli broń. Mnie i paru innych puścili, ale on został. Nikt już nie myślał, że wróci. Wtedy ludzie ginęli nie wiadomo gdzie i nikt już o nich nie słyszał.

Dziadek mówi jakby do siebie. Słuchamy w milczeniu. Babcia stawia przed nami zupę i koszyk chleba. Zupa pachnie prawdziwkami. Dziadek zbierał je jesienią, zanim jeszcze poszedł do szpitala. Nikt nie musi nas zachęcać do jedzenia. Prosimy nawet o dolewkę. Widzę radość w oczach babci.

- Powiedz Maciejowi, że jak dam radę, to sam do niego

przyjdę. Wezmę laskę i jakoś pomalutku pokuśtykam.

- Dobrze. Powiem dziadkowi. Ucieszy się, bo mu rzeczywiście ciężko. Już od dawna dalej niż na drogę nie wychodzi.

Gawędzimy jeszcze trochę, ale za oknem szybko zapada zmierzch. Ben spogląda na zegarek.

- Chyba muszę już iść - mówi, podnosząc się z krzesła. - Dziękuję za pyszną zupę.

Ja też wstaję od stołu i razem wychodzimy. Ben zostawił plecak w moim pokoju. Poza tym chciałam mu jeszcze opowiedzieć o Amelii. Zasiadzieliśmy się przy stole i zrobiło się późno. Zależy mi jednak, żeby Ben usłyszał całą historię. Muszę mu o tym opowiedzieć.

Gdy wracamy do mojego pokoju, Ben zabiera swój plecak i zmierza prosto ku drzwiom, gdy nagle zatrzymuje się i spogląda na mnie pytająco.

- Chciałaś mi o czymś powiedzieć?

- Tak, rzeczywiście. To znaczy, muszę ci opowiedzieć pewną historię, którą opowiedziała mi babcia, ale przyrzeknij, że nikomu nie powiesz.

- Dobrze, wiesz, że możesz mi zaufać.

- Wiem, ale to rodzinny sekret. Nie wiem, czy powinnam komukolwiek o tym mówić.

- No dobrze, przysięgam.

Ben sadowi się wygodnie w fotelu i spogląda na mnie

w oczekiwaniu. Siadam naprzeciw, splatam ręce i zaciskam je mocno. Wciąż się waham, czy mu powiedzieć, czy mogę i czy powinnam go wprowadzać w nasze rodzinne dramaty, ale częściowo dotyczą one także jego dziadka.

- Czy się kiedyś zastanawiałeś nad tym, dlaczego twój dziadek wyemigrował do Szwecji? Czy pytałeś go o to?

- Tak, ze względów politycznych. Przypominam sobie, że kiedyś zagadnąłem go o to.

- Babcia mi powiedziała, że trochę też przez Amelię, bo ją kochał, a ona wyszła za Władka Czerwińskiego.

- Naprawdę?

- Babcia mi powiedziała, że Amelia jest moją prawdziwą babcią. Oni z dziadkiem wychowali moją mamę, ale nie są jej prawdziwymi rodzicami.

- Poważnie? - Bena totalnie замуrowało. Patrzy na mnie, nie dowierzając. - Nic z tego nie rozumiem.

- Amelia nigdy nie powiedziała, kto jest ojcem mojej mamy. Nie wiadomo, dlaczego to ukrywała.

- Poczekaj, a Czerwiński?

- Nie, to nie on. Dlatego nie chciał mamy, nazwał ją bękartem i dziadek zgodził się ją wychować, bo była jego siostrzenicą.

- Myślisz, że mój dziadek ...?

- Nie, to był ktoś inny. Amelia zraniła wiele osób. Zdradziła swego męża, zostawiła mu dzieci i uciekła z jakimś

malarzem. Byli razem, dopóki mógł się nią zabawić, a gdy się dowiedział, że spodziewa się dziecka, zostawił ją. Nawet jeśli jest moim prawdziwym dziadkiem, to wcale nie wiem, czy chcę go poznawać. Zresztą on pewnie już nie żyje albo jest zgrzybiałym starcem, który nawet nie pamięta Amelii.

- To strasznie skomplikowana historia.

- To prawda. Nie wiem, co mam myśleć o Amelii. Jedyna rzecz, jaką mogę powiedzieć na jej usprawiedliwienie, to fakt, że rodzina ją zmusiła, żeby wyszła za tego Władka.

- Lepiej nikogo nie osądzać. W każdym razie to twoja babcia.

- Wiem. Tak naprawdę od dawna czułam, że to ktoś mi bliski.

- Jesteś trochę do niej podobna.

- Myślę, że nie mogła być złą osobą. Chciałabym się czegoś więcej o niej dowiedzieć.

- Zapytam dziadka. Spróbuję coś z niego wycisnąć, chociaż myślę, że to nie będzie łatwe.

Siedzimy tak kilka minut bez słowa. Za oknem słyszę szum wiatru. Taka wichura zapowiada zmianę pogody. Nadciągają mrozy. Nasłuchałam się od mamy opowieści o zasypanych i odciętych od świata wioskach, o śnieżnych burzach i trzaskających mrozach na Podlasiu. Teraz zaledwie prószy śnieg, ale niech Ben już idzie. Robi się ciemno i dziadek czeka na niego w domu.

- Idź już, Ben, zrobiło się całkiem ciemno.

- Dobrze, będę się już zbierał.

Macham mu jeszcze na pożegnanie przez szybę. Ben odwraca się i uśmiecha się do mnie, jakoś tak, że ogarnia mnie smutek.

Za moimi plecami skrzypią drzwiczki od kredensu, o których zapomnieliśmy. Czy to babcia Amelia pociesza mnie i dodaje otuchy? Myślę, że gdzieś tam czuwa nade mną i nad mamą.

Telefon od ojca

Wstaję o szóstej, a o siódmej dziesięć stoję już na przystanku. Nasuwam na głowę kaptur, bo wiatr świszcze niemiłosiernie i przewiewa na wylot moją ażurową czapkę. Lubię ją, bo przypomina mi Kraków. Razem z Julką kupiliśmy sobie takie same, intensywnie czerwone czapki w Sukiennicach na Rynku. Jest cała wydziergana ręcznie na szydełku. Z boku jest róża zrobiona z włóczki w takim samym kolorze. Noszę ją już drugi rok.

Autobus się spóźnia. To pewnie przez te zaspę. W nocy napadało śniegu po kolana. Myślę już o tym, aby zawrócić do domu, ale wszyscy czekają, no to i ja czekam. Na szczęście autobus wreszcie wyłania się zza zakrętu. Ben trzyma dla mnie miejsce. Daje mi znak ręką, więc idę prosto do niego na tył autobusu. Wygłupiamy się całą drogę. W pewnej chwili bierze moją komórkę i pisze na niej SMS: „kocham cię”. Zabieram mu ją i przez przypadek, gdy tak sobie wyrywamy telefon, naciskam numer mojego taty i wiadomość zostaje wysłana do niego.

Patrzę na Bena w osłupieniu.

- Stało się coś?

- Nie, nic.

Co sobie ojciec pomyśli, gdy dostanie taką wiadomość? Dawno już nie rozmawialiśmy. Nie chcę o tym myśleć. Jest mi jakoś niezręcznie, bo to, co czuję do niego, to raczej żal i uraza. Mam w sercu głębokie poczucie krzywdy i normalnie takie słowa nie przeszłyby mi przez gardło. Chciałabym raczej wykrzyknąć mu w twarz, że go nienawidzę i nie chcę go już nigdy więcej widzieć. To jego wina, że mama musiała wyjechać, że zostawili mnie tutaj. A teraz odrzucił mnie i mamę, aby budować jakieś swoje własne szczęście bez nas.

Dzisiaj są Mikołajki i Ben ma na głowie czapkę Świętego Mikołaja. Wszyscy zresztą mieliśmy się ubrać do szkoły na czerwono. Ja mam czapkę i sweter w tym kolorze. Mam też szalik w zielono-czerwoną kratkę, który kiedyś dostałam na gwiazdkę. Chodzę w nim po szkole cały dzień. Czapkę chowam do plecaka, bo jest mi w niej za gorąco.

Na holu wejściowym pojawiła się wystawa naszych prac konkursowych. Pierwsze miejsce zajął Mateusz. Namalował bocianie gniazdo na tle wiejskiej chaty. Gdy dłużej się przyglądam, też zaczyna mi się podobać. Może nawet zasłużył na zwycięstwo. Drugą nagrodę przyznano dziewczynie z pierwszej klasy, która wyszyła cały krajobraz kolorową muliną.

Nawet ciekawie. Ja dostałam wyróżnienie. Namalowałam ten dom z dymiącym kominem. Użyłam pastelów w różnych odcieniach brązu i szarości. Wyszedł ponury, jesienny

krajobraz, ale taki po prostu jest listopad.

Na przerwie przechadzamy się z Benem po korytarzu i oglądamy obrazki.

- Poznają ten dom. Masz niezłe oko.

- To widok z mojego okna. Lubię obserwować, jak dym unosi się z komina. Czasem leci zupełnie pionowo do góry jak para z czajnika, a czasem się wije jak flaga na pirackim statku.

- Niezłe porównanie: piracki statek!

- Bo to tajemniczy domek. Jest całkiem na odludziu. Zastanawiam się, kto tam mieszka. Może jakiś opryszek albo pustelnik?

- Nie słyszałaś? Znachorka. Niektórzy nawet mówią, że czarownica. W wiosce straszą nią dzieci. Gdy jakieś dziecko jest niegrzeczne, mówią, że porwie je wiedźma z mokradeł.

- Ubarwiasz, Ben. Czarownice nie istnieją. Wiesz, kto tam mieszka?

- Tak, taka jedna staruszka, ale jest całkiem odlotowa. Zna się na ziołach i na ludowej medycynie. Wygląda inaczej niż wiejskie babcie i jest nietutejsza. Ma długie, siwe włosy i ubiera się jak kobiety sto lat temu. Nosi takie wielkie, staroświeckie chusty.

- Chciałabym ją poznać.

- Gdy byłem mały, słyszałem o niej dziwne historie i wszyscyśmy się jej bali, ale kiedyś bawiliśmy się

z chłopakami i umówiliśmy się, że ten, kto przegra, będzie musiał pójść do staruchy i przynieść dowód na to, że z nią rozmawiał. Niestety padło na mnie. Nie mogłem pokazać chłopakom, że się boję. Latem, jak olszyna trochę obsycha, da się tam dojść przez bagna, trzeba tylko skakać z jednej kępy drzew na drugą. Za olszyną widać już cały dom. Furтка była otwarta, a przed domem taki zwyczajny ogródek z warzywami i kwiatami.

- I co? Rozmawiałaś z nią?

- Tak. Siedziała sobie w ogródku z dwoma kotami. Na łące pasła się koza i wszystko wyglądało całkiem jak w skansenie. Trochę się bałem, czy nie ma w środku jakiegoś pieca i czy nie robi sobie ze mnie smacznej przekąski...

- To ciekawe. I co było dalej?

- Nic takiego. Poczęstowała mnie cukierkami i orzechami. Pierwszy raz jadłem brazylijskie orzechy. Mówiła, że dostaje je od syna z Anglii. W ogóle syn chce ją ściągnąć za granicę, ale ona za nic nie myśli zostawić tego domu. Ludzie opowiadają o niej totalne bzdury, bo nie lubią obcych. Mówią, że to wiedźma albo wariatka, ale ona nie chce stąd wyjeżdżać.

Twierdzi, że na świecie wszędzie jest tak samo i jest już za stara, aby się znowu przenosić. Dostałem od niej taką rozkładaną babuszkę. Moi koledzy musieli mi uwierzyć. Teraz od czasu do czasu ją odwiedzam.

- Mogłabym pójść z tobą?

- Pewnie. Ucieszy się. Poczekajmy tylko na większe mrozy. Kiedy bagna zamarzną, będzie można pójść na skróty. Dookoła to kawał drogi.

Dzwonek przerywa nam rozmowę. Z niechęcią idziemy na górę pod klasę. Dzisiaj są luźne lekcje, ale i tak musimy siedzieć w szkole. Na matmie robimy jakieś przykłady na tablicy. Umiem to, ale nie chce mi się zgłaszać.

Wpatruję się w okno i po chwili po prostu odpływam. Śnieg wciąż sypie coraz większymi ptakami i wyobrażam sobie, że idę plażą po białym, miłkim piasku, fale rozbijają mi się o kolana, a nad głową pokrzykują mewy. Ojciec idzie obok mnie. Wiatr rozwiewa mi włosy. Szarpie nimi, jak to nadmorski wiatr, ale wcale mi to nie przeszkadza.

- Wiesz, tato, kiedy tak długo nie dzwonisz, nie wiem, co się dzieje, i myślę sobie, że o mnie zapomniałeś.

- Niepotrzebnie się martwisz. Daj mi rękę. Widzisz, jestem z tobą. Idziemy razem plażą. Mewy fruwały nam nad głowami, jak jakieś wielkie płatki śniegu, a woda piętury się, jakby za chwilę miała się z niej wyłonić Królowa Śniegu na srebrnych saniach.

- Potrafisz fantazjować, tato, ale nie chcę sobie nic wyobrażać, chcę tylko iść tak po prostu z tobą brzegiem morza i cieszyć się, że jesteśmy razem i rozmawiać. Chcę z tobą cały czas rozmawiać, bo boję się, że znowu wyjedziesz i nie zdążę zadać ci tych wszystkich pytań.

- Chcesz mnie o coś zapytać?

- Gdzie teraz mieszkasz, chciałabym wiedzieć, jaki to dom i czy...

- Śmiało, możesz pytać o wszystko.

- Dlaczego odszedłeś?

- To trudne pytanie. Nie do końca potrafię na nie odpowiedzieć. Widzisz ten dom z kamieni? Z tarasu jest widok na siną tafłę wody i nadbrzeżne skały. Jest tu dużo nagich, stromych skał. Kiedyś się na nie wspinałem, teraz już tylko je oglądam i zastanawiam się nad życiem. Nad różnymi rzeczami, które w życiu robiłem, i staram się zrozumieć, co jest w życiu najważniejsze.

- A ja, czy jestem dla ciebie kimś ważnym?

- Nie spodziewałem się takiego pytania, bo to chyba oczywiste. Jesteś najważniejsza. Gdyby było inaczej, nie byłoby mnie tutaj, przy tobie. Jestem, bo cię kocham. Ojciec zawsze, bez względu na okoliczności, kocha swoje dziecko.

- Bo widzisz, ja też cię kocham bez względu na okoliczności i tęsknię, gdy cię nie ma, i boję się, że to tylko sen, że się obudzę i okaże się, że zostawiliście mnie gdzieś daleko i oboje zapomnieliście o mnie.

- To takie niemądre, kochanie. Naczytałaś się tych bajek o sierotkach, kopciuszkach i tych wszystkich smutnych dzieciakach i teraz śnią ci się jakieś koszmary.

- Tato, chciałabym ci o czymś opowiedzieć. To głupie, ale czasem wyobrażam sobie, że jestem właśnie w takiej bajce i śni mi się, że jestem gdzieś daleko od was, na końcu świata.

Przytul mnie i powiedz, że mi się to już nigdy nie przyśni.

Zośka uderza mnie łokciem w ramię i wyrywa ze słodkiego snu na jawie. Słyszę, jak nauczycielka głośno powtarza moje imię. Zosia pokazuje mi w książce zadanie, więc unoszę się powoli, aby jeszcze raz dopytać, o co jestem pytana.

- Aleksandro, nie śpij. Do tablicy!

Po drodze czytam jeszcze zadanie i zastanawiam się, jak to zrobić. Chyba coś przegapiłam, bo zupełnie nie wiem, o co w nim chodzi. Stoję pod tablicą jak osioł i wpatruję się w książkę. Chyba się rumienię, więc odwracam się twarzą do tablicy i udaję, że myślę. W rzeczywistości jestem tak zażenowana i otumaniona całą sytuacją, że nie jestem w stanie zebrać myśli.

- Usiądź. - Słyszę zniecierpliwienie w głosie nauczycielki. Masz szczęście, że dzisiaj są Mikołajki i nie stawiamy złych ocen, ale to nie znaczy, że można sobie olać wszystko i myśleć o niebieskich migdałach całą lekcję.

Jestem na nią wściekła. Po prostu się zamyśliłam. Co ją to zresztą obchodzi? Może stawiać mi jedynki, ale nie ma prawa obrażać mnie przed całą klasą. Siadam jednak do ławki bez słowa i pochylam głowę nad książką. Nie mam odwagi popatrzeć przez okno, chociaż kątem oka widzę, że śnieg wciąż sypie i mój ojciec spaceruje sobie boso po rozpalonej słońcem plaży. Wzdycham tylko i przepisuję coś bezmyślnie z tablicy. Moja głowa staje się coraz cięższa i czuję, że puchnie z minuty na minutę jak wielki balon, który za chwilę

eksploduje. Pochyłam się nad ławką i chowam za plecami Andrzeja, który siedzi przede mną. Muszę jakoś przetrwać do dzwonka.

Na przerwie staję przy poręczu, która zabezpiecza okno na korytarzu, i wpatruję się w szkolne podwórko. Widok śnieżnej zamieci trochę mnie uspokaja.

Nagle dzwoni komórka. Znowu zapomniałam ją wyłączyć. Całe szczęście, że nie zadzwoniła na lekcji. Przeszukuję nerwowo plecak, ale telefon musi być gdzieś na dnie. W końcu wygrzebuję go spod książek. Ktoś musi być bardzo cierpliwy, bo wciąż czeka na odpowiedź. Zanim naciskam przycisk, spoglądam na ekran. Jestem oszołomiona. Dlaczego się denerwuję?

- Słucham.

- To ja, Olu.

- Uhm.

- Wiem, długo nie dzwoniłem. Spiętrzyło się wiele spraw. Nie wiem, czy dziecko potrafi to zrozumieć.

- Nie jestem już dzieckiem.

- Dziś rano odebrałem twoją wiadomość i nie mogę przestać o tym myśleć. Ja też cię bardzo kocham.

- Uhm.

Stoję na szkolnym korytarzu i rozmawiam z moim ojcem. Słucham go, ale ogarnia mnie znużenie. Czuję się potwornie zmęczona. Nie potrafię uwierzyć ani w jedno jego słowo.

Zostawił nas i odszedł. Nic dla niego z mamą nie znaczymy, a tu nagle mówi, że mnie kocha.

Wiem, co to miłość. Gdyby nie przypadkowy SMS, nigdy by nie zadzwonił. O co mu chodzi? Czego on ode mnie chce?

- Jesteś tam, kochanie?

- Tato, ten SMS to był tylko przypadek. Nie musisz o mnie myśleć i się mną interesować. Masz ważniejsze sprawy.

- Dziś rano uświadomiłem sobie, że nie ma ważniejszych spraw niż własne dziecko.

- Więc dlatego odesłałeś mnie tutaj?

- No właśnie, jak tam sprawy w Bronkach? Dziadek z babcią trzymają się jakoś?

- Żebyś wiedział, jak najbardziej. Dziadek wrócił ze szpitala, babcia... Zresztą, ciebie to tak naprawdę nic nie obchodzi. Nic cię nie obchodzę.

- Posłuchaj, cokolwiek powiedzieli ci o mnie, musisz pamiętać, że jestem twoim ojcem.

- Problem w tym, że jestem dla ciebie tylko kulą u nogi.

- Zrozum, sprawy między mną i mamą się skomplikowały.

- Nie wiem, po co dzwonisz. Nie musisz się tłumaczyć. Zostawiłeś nas i to wszystko wyjaśnia.

- Olu, jestem twoim ojcem i kocham cię, ale to nie jest takie proste.

- Nieprawda. To bardzo proste. Albo się kogoś kocha,

albo się o nim zapomina i...

Rozłączam się. Po prostu naciskam przycisk i się rozłączam. Wyłączam komórkę. Cała się trzęsę. Czuję, że się zaraz rozkleję, więc idę szybko to toalety. Wchodzę do kabiny i zamykam za sobą drzwi. Zastanawiam się, co on mi takiego powiedział, że totalnie wyprowadził mnie z równowagi. Nie chcę, żeby dzwonił, żeby tu przyjeżdżał. Nie chcę nawet tam wracać. Nagle dociera to do mnie po raz pierwszy z taką wyrazistością. Moja rodzina jest rozbita. To tak jakbyśmy poszli na wojnę i zostali pokonani. Jestem zdruzgotana i przerażona. Tam nie ma już mojego domu. Nie ma świąt, gwiazdki, prezentów pod choinką, Świętego Mikołaja ani... nas. Co ja mam teraz zrobić? Gdzie spędzę święta? Czy mama naprawdę przyjedzie? Tyle rzeczy już mi obiecywała, ale jak na razie to tylko czcze gadanie.

Słyszę dzwonek na lekcję. Wycieram głośno nos i ocieram twarz. Doprowadzam się jakoś do porządku i idę na lekcję.

Mała księżniczka cd.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, książę i księżniczka ze zwierzętami ukrytymi w zanadrzu znów stanęli przed czarownicą.

Wiedźma siedziała na swoim tronie i wydawało im się, że od poprzedniego dnia nie ruszyła się z miejsca.

- Nie wiem, jak udało się wam tu dotrzeć cało. Powinniście zginąć po drodze. Zadziwiliście mnie swoją odwagą - szydziła wiedźma - i dlatego pozwolę wam odejść z życiem. Jesteście wolni.

- Za nic w świecie! - oburzyła się księżniczka. - Nie po to przebyliśmy pół świata, aby teraz stchórzyć. Nie odejdę stąd, dopóki nie uwolnię ojca albo sama nie zamienię się w rybę czy ptaka jak inni nieszczęśnicy, których tu więzisz przemocą.

- Dobrze! Sama się o to prosiłaś! - wrzasnęła czarownica ze złością. - W podziemnej jaskini w górach mieszka jednooki olbrzym, który stracił swoje jedyne oko. Dawno temu podstępem wykradł zielony onyks z mojego skarbcza, dzięki

któremu widzi. Próbuję go odzyskać już od lat. Jeśli mi go przyniesiesz, zwrócę ojcu wolność, ale jeśli ci się to nie uda, stracisz swoją moc i nic cię już nie ocali.

Przyjaciele wyszli oszołomieni. Skowronek nastroszył piórka i pisnął ponuro. Znał cyclopa i jego przebiegłość. Wiele razy obserwował z góry tego potwora. Tak wielkiego, że stąpał po lesie jak po trawie i jednym susem przeskakiwał góry. Gdy był głodny, ogromne zwierzęta połykał jak śliwki, a gdy był spragniony, wypijał pół jeziora.

Między kędzierzawą czupryną a bulwiastym nosem miał tylko jedno małe oko, które w porównaniu z jego wielką głową wyglądało jak okrągły, zielony groszek.

- Słyszałem o tym jednookim potworze - odezwał się książę, gdy oddalili się z zamku na bezpieczną odległość. - Wyjmuje on to oko na noc, gdy udaje się na spoczynek, i kładzie je na ziemi, tuż przy swoim pościu, aby móc je włożyć następnego dnia. Bez niego jest całkiem ślepy. Jednak jest zbyt przebiegły, aby się nie zabezpieczyć. Gdy kładzie się spać, zastawia wejście do groty ogromnym głazem, wielkim jak ściana skalna. Nie sposób się wtedy przedostać do groty.

Księżniczka posmutniała. Zadanie to wyglądało na niemożliwe do wykonania. Na nic wszystkie trudy, jakie znosili przez całą drogę. Teraz, już niemal u celu, napotkali przeszkodę nie do pokonania.

- Nie martw się, księżniczko - odezwał się cichutko Kicuś, jakby chciał ją pocieszyć. - Pomogę ci. Zakradnę się do

jaskini olbrzyma i ukryję się gdzieś za skałą, a gdy olbrzym wróci nocą, zabiorę mu to oko z onyksu.

- Ty? Chcesz iść sam i wykraść onyks? Przecież ty się boisz własnego cienia!

- Boję się bardzo, ale pójdę i uda mi się, zobaczysz!

- A jeśli cię znajdzie? Zginiesz marnie!

- Uratowałaś mi życie. Teraz mogę ci się odwdzięczyć.

Wszyscy w zdumieniu spoglądali na zajączka, ale trudno było mu odmówić racji. Cyklop bez trudu dostrzegłby ludzi, a skowronek był za mały. Nie udźwignąłby onyksu.

Jaskinia cyklopa znajdowała się na drugim krańcu łańcucha gór. Wędrowali kilka dni, zanim Feliks nakazał im się zatrzymać i ukryć wśród skał. Dalej poprowadził już tylko zajączka. Leciał nad nim i wskazywał drogę. W ciągu dnia kamień zamykający jaskinię olbrzyma był odsunięty. Podczas jego nieobecności zajączek mógł się tam ukryć bez trudu.

W środku nocy, gdy ściany drżały od chrapania potwora, zajączek, dygocząc na całym ciele, podkradł się cichutko i bez trudu wykradł oko. Teraz musiał się jeszcze wydostać na zewnątrz. Wśród kamieni tworzących podłogę jaskini wyszukał przesmyk miękkiego piasku i zaczął kopać podziemny tunel. Szmer zdrapywanej ziemi dotarł jednak do uszu olbrzyma. Kicus skamieniał z przerażenia, gdy chrapanie zatrzymało się i wydawało się, że potwór nadśłuchuje, skąd dochodzi hałas. Po chwili jednak cyklop odwrócił się na drugi bok i ponownie zapadł w głęboki sen.

Zanim wstały pierwsze promienie słońca, zajaczek był już z powrotem.

Nie tracąc ani chwili, przyjaciele skierowali się do zamczyska wiedźmy, aby jej zanieść zielone oko. Czarownica wykrzyknęła z triumfem na widok odzyskanego kamienia.

Wpatrywała się w onyks przez dłuższą chwilę, zanim umieściła go w diademie, który wsunęła we włosy nad czołem.

Wyglądała teraz jeszcze bardziej władczo i groźnie. Księżniczka pragnęła już tylko jednego: jak najszybciej ujrzeć ojca i opuścić to złowrogie miejsce.

- A teraz dotrzymaj słowa i uwolnij mojego ojca - upomniała się księżniczka.

- Zgoda, możecie już go zabrać i odjechać tam, skąd przybyliście, lecz aby to uczynić, musisz przejść przez czarną komnatę. Nie ma tam światła, a drzwi są zamknięte na klucz. W komnacie jest wiele drzwi, ale klucz pasuje tylko do jednych. Jeśli się pomylisz, klucz utknie na zawsze w zamku, a wtedy zgubisz siebie i ojca.

- Daj nam ten klucz, czarownico!

- Możesz go wziąć sobie sama. Znajduje się na najwyższym drzewie w moim lesie, w środku sosnowej szyszki.

- Co? Oszukałaś nas! Powiedziałaś, że gdy przyniesiemy ci onyks, pozwolisz nam odejść wraz z ojcem.

- Długo jeszcze muszę was znosić, zanim zamienię was w mrówki, które raz na zawsze znikną z moich oczu w podziemnych korytarzach?

Po raz kolejny przyjaciele z ciężkim sercem opuścili komnatę czarownicy. Popatrzyli na blask słońca, które sypało im na głowy garście ciepłych promieni, jakby chciało ich pocieszyć...

- Czy to możliwe? - jęknęła księżniczka. - Jak mamy odnaleźć jakiś mały klucz, gdy wokół rośnie tysiąc drzew, a każde z nich jest obsypane tysiącem szyszek?

- To prawda... - Wszyscy usiedli na trawie i zamilkli. Dały się słyszeć jedynie głośne westchnienia.

Mijał czas, przyjaciele tylko spoglądali na siebie ponuro. Skowronek chciał lecieć do lasu i szukać. Wierzył, że łut szczęścia dopomoże mu odnaleźć klucz, ale księżę go powstrzymał. W powietrzu unosiło się stado jastrzębi, które tylko czekały, aby pochwycić małego ptaszka w swoje szpony i uczynić z niego smaczny kąsek.

Słońce pochyliło się już ku zachodowi, a przyjaciele siedzieli zmartwieni i wpatrywali się w niebo, jakby stamtąd oczekiwali pocieszenia. Nagle na szarzejącym nieboskłonie dały się dostrzec jasne smugi spadających gwiazd.

- Spójrzcie! - wykrzyknął skowronek. - Dzisiaj jest noc meteorów. Przelatują nad ziemią jak stado srebrnych ptaków. Zawsze w taką noc wzbijam się wysoko i śpiewam im moją piosenkę. Zatrzymują się wtedy na chwilę w swoim

biegu i słuchają. W podzięcie dają mi pokaz podniebnych fajerwerków. Dziś w nocy wzbiję się wysoko w niebo i zaśpiewam im z całej piersi, najgłośniej jak potrafię. Jeśli mnie usłyszą i zatrzymają się w locie, wtedy poproszę, aby mi pomogły znaleźć kluczyk.

Feliks rozejrzał się wokół, czy w pobliżu nie widać jakiegoś drapieżnego ptaka, a następnie wzbił się prosto w górę jak wypuszczona w powietrze strzała. Po chwili do uszu przyjaciół dobiegły dźwięki piosenki skowronka. Wydawało się, że to perlista rosa spada z nieba i potrąca o struny traw. Zastłuchani, oczarowani melodią, dostrzegli ze zdumieniem, że niebo zamarło na chwilę, a ogniste meteory jak białe rumaki przystanęły w zachwycie, aby podziwiać pieśń skowronka.

- W której szyszce ukryty jest złoty kluczyk? - zawołał głośno Feliks, gdy skończył śpiewać. Meteory nagle poderwały się do lotu jak chmara spłoszonych gołębi, wzbijając łuny iskier, lecz jedna gwiazdka spadła prosto na najwyższą sosnę, strącając z jej wierzchołka szyszkę, z której wysunął się kluczyk i spadł na ziemię, połyskując w ciemnościach. Skowronek bez trudu pochwycił go i przyniósł do rąk księżniczki.

Serca zabiły wszystkim radością. Teraz już nic nie stanie na przeszkodzie, aby uwolnić ojca księżniczki. Zanim jednak ruszyli w drogę powrotną do zamku, ułożyli się na trawie na krótki odpoczynek, gdyż wszyscy byli znużeni przeżyciami tej nocy. Jednak wraz z pierwszym brzaskiem słońca zbudzili się

ze snu i podążyli czym prędzej do zamku czarownicy, aby wreszcie zakończyć swoją misję.

Wiedźma na widok klucza zamilkła i długo przyglądała się księżniczce z niedowierzaniem.

- Masz wiernych pomocników - przemówiła na koniec. - I dlatego wydaje ci się, że jesteś potężna, ale wkrótce przekonasz się, że jesteś tylko małą, bezradną dziewczynką, której nikt nie jest w stanie przyjść ci z pomocą. Do Czarnej Komnaty wejdiesz sama i będziesz musiała odnaleźć właściwe drzwi. Gdy tylko włożysz klucz w niewłaściwy zamek, zamienisz się w śliską, różową dżdżownicę, którą rzucę ptakom na pożarcie.

- Gdzie jest ta komnata? - zapytała odważnie księżniczka.

- Tam - odrzekła wiedźma, wskazując dłonią ciemny tunel, na końcu którego połyskiwały w półmroku mosiężne drzwi.

Od tej pory nikt z przyjaciół nie wyrzekł ani słowa. Biała Koniczynka odwróciła się i skierowała w stronę tunelu. Jej buty stuknęły miarowo o kamienną posadzkę. Przyjaciele wciąż słyszeli odgłos kroków, chociaż postać dziewczynki zniknęła im z oczu.

Księżniczka nacisnęła klamkę i mosiężne drzwi ustąpiły. Ostrożnie weszła do Czarnej Komnaty. Zaledwie przekroczyła próg, drzwi zatrzasnęły się za jej plecami i ogarnęła ją zupełna ciemność.

Schówek w kredensie

Jest coraz zimniej. W nocy temperatura spada do -10°C . Na moich szybach mróz maluje fantastyczne obrazy. W pokoju ciepło jest tylko w pobliżu kaflowego pieca, który dziadek codziennie dla mnie rozpala, gdy jestem w szkole, a potem po południu sama podrzucam do niego węgiel, żeby nie wygasł. Zwykle, gdy wracam ze szkoły, zawijam się w koc, siadam przy piecu i czytam coś albo bazgrzę w swoim niebieskim zeszytcie.

Drzwiczki od kredensu denerwują mnie coraz bardziej. Szkoda, że Ben ich nie naprawił, gdy był tutaj ostatnim razem. Ciągłe skrzypią i przyprawiają mnie o nerwicę. Nie zniosę tego dłużej. Może sama mogłabym coś z nimi zrobić. Potrzebuję tylko jakiegoś ostrego narzędzia. Ben powiedział, że deska, która tworzy dno szafki, rozmiękła. Może coś się tam rozlało albo po prostu sama z siebie nasiąknęła wilgocią w tym zimnym i przez całe lata nieogrzewanym pokoju.

Pełna determinacji wstaję z krzesła. Zostawiam na podłodze zrzucony koc i idę do kuchni po nóż. Przy okazji robię sobie herbatę. Nic nie mówię babci o swoich planach,

bo na pewno bałaby się o ten zabytkowy mebel i nie pozwoliłaby mi działać, a ja już mam dość tego skrzywienia. Moja cierpliwość się wyczerpała. Natychmiast muszę coś zrobić z tymi drzwiczkami.

Rzeczywiście, gdy dokładnie się przyglądam, widzę, że deseczka, która tworzy dno szafki, jest nienaturalnie wygięta do góry, jakby coś ją wypchnęło ze zwykłego miejsca. Nie ma innej rady, jak tylko wyjąć ją zupełnie i może trochę przyciąć. Ben to na pewno dla mnie robi, ale teraz chciałabym przynajmniej ją wyjąć, aby drzwiczki przestały wreszcie same się otwierać. Ostrożnie podważam deseczkę i okazuje się, że przy odrobinie wysiłku, można powiedzieć, że całkiem bez większych oporów, listwa unosi się pod ostrzem noża.

Pod nią jest wgłębienie pełne pożółkłych skrawków papieru, a pod nimi jakieś stare listy związane wstążką. Przyglądam się im zaciekawiona. Na kopercie bez trudu odczytuję adres: „Amelia Czerwińska, Bronki Dolne”. Zamieram na chwilę zaszokowana odkryciem. Trzymam w drżących dłoniach te listy, a serce wali mi młotem. Kto też mógł je napisać? Są tylko cztery. Trzy w jasnożółtych kopertach, adresowane do Amelii. Na odwrotnej stronie zamiast adresu tylko imię: Dawid. Jeden list jest w niebieskiej kopercie. Ten ostatni najbardziej przyciąga moją uwagę. Przyglądam mu się uważnie i gdy odczytuję wyblakłe litery, aż przysiadam na krześle z wrażenia. Jest zaadresowany do Dawida Zdunowicza. Koperta nie jest nawet zaklejona. Powoli wyjmuję list i obracam ostrożnie w dłoniach. Na dole widnieje podpis Amelii.

Przez chwilę brakuje mi tchu w piersiach, a ręce jakby drętwieją. Przyglądam się listom i nie mam odwagi czytać. Co się w nich kryje? Czy wreszcie dowiem się całej prawdy? Dlaczego babcia Amelia nie wysłała tego listu? Przecież napisała go, włożyła do koperty, zaadresowała, ale nawet jej nie zakleiła. Nie ma na nim znaczka ani żadnych pieczęci, więc nigdy nie został wysłany. Uważnie i z przejęciem czytam list i nie mogę uwierzyć własnym oczom.

Drogi Dawidzie!

Piszę ten list, aby wyznać Ci szczerze, że zataiłam przed Tobą fakt, że zostałeś ojcem.

Urodziła nam się śliczna córeczka, której dałam na imię Marta. Jest podobna do Ciebie. Ma Twoje granatowe oczy i śliczne kasztanowe loczki. Wygląda jak prawdziwy aniołek i wiem, że zakochasz się w niej od pierwszego wejrzenia. Kiedy wyjeżdżałam, nie powiedziałam Ci, że spodziewam się dziecka. Nie chciałam zabierać Ci młodości. Musisz się jeszcze uczyć i przede wszystkim malować.

Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, że wyjechałam i porzuciłam własne dzieci. Namiętność zaślepiła mnie do tego stopnia, że popełniłam ciężki grzech. Sam byłeś niemal dzieckiem, chciałeś mnie uratować przed tyranią męża. Zachwyciłam się Tobą i zupełnie zubożyłam na potrzeby własnych dzieci. Całą moją jaźń wypełniły myśli tylko o Tobie. Jesteś i na zawsze pozostaniesz moim dobrym duchem.

Wahałam się, czy powiedzieć Ci o Marcie, bałam się

popęłnić kolejny błąd. Ale teraz, kiedy odchodzę, powinieneś wiedzieć, że masz córkę. Zachorowałam i lekarze nie dają mi już wiele czasu. Muszę osierocić to dziecko. To kara za moje grzechy, którą pokornie przyjmuję. Los nie jest dla niej łaskawy, ale wiem, że nikt nie będzie jej kochał bardziej od Ciebie.

Zrozumiałam, że nie mogę pozbawić jej ojcowskiej miłości, którą tylko Ty możesz jej dać.

Nie proszę Cię o wybaczenie, bo na nie nie zasłużyłam, modłę się tylko, aby Bóg mi przebaczył. A teraz żegnaj, ukochany... Amelia.

Trzymam przed oczami ten list i wciąż na nowo przebiegam go wzrokiem. Dlaczego babcia go nie wysłała? Kim jest Dawid? Kim jest mój dziadek? Na kopercie jest adres w Krakowie. Czy on nadal tam mieszka? Czy jeszcze żyje i mieszka w Krakowie? Od tamtych wydarzeń upłynęło już blisko pół wieku.

Padam ciężko na łóżko, przyciskam listy do piersi i wpatruję się w sufit. Leżę tak nieruchoma i bezwładna, jakby wraz z emocjami opadły mnie zupełnie siły, i nie potrafię się poruszyć. Wparuję się wciąż w biały tynk na suficie i cisną mi się do głowy te wszystkie pytania. Czy Dawid kiedykolwiek dowiedział się, że ma córkę? Czy mama знаła prawdę?

Są tu jeszcze trzy listy napisane przez Dawida, ale koperty są zaklejone. Amelia nigdy ich nie przeczytała. Trzymam je z namaszczeniem w dłoniach jak drogocenny

skarbu. Jakby te listy stanowiły brakujący fragment puzzli, którymi nagle stało się moje życie. Może nareszcie będę potrafiła poukładać je w jakąś sensowną całość.

Babcia Amelia spogląda na mnie z obrazu i mam wrażenie, że patrzymy na siebie porozumiewawczo. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Możesz na mnie liczyć, babciu! Jeśli Dawid żyje, odnajdę go.

Dziadek Bena

Droga jest zupełnie zasypana drobnym, miękkim śniegiem, który prószył całą noc. Jest puszysty jak mąka. Nogi zapadają mi się w nim po kolana. Brnę z trudem. Za to Cezar ma prawdziwą frajdę. Skacze przez śnieg wielkimi susami. Wyprzedza mnie, a potem przystaje i ogląda się z wywieszonym językiem, jakby śmiał się do mnie całym pyskiem i zachęcał, abym się pospieszyła.

Zadzwoiłam do Bena wcześniej, że przyjdę, i widzę, że już czeka w uchylonych drzwiach. Uśmiecha się, chociaż usta posiniały mu z zimna, gdyż ubrany jest tylko w cienką podkoszulkę, jakby dopiero wstał z łóżka.

- Wejdz, proszę.
- A Cezar? Jest cały w śniegu.
- Chodź, piesku. To nic takiego. Rozpuści się.

Ben strzepuje z niego śnieg, ale to specjalnie nie pomaga. Całe grudki śniegu przymarzły do jego futerka. Wchodzimy do środka, a za nami wlatuje kłęb zimnej pary.

- Wybraliśmy się na spacer.

- Też bym chętnie położył po tym śniegu. Potem cię odprowadzę, ale teraz trochę się rozgrzej.

Ben idzie do kuchni i robi mi herbatę z cytryną i z cukrem. Ja z Cezarem czekam w jego pokoju. Komputer jest włączony, bo Ben oczywiście grał w jakąś grę. Kiedy przynosi mi herbatę, siada przed komputerem i tłumaczy mi, o co chodzi w tej grze. Przyglądam się tylko, ale gra zaczyna i mnie wciągać. Siedzimy tak może z godzinę i wykrzykujemy coś bez sensu, pochłonięci zabawą. W końcu jednak chcę już ją skończyć.

- Wiesz co, już mi się znudziło.

- Poważnie? Ja mógłbym tak cały czas. Niestety czasem muszę coś zjeść i się przespać, no i jeszcze szkoła na dodatek.

- Jesteś uzależniony?

- Nie, coś ty, to przesada! Lubię sobie pograć, ale jeśli zechcę, mogę to rzucić w każdej chwili.

- Jesteś pewien?

- Oj! Przestań! To, że nie chodzę do szkoły, bierze się z czegoś innego.

- Tak? No to z czego?

- Po prostu nie zależy mi! Nikt mnie nie zmusi, jeśli nie zechcę.

- Lubię, kiedy jesteś w szkole. Emil omija mnie z daleka.

- Ten kmieć?! Niechby spróbował podskoczyć. Wciąż ci dokucza?

- Nie zawsze.

- Posłuchaj, pogadam z nim.

- Nie boję się go, ale wolałabym, żebyś po prostu był w szkole.

- Skoro tak, to mogę chodzić, ale tylko dla ciebie, a z Emilem i tak sobie pogadam.

Siedzę jeszcze kolejną godzinę i przyglądam się, jak Ben gra. Mam ochotę porozmawiać, ale czekam, aż on to zauważy. Ben jest cały pochłonięty grą, szybko przebiega palcami po klawiaturze komputera i jest w stu procentach skoncentrowany na tym, żeby przejść na kolejny poziom.

Jestem trochę rozczarowana, bo przestał mnie zauważać. Nic mu nie mówię, wstaję z krzesła, biorę torebkę i zbieram się do wyjścia. Wtedy dopiero przytomnieje.

- Co się dzieje?

- Pójdę już.

- Ale coś ty! Zostań jeszcze!

W tej właśnie chwili w przedpokoju słychać stukot laski i posuwiste kroki. Oboje z Benem spoglądamy w stronę drzwi. Ktoś nerwowo szarpie klamkę i kiedy drzwi w końcu ustępują, pojawia się w nich postać starego Macieja.

- Tak sobie myślę, z kim to nasz Benek tak przesiaduje.

- Dzień dobry.

- Jak tam dziadek się czuje?

- Mówił, że pana odwiedzi, ale teraz napadało tyle śniegu, że ciężko mu wyjść z domu.

- No i ja już się dalej niż za próg nie wypuszczam. Do wiosny przyjdzie nam czekać, żeby się spotkać.

Maciej stoi na cienkich, pokrącznie rozstawionych nogach i chwieje się lekko, jakby za chwilę miał upaść. Patrzymy na siebie w milczeniu. Maciej potakuje głową i przygląda mi się długo.

- Amelia to twoja babcia? Ben mi wszystko opowiedział.

Maciej kręci z niedowierzaniem głową.

- Przypominają mi się lata, kiedy byłem taki młody jak wy, Amelia tu przychodziła i kiedy na ciebie patrzę, to wydaje mi się, jakby czas się cofnął i ona przyszła, żeby mnie odwiedzić.

- Usiądź sobie, dziadku, bo ciężko ci tak stać.

- Ach, jakie tam towarzystwo ze mnie dla takich młodzików jak wy!

- Dziadku, opowiedz nam coś więcej o Amelii, Ola chętnie by się czegoś dowiedziała o swojej babci.

Maciej spogląda na mnie z niedowierzaniem, ale o nic nie pyta, jakby uznał, że to wszystko już nie ma znaczenia. Kiwa tylko swoją siwą głową i długo się we mnie wpatruje.

- Kiedyś mieliśmy się ku sobie. Na zabawach nie

zatańczyła z innym. Byliśmy bardzo młodzi, ale wydawało się, że nie ma takiej siły, która mogłaby nas rozdzielić. Mieliśmy się pobrać. Jej ojciec trochę narzekał, że nie mam ziemi. Moi rodzice ledwo wiązali koniec z końcem. Ja najmowałem się do prac u bogatych gospodarzy, a miałem opinię pracowitego chłopca. Potem mnie aresztowali. Alek też ze mną siedział i inni. Ich potem puścili, zatrzymali tylko kilku z nas. Pisałem listy, ale nie dochodziły. Nie wiedziałem, że w domu uważają mnie za zmarłego. Po powrocie widziałem ją tylko raz. Dowiedziała się, że wróciłem, i przyszła tutaj. Wzięła ze sobą dziecko. Miała już wtedy syna, była już poślubiona innemu. Wybaczyłem jej, ale sam nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Wyjechałem.

- Spotkało pana tyle nieszczęść.

- Tak, życie mnie doświadczyło, ale w tych najgorszych momentach myślałem o niej, o tych chwilach, które przeżyliśmy razem, i to podnosiło mnie na duchu. Wciąż pamiętam, jak stała na drodze z podniesioną ręką i uśmiechała się do mnie. Taki uśmiech miała tylko dla mnie. Gdy się kogoś pokocha, można odejść, poślubić innego, nawet umrzeć, ale nikt i nic nie odbierze człowiekowi wspomnień.

Stary Maciej dźwiga się z krzesła. Ben podbiega i pomaga mu wstać. Widzę, że jest między nimi głęboka więź. Trochę mu zazdroszczę. Mój dziadek po powrocie ze szpitala stał się jeszcze bardziej zrzędlivy. Wciąż narzeka na Cezara i na to, że hałasuję. Jakbym mu po prostu przeszkadzała. Znów czuje

się tam intruzem. Wiem, że opiekują się mną i nie powinnam narzekać. Babcia zawsze troszczy się, żebym nie była głodna, i dopytuje o mamę, ale robi to jakby z obowiązku, z jakiejś ludzkiej przyzwoitości.

Dziadek Bena poszedł do siebie i na mnie też już czas. Trochę się zasiedziałam, a w domu babcia czeka z obiadem i pewnie się denerwuje.

- Odprowadzę cię. - Ben pamięta o swojej obietnicy.

Cieszę się, bo nie chce mi się jeszcze z nim rozstawać. Cezar skacze z radości, kiedy widzi, że się ubieramy. Za drzwiami od razu daje susa w największą zaspę, a potem okrąża nas kilkakrotnie w swoim zwariowanym tańcu, jak zawsze, gdy jest szczęśliwy. Pewnie cieszy się, że Ben idzie z nami. Czyżby pamiętał, że Ben kiedyś uratował mu życie?

Żegnamy się przed furtką. Ben dotyka delikatnie zimnymi ustami mojego policzka. Potem podnosimy dłonie na pożegnanie, a on odwraca się i odchodzi, brnąc w śniegu. Idę prosto do kuchni na obiad, potem zamykam się w swoim pokoju, otwieram niebieski zeszyt i zaczynam szkicować zimowy krajobraz, który wciąż mam w pamięci.

Telefon od mamy

Przekładam w dłoniach listy i zastanawiam się, czy je otworzyć. Są adresowane do babci Amelii, ale koperty są zaklejone. Nigdy nie były otwierane. Babcia nigdy ich nie przeczytała. Zastanawiam się dlaczego. Na stemplach pocztowych pozacierały się daty i nie wiadomo, kiedy zostały wysłane. Dawid nigdy nie otrzymał na nie odpowiedzi. Co ja mam z nimi zrobić? Dręczy mnie ta niepewność. Muszę porozmawiać z mamą. Wyciągam telefon i dzwonię. Ku mojemu zaskoczeniu od razu odbiera.

- Słucham, kochanie! Co tam?

- Tak dzwonię, co robisz? - Zastanawiam się, jak mam jej o wszystkim powiedzieć. Boję się, że mi po prostu nie uwierzy.

- Myślałam właśnie o tobie, aniołku.

- A ja o tobie, mamo.

- Już niedługo, jeszcze troszkę musisz wytrzymać. Rozmawiałam z ojcem i umówiliśmy się, że wszyscy troje spotkamy się na święta w Krakowie.

- Nie wierzę! To cudownie, tak się cieszę!

- Ja też. Nie mogę się już doczekać, kiedy cię wreszcie przytulę.

- Kocham cię, mamo.

- Ja też cię kocham. Ojciec na pewno jeszcze dzisiaj do ciebie zadzwoni. Mówił, że jeśli chcesz, to możesz wracać już do Krakowa i zamieszkać z nim.

Milczę przez chwilę, bo nie mogę wydobyć z siebie głosu. Nie dowierzam własnym uszom.

Nie spodziewałam się. Straciłam już nadzieję, zwątpiłam, że ich cokolwiek obchodzę.

Ostatnio zachowywali się, jakbym była dla nich tylko balastem.

- Oboje z ojcem za tobą tęsknimy. Tata kupi ci bilety przez Internet i prześle mailem. Tylko je sobie wydrukujesz.

- To wspaniale! Cudownie!

Skaczę pod sufit z radości. To będą najcudowniejsze święta w moim życiu. Tak bardzo, bardzo, bardzo pragnę, abyśmy znowu byli razem, abyśmy znowu byli zwyczajną rodziną, w naszym starym domu. Marzę o takich świętach jak dawniej, kiedy ojciec taszczył z marketu żywą choinkę, która wносиła do domu zapach lasu. Mama uganiała się po sklepach za świeżym karpem i kleiła pierogi z kapustą i grzybami. Cały dom pachniał rybą, suszonymi grzybami i cynamonem.

To cudownie, że ludzie wariują na punkcie świąt. Wykupują świecidełka i robią sobie te zwariowane prezenty, i ulice nagle pustoszeją o szesnastej, gdy rodziny zasiadają do stołów.

Święta są wspaniałe. Gdyby nie święta, moja szalona rodzinka pewnie nigdy nie znalazłaby czasu, aby się spotkać. Teraz, gdy już będziemy razem, nie pozwolę, abyśmy znów się rozstali.

Na łóżku wciąż leżą rozrzucone listy. Znów nie powiedziałam o nich mamie. Jednak najlepiej będzie, gdy wezmę je ze sobą do Krakowa. Przewiążuję je wstążką w taki sposób, jak były związane, gdy je znalazłam, wkładam za okładkę mojego niebieskiego zeszytu i chowam do plecaka.

Zastanawiam się, jak powiedzieć o moim wyjeździe Benowi. Tak naprawdę będzie mi ciężko się z nim rozstać, ale przecież to tylko parę miesięcy. Wpadnę tu w wakacje. A jeśli on zechce, może przyjechać do Krakowa. Co ja mam robić? Nie mogę tu zostać. Chcę jechać do domu, chcę wrócić do swojego normalnego życia. Uświadamiam sobie nagle, że czuję już pewną więź z tutejszymi ludźmi. Lubię Bena, moich dziadków i Zosię. Mam psa. Jeśli chodzi o Cezara, to zabieram go ze sobą. Nie będę o to nawet nikogo pytać. Jest moją własnością. Po tym wszystkim nie mogą mi zabronić mieć psa. Nic im nie powiem, żeby nie wywoływać przedwczesnych dyskusji, tylko postawię ich przed faktem dokonany. Tym razem oni będą musieli coś zaakceptować, czy tego chcą czy nie.

Czekam na telefon od taty. Powinien dzisiaj zadzwonić i powiedzieć mi, kiedy wyjeżdżam. Spoglądam niecierpliwie na ekran komórki, ale nic się nie dzieje. Czasem mam wrażenie, że coś słyszę, coś mi dzwoni w uszach, ale telefon milczy. Został zaledwie tydzień do ferii świątecznych. Moi rodzice jak zwykle zostawiają wszystko na ostatnią chwilę, ale wybaczam im to. Całe szczęście, że jednak wracam, że nie zostanę tutaj. Dobrze, że przyjeżdża wujek z Gdańska, bo dziadkowie też nie będą sami. Nie muszę się o nich martwić.

Wyjmuję z szafy i układam na dnie walizki kilka ciepłych swetrów, gdy nagle paraliżuje mnie skrzypiący dźwięk otwierających się drzwiczek od kredensu. Po plecach przebiega mi zimny dreszcz. Siadam na podłodze z bijącym sercem. Co to ma znaczyć? Przecież wyjęłam listwę, nasmarowałam olejem zawiasy. Wszystko już powinno być w porządku. Ogarnia mnie jakieś dziwne przecucie, że ojciec nie zadzwoni, że znów się czymś wykręci. To, że obiecał mamie, to jeszcze za mało. Dlaczego nie mogę sama kupić tych biletów? Zaczynam wątpić. Z bolesnym skurczem brzucha kładę się na łóżko zwinięta w kłębek. Jak ja sobie z tym wszystkim poradzę?

Zimno tu. Czuję, że zamieniam się w sopel lodu. Wstrząsają mną dreszcze. Wchodzę w ubraniu pod kołdrę i nakrywam się jeszcze kocem. Zapadam w krótki sen. Gdy się budzę, wreszcie jest mi ciepło. Gorąco. Mam rozpalone czoło i nie jestem w stanie wstać z łóżka.

- Olu, dziecino, czy ty się dobrze czujesz?

Babcia odgarnia mi delikatnie włosy z twarzy i kładzie dłoń na moim czole.

- Zaraz ci zaparzę herbatkę lipową z miodem i otworzę słoik malin. Dziadek zbierał je całe lato w lesie. To najlepsze lekarstwo na przeziębienie.

Słyszę, jak babcia powłóczy ciężko nogami, i ogarnia mnie smutek. Co się z nimi stanie? Czy wujek zabierze ich do siebie? Sami nie dadzą sobie rady. Dziadek po operacji jest zupełnie bez sił, a babcia coraz bardziej cierpi z powodu bólu nóg - muszę przekonać rodziców, że oni potrzebują stałej opieki. Czerwińska przychodzi tu czasami, ale to za mało. Czuję świdrujący ból głowy i z trudem unoszę się na poduszce, żeby wypić herbatę. Babcia przynosi mi jeszcze jakieś tabletki i syrop. Połykam wszystko posłusznie, chociaż nie cierpię zapachu leków. Tym razem chcę szybko wyzdrowieć. Muszę jechać do domu.

Zapadam w krótki sen i budzę się nagle pełna niepokoju. Otwieram oczy, rozglądam się po pokoju, leżę bez ruchu jakiś czas i potem znów zasypiam. Czasem babcia siedzi przy mnie, ale najczęściej, gdy się budzę, nie ma tu nikogo.

Ojciec dzwoni dopiero po trzech dniach. Na ekranie wyświetla się jego numer. Długo wsłuchuję się w melodię na komórce. Mam pewne obawy, żeby odebrać. Zupełnie nie wiem, czego mam się spodziewać. Zwątpiłam już, że w ogóle zadzwoni.

- Jesteś tam, skarbie? Wszystko dobrze?

- Tak, u mnie wszystko okay. Dzwoniła mama. Powiedziała mi, że zadzwonisz.

- Mówiła, że kupiłem bilet? Wysłałem ci maila. Sprawdziałaś?

- Jeszcze nie.

- Wejdź na swoją pocztę. W załączniku masz bilet. Niestety z przesiadką, ale czekasz mniej niż godzinę. Wsiądziesz na Centralnym i musisz sprawdzić, z którego peronu odjeżdża pociąg do Krakowa.

- Daj spokój, tato, nie jestem dzieckiem!

- Będę czekał na ciebie na dworcu.

- Tak się cieszę, że nareszcie wracam do domu.

- Stare mieszkanie wynajęliśmy. Mieszkam teraz z Lucyną, ale to uzgodnione. Będziesz miała swój pokój.

- Nie rozumiem.

- Na miejscu wszystko ci wyjaśnię. A w ogóle, to zabierz swoje rzeczy, będziesz mieszkać ze mną. Wrócisz do starej szkoły.

- Naprawdę?!

- Tak, naprawdę.

- A mama?

- Przylatuje w Wigilię. Po świętach wróci jeszcze na jakiś czas do Londynu. Ma teraz dobrą pracę. Porozmawiamy o tym później.

Od kilku dni nie wychodzę z łóżka. Oprócz paru wypraw do łazienki leżę całymi dniami otulona kołdrą i wpatruję się w biały witraż zamarzniętych okien. Babcia leczy mnie ziołami i słodkim sokiem z malin. Dziadek wciąż dorzuca węgla do pieca i dopytuje, czy jest mi ciepło. Troszczą się o mnie, jakby chcieli nadrobić ten czas, kiedy nie mieli dla mnie cierpliwości. W końcu nie zawsze byłam dla nich ciężarem. Pomagałam im i robiłam mnóstwo rzeczy w gospodarstwie. Wiem, że oni potrzebują takiej pomocy, ale mam własne życie, własne ważne sprawy. Przyjechałam tutaj tylko na jakiś czas. Na początku nie chcieli mnie nawet. Ktoś inny im pomoże, może Czerwińscy, a może wyjadą do Gdańska. Chociaż dziadek pewnie nie byłby zachwycony. Nie przesadza się starych drzew.

Bilet

Udało się. Na drukarce w bibliotece szkolnej wydrukowałam bilet. Wyjeżdżam 23 grudnia o szóstej rano. To już za dwa dni. Wciąż jeszcze nie czuję się najlepiej, ale zmusiłam się, żeby wstać i przyjść dzisiaj do szkoły. To ostatni dzień nauki przed feriami. Jutro jest szkolna wigilia i jasełka. Muszę odebrać z sekretariatu zaświadczenie, że chodziłam tutaj do szkoły, i spis moich ocen ze wszystkich przedmiotów. Chciałabym też porozmawiać z Benem. Podziękować mu za wszystko. Tak dużo dla mnie zrobił. Kogoś takiego nigdy wcześniej nie spotkałam.

Pocieszam się tylko, że w wakacje znów się spotkamy i wtedy będziemy wiedzieć, czy naprawdę jesteśmy przyjaciółmi czy po prostu tylko dobrymi kumplami. Widzę, jak Lidka robi do niego słodkie oczy. Może to i lepiej. Lidka potrzebuje kogoś, na kim mogłaby się wesprzeć, a Ben jest wrażliwy i pomocny. To może być idealny związek. Nie jestem już zazdrosna. Kilka miesięcy temu wtargnęłam w ich życie, zaburzyłam ich relacje, sprowokowałam trochę napięć i złości, odrobinę nienawiści, pewnie też krzytynę zazdrości.

Wniosłam swoje problemy i wszystko się skomplikowało. Nie chciałam tu przyjeżdżać i traktowałam tę szkołę jak zło konieczne. Czuję się podle z tego powodu. Zasłużyli na coś więcej. Nękają ich troski większe od moich, mogłam im pomóc, mogłam być dla nich wsparciem, a tylko się na nich użalałam.

- Masz już bilet? - dopytuje Ben.

Nic mu nie mówię, że już tu nie wracam. Nie chcę się jeszcze z nim żegnać.

- Tak, bez problemów udało się wydrukować.

- To świetnie. Moi rodzice mogą cię podrzucić na dworzec. Wczoraj już przyjechali.

- Twoi rodzice przyjechali?! To wspaniale! Musisz być szczęśliwy.

- A ty cieszysz się, że wracasz do domu?

- Jasne. Twoi po świętach wyjeżdżają?

- Muszą jechać do pracy, ale jadę do nich na ferie zimowe.

- Nieźle.

- O której masz pociąg?

- Równie o szóstej. Mam jeszcze przesiadkę w Warszawie.

- To co? Gdzieś około piątej musimy wyjechać. Przez ten śnieg nie da się jechać zbyt szybko.

- Dzięki, Ben. Jestem ci naprawdę wdzięczna. Za

wszystko.

Spoglądam mu w oczy i nagle dostrzegam niepokój. Czy on się domyśla?

- Kiedy wracasz? Wyjedziemy po ciebie.

- Nie wiem jeszcze. Ojciec wysłał mi bilet w jedną stronę.

- Tak?

Ben spogląda na mnie trochę zaskoczony, trochę niepewny siebie, ale nie dopytuje o nic.

Czeka, aż sama mu powiem, ale ja nie potrafię mu tego powiedzieć.

- Będziemy w kontakcie.

- No właśnie! Zadzwoń, gdy będziesz wracać. Wyjadę po ciebie na dworzec, nawet jeśli rodzice już pojedą.

- Dobrze, zadzwonię.

- Będziesz jutro na jasełkach?

- Jasne, że będę.

Uśmiechamy się do siebie i nagle jestem całkiem spokojna i szczęśliwa. Nie martwię się już o to, co będzie. Rodzice Bena odwiozą mnie na dworzec, a tata będzie czekał na mnie w Krakowie. W oczach Bena zobaczyłam coś, co mnie uspokoiło i dodało energii. Wszystko się jeszcze poukłada.

Mała księżniczka cd.

Księżniczka w osłupieniu wpatrywała się w mrok. Powoli jej wzrok przyzwyczajał się do ciemności i wtedy dostrzegła wokół siebie smugi zielonkawego światła, które dobywały się z wielu punktów Czarnej Komnaty. Biała Koniczynka zrozumiała, że jest to światło, które przeziera przez dziurki od klucza wielu drzwi, znajdujących się wzdłuż ciemnego korytarza. Dziewczynka mocniej ścisnęła klucz w dłoni. Podbiegła do pierwszych drzwi, ale zatrzymała się przerażona. Jeśli spróbuje otworzyć niewłaściwe drzwi, nigdy już nie ujrzy ojca. Zawahała się, podeszła do następnych, ale nie różniły się niczym od poprzednich. Biegała tak w kółko, od jednych drzwi do drugich, jak ogarnięta szaleństwem. W rozpaczycy zacisnęła dłonie w pięstki i zakryła nimi powieki.

W chwili, gdy zamknęła oczy, nagle dostrzegła oczami serca postać księcia. Nie miał na sobie zbroi, ale piękną, długą białą szatę zdobioną złotymi nitkami, która jaśniała jak światło w ciemnej komnacie. W blasku bijącym od postaci księcia dostrzegła jego wzrok i dopiero teraz zrozumiała, dlaczego gdy wpatrywała się w przyłbicę hełmu, czuła

niepokój. Gdy tylko spojrzała w oczy księcia, jej serce przeszył piekący ból, który jednak nappełnił ją rozkoszą, jakiej jeszcze nie знаła. Spod zaciśniętych powiek popłynęły dwie strużki łez. Jej twarz zalały łzy szczęścia. Nigdy jeszcze nie doznała takiego uczucia.

- Kocham cię - szeptała przez łzy.

Tak. To była miłość. W oczach księcia dostrzegła miłość. Księżniczka uniosła głowę, aby po raz drugi spojrzeć w te oczy, ale dostrzegła już tylko smugę białego światła, która oddalała się od niej. Podążyła za nią. W tej samej chwili Czarną Komnatę wypełniła muzyka. Ogarniała ją troskliwie i prowadziła po ścieżce, którą wyznaczał promień światła, do właściwych drzwi. Wciąż zaciskając mocno powieki, szła za źródłem muzyki. Lękała się otworzyć oczy, aby wizja nie znikła.

Biała Koniczynka zrozumiała, że książę ją kocha i że to właśnie jego miłość przyprowadziła ją tutaj, do tych drzwi. Wyciągając przed siebie dłonie, poczuła nagle pod palcami chłód metalu. Wyszukała otwór, do którego lekko wsunęła klucz. Przekręcił się, wydając chrapliwy odgłos. Serce Białej Koniczynki zabiło mocno w oczekiwaniu. Popchnęła drzwi, które bez trudu ustąpiły.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że za drzwiami czeka na nią ojciec. Stał w odświętnej szacie i purpurowym płaszczu narzuconym na ramiona. Wyglądał zupełnie tak samo, jak w dniu, w którym opuszczał zamek, prowadząc rycerzy na wyprawę. Podbiegła i zarzuciła mu ręce na szyję, a ojciec

przytulił ją wzruszony. Długo trzymał ją w mocnym uścisku, w którym wyrażał się cały ból i tęsknota wszystkich lat spędzonych w niewoli.

Wokół nich ustawiali się rycerze, którzy wychodzili z morza, otrząsając z siebie kropelki słonej wody, jak gęsi strząsające wodę z piór. Tymczasem z nieba raz po raz spadały ptaki, jakby porażone błyskawicą. Kładły się na ziemi, a po chwili przemieniały się w ludzi, którzy budzili się ze snu. Podnosili się z ziemi, niczego nie pamiętając.

Za plecami księżniczki, tam, gdzie wcześniej stał zamek czarownicy, ziemia zadrżała i w okamgnieniu ogromne mury skruszyły się, jakby zrobione były z pustynnego piasku. Na jego miejscu, jakby spod ziemi, wyłoniła się drewniana chata, z której wyszła zgarbiona staruszka.

Miała siwe włosy zaplecione w cieniutki warkocz i skórę pomarszczoną jak wysuszone zeszłoroczne jabłko. W ręku trzymała koszyk, z którym wybierała się właśnie na łąkę zebrać trochę ziół.

Podeszła do Białej Koniczynki i skłoniła przed nią głowę.

- Dziękuję ci, księżniczko, że uwolniłaś mnie od losu, jaki sama na siebie ściągnęłam, gdy zapragnęłam być wiecznie młoda. Jest moc w kosmosie podobna do bezgwiazdnej nocy, twarda i nieczuła jak diament, która potrafi zawładnąć naszym życiem, gdy tylko zapragniemy jej złudnych darów. Ale jest też moc miłości, która niszczy wszelkie pułapki zła.

Księżniczka w odpowiedzi uśmiechnęła się w taki sposób,

jakby zajaśniało na jej twarzy słońce, i zwróciła się do księcia, który czekał nieopodal. W pełnej zbroi siedział na koniu, gotów do drogi.

- Odjeżdżasz, książę? - zapytała z niepokojem.

- Odnalazłaś ojca i mogę spokojnie zostawić cię pod jego opieką, ale mam do ciebie jedną prośbę... Czy mogłabyś zostać Damą Mego Serca?

- Moje serce należy do ciebie - wyznała szczerze Biała Koniczynka.

- Obiecuję, że niedługo powrócę - odrzekł książę - ale teraz już muszę jechać, gdyż czekają mnie nowe zadania, tam, gdzie wciąż panoszy się zło i cierpią niewinni ludzie.

Zawrócił konia i odjechał klusem. Nad jego głową leciał mały ptaszek, a tuż za koniem wielkimi susami pędził zajaczek.

- Do widzenia, książę, do widzenia, Feliksie, do widzenia, Kicusiu! - krzyknęła za nimi księżniczka.

Zatrzymali się na chwilę. Odwrócili głowy i popatrzyli jeszcze raz w jej stronę, a potem spokojnie oddalili się w stronę błękitnego widnokręgu.

Wreszcie wszyscy mogli już powrócić do domu. Polanę u podnóża góry, gdzie wcześniej wznosił się zamek wiedźmy, teraz porastały pachnące zioła, których woń przywracała zdrowie i spokój każdemu, kto zawędrował w tamte odległe strony.

Podróż

Tata wykupił mi miejsce przy oknie. Zawsze o wszystkim pomyśli. Tak się cieszę, że już za parę godzin go zobaczę. Rzucę mu się na szyję, uściskam, a potem wezmę go za rękę i będziemy tak szli jak kiedyś, gdy miałam kilka lat i byłam jego małą księżniczką. Wzięłam na kolana Czarusia. Gapię się w okno. Przed oczami przelatują mi czarne konary drzew i ośnieżone pola. Gałęzie świerków obsypane są śniegiem. Na leśnej polanie przez moment dostrzegam szarą sarenkę. Wpatruję się w zimowe krajobrazy i staram się zatrzymać je w pamięci. W Krakowie jest cieplej. Nie ma śniegu. Czy będę tęsknić za tym białym puchem? Czy w ogóle będę tęsknić?

Na dworcu Ben wniósł moją walizkę do przedziału. Jego rodzice zostali na peronie. Dostrzegłam fioletowe cienie pod jego oczami. Popatrzył na mnie jakoś żałośnie i pocałował mnie w policzek. Potem przyłgnęliśmy do siebie i staliśmy tak na korytarzu przytuleni, aż ludzie zaczęli się niecierpliwić, bo zatarasowaliśmy przejście. Ben uśmiechał się, ale widziałam łzy w jego oczach. Cieszy mnie to i smuci. Nie wiem, kiedy znów go zobaczę.

Zawsze mogę zadzwonić, ale to nie to samo.

Naprzeciwko mnie siedzi kobieta w średnim wieku. Zasłoniła się książką. Od czasu do czasu podnosi wzrok, spogląda na mnie i na psa. Obok mnie student otworzył laptopa i ogląda film. Przy drzwiach siedzi młode małżeństwo z dzieckiem. Ktoś tam drzemie, ktoś wyjął gazetę i spogląda ponad nią w okno. Nikt nie rozmawia, ale to nawet lepiej.

Podróżni na trasie Warszawa-Kraków są bardziej gadatliwi. Przy drzwiach siedzi dwóch mężczyzn, którzy cały czas dyskutują. Naprzeciwko mnie zajęło miejsce młode małżeństwo z kilkumiesięcznym dzieckiem, to z poprzedniego pociągu, a obok kobieta z dwójką chłopców w szkolnym wieku. Nie mogą usiedzieć spokojnie i ciągle zaczepiają Czarusia. Ciągną go za ogon i uszy. Szczeniakowi wcale to nie przeszkadza. Łasi się do nich i macha przyjaźnie ogonkiem.

- Jedziesz do swojej babci na święta? - mężczyzna pyta jednego z chłopców.

- Nie, do wujka. U niego jest zawsze najfajniej. Dostanę Play Station - wykrzykuje chłopiec.

- Nie wiadomo, co robić... Technika to prawdziwa zhora naszych czasów - zastanawia się głośno matka niemowlaka. - Świat musi iść do przodu.

Tak zaczyna się rozmowa. Podróżni przeskakują z tematu na temat. W końcu wszyscy zwierają się i opowiadają ze szczegółami jakieś historie ze swojego życia.

Nie mogę się już doczekać spotkania z tatą.

Kraków

Pociąg wpada rozpędzony na stację i toczy się jeszcze siłą rozpędu do końca peronu, jakby motorniczy zbyt późno włączył hamulce. Mój wagon przebiega przez całą stację i zatrzymuje się w znacznej odległości od głównych schodów. Mozolę się sama z psem, walizką i plecakiem. Przeciskam się z trudem przez wąski korytarz, gdy nagle przez okno dostrzegam zatroskaną twarz taty. Prawie biegnie wzdłuż torów i zagląda w okna pociągu. Pewnie boi się, żebyśmy się nie minęli. On wciąż myśli, że jestem małym dzieckiem.

Przyznam, że odczuwam ulgę, gdy go widzę, ale jednocześnie głęboki żal za wszystko, co się do tej pory wydarzyło. Szczególnie, że ukrywał przede mną prawdę. Teraz już zupełnie nie wiem, czego mogę się spodziewać. Nawet nie wiem, gdzie spędzę te święta i dokąd teraz mnie ojciec zabierze. Ale dobrze, że jest. Już nie jestem sama. Już nie muszę o wszystkim decydować i troszczyć się o wszystko.

Widzę, jak mnie szuka, ale mu nie pomagam. Nie macham dłonią, nie stukam w szybę, stoję obojętna, chociaż dobrze mi z tą wiedzą, że on za chwilę mnie odnajdzie, weźmie ode

mnie tę ołowianą walizkę i zaprowadzi do domu, gdziekolwiek by to miało być.

- Ola! Oleńka! - ojciec wykrzykuje i podnosi rękę wysoko ponad głowami tłumu, abym go dostrzegła.

Widzę go z daleka, ale czekam, aż podejdzie bliżej. Stawiam walizkę na ziemi i stoję ze zwieszonymi rękami. Potem pozwalam się przytulić i pocałować w oba policzki.

- No chodź, chodź tu do mnie. - Przytula mnie i rozciera plecy kolistymi ruchami. - Jakaś ty blada i wymęczona po tej podróży. Mizernie wyglądasz. Czy ty aby nie jesteś chora?

- Wszystko dobrze, tato, jestem tylko niewyspana. Od piątej jestem na nogach.

- A to co? - Ojciec spogląda na psa zdumionym wzrokiem. Marszczy brwi i patrzy na mnie pytająco. - Skąd wytrzasnęłaś taką hybrydę?

Cezar stoi na swoich krótkich łapkach, zadziera do góry czarny, wilgotny nosek i merda przyjaźnie ogonem. Pochylam się nad nim i głaszczę jego żółte futerko. Pies piszczy radośnie i opiera swoje łapki na moich dżinsach. Zostają na nich dwie szare plamy. Otrzepuję je szybko ręką, ale niewiele to pomaga.

- Nazywa się Cezar. To jeszcze szczeniak.

- Dlaczego nie zostawiłaś go na wsi? Tam miałby więcej swobody.

- Jest mój. Ktoś go wyrzucił, a ja go przygarnęłam.

- No dobrze, chodźmy.

Ojciec bierze walizkę nagłym szarpnięciem i wydaje mi się, że nogi uginają mu się pod jej ciężarem.

- Co ty tam wiesz?

- Nic takiego, tylko książki. A! I babcia dała trochę konfitur.

- Jakżeś ty to sama dała radę przytaszczyć?

- Znajomi mi trochę pomogli.

- Jacy znajomi?

- Różni.

Nie tłumaczę więcej, bo nagle zdaję sobie sprawę, że ojciec wcale nie czeka na odpowiedź. Mówi cokolwiek, aby podtrzymać rozmowę. Jest wyraźnie rozdrażniony. Wyczuwam, że pies nie przypadł mu do gustu, ale nie ma innego wyjścia, jak tylko go zaakceptować. Nie zostawimy go przecież na środku dworca. Zerkam na Cezara i uśmiecham się do niego ukradkiem. Pierwsze koty za płoty.

Wychodzimy z dworca i idziemy przez chwilę w milczeniu. Ojciec przyjechał po mnie samochodem. Otwiera drzwi automatycznym pilotem i pakuje moją walizkę do bagażnika. Zastanawiam się, dokąd teraz pojedziemy, ale wolę nie zadawać pytań. Za chwilę i tak się dowiem. Sadowię się na przednim siedzeniu i biorę Czarusia na kolana.

Ojciec tylko spogląda na mnie surowo, ale nie komentuje. Wkłada klucz do stacyjki i nagle, zamiast uruchomić silnik

i odjechać, opiera dłonie na kierownicy, wpatruje się prosto przed siebie i odzywa się nieswoim, zachrypniętym głosem.

- Chyba lepiej będzie, jeśli przez chwilę porozmawiamy. Chciałbym ci pewne rzeczy wyjaśnić.

Wzdycham głęboko. Patrzę na jego profil i ogarnia mnie niepokój. Przytulam mocno szczeniaka, który ufnie zagląda mi w oczy.

- Twoja matka nie przyjedzie na święta. Właśnie do mnie dzwoniła, żeby ci to przekazać. Spędzisz święta tylko ze mną, no i z ciocią Lucyną i Szymonem. Jak ci już mówiłem, mieszkam teraz z nimi, w mieszkaniu cioci Lucyny i obawiam się, że mogą być pewne problemy z Cezarem, ponieważ ciocia jest uczulona na sierść zwierząt.

Tata powiedział to tak mimochodem i niezupełnie to do mnie dociera. Wydaje mi się, że się przesłyszałam. Jakiś dziwny chłód ogarnia mnie od środka. Siedzę nieruchomo. Zupełnie obojętna na to, co ojciec teraz do mnie mówi o cioci i jej uczuleniu. Nic mnie nie obchodzi jakaś przyszywana ciocia i jej uczulenie. Chcę, żeby była tu mama. Przyjechałam tu tylko po to, żeby być razem z rodzicami, żebyśmy nareszcie znów byli rodziną, ale widzę, że rzeczywistość wygląda całkiem inaczej, niż to sobie wyobrażałam.

- Ta pani nie jest moją ciocią i nigdy nią nie będzie.

- Masz rację, będzie kimś w rodzaju twojej drugiej mamy.

- Nie potrzebuję drugiej mamy!

Nie wiem, co on sobie wyobraża!

- Dlaczego mama nie przyjedzie? - pytam obojętnym głosem, jakby to było naturalne, że może jej nie być z nami na Wigiliu.

- Sama z nią porozmawiasz, zadzwonimy do niej z domu. Mam nadzieję, że zaprzyjaźnicie się z Lucyną. Jej syn jest tylko dwa lata młodszy od ciebie. Mam nadzieję, że znajdziecie wspólny język. Jest bystrym chłopakiem, laureatem konkursów.

- A czy lubi psy?

- Pewnie tak. Wszyscy chłopcy lubią psy.

Mam jednak wątpliwości, czy ktokolwiek ucieszy się, że przyjechałam. Myślałam, że sprawię rodzicom radość, że gdy mnie zobaczą, będą płakać ze szczęścia. Jednak potrafią żyć beze mnie i całkiem nieźle im to wychodzi.

Reszta podróży upływa nam w milczeniu. Jestem coraz bardziej podenerwowana. Nie chcę tam jechać. Wzbiera we mnie niechęć do Lucyny, kimkolwiek by była. Siedzę jednak bez słowa i wpatruję się w znajome domy i ulice, które przemykają mi przed oczami.

Ciocia Lucyna

Drzwi otwiera nam szczupłą, wysoka kobieta. Ojciec przedstawia mnie, zanim zdążę zdjąć kurtkę, a wtedy ona obejmuje mnie swoimi kościstymi rękami, jakby miała do mnie jakieś prawa.

- Witaj, kochanie, miło mi cię poznać.

- Dzień dobry - odpowiadam cicho i przyglądam się jej z niechęcią.

Lucyna trzyma mnie jeszcze przez chwilę w objęciach, co wydaje mi się nieskończoną torturą. Ma twarde, sztuczne paznokcie, które wbijają mi się w ramię. Spogląda na mnie surowo i wydaje mi się nawet, że tak naprawdę chciałyby mnie rozszarpać na strzępy, ale udaje serdeczność, żeby przypodobać się ojcu.

- Jestem trochę zmęczona - mówię w progu, żeby zostawili mnie w spokoju.

Stoję w korytarzu, a oni patrzą na mnie jak na pęknięty chiński wazon i zupełnie nie wiedzą, co ze mną zrobić. Szymon przygląda mi się z wyrazem zniechęcenia na twarzy.

Już wiem, że nie ma najmniejszej ochoty, żebym się do nich wprowadzała. Czy ojciec na pewno wszystko z nimi ustalił?

- Przywitajcie się - zachęca nas Lucyna, ale my wciąż stoimy nieporuszeni, mierząc się wzrokiem. W końcu pierwsza, ze zwykłej kurtuazji, wyciągam rękę na powitanie.

- Aleksandra.

- Szymon.

Szymon ma małą, pulchną dłoń i jest trochę niewyrośnięty jak na szóstoklasistę.

- Jaka to rasa? - Uśmiecha się połową twarzy, kiedy bąkam coś o psie.

Chłopak gładzi psa, gdy Cezar obwąchuje mu spodnie. Nie jestem w stanie ocenić, czy lubi psy czy nie, widzę jednak, że nie jest zachwycony naszą obecnością. Jego matka ściągnęła mu na głowę nowego ojca, a teraz mnie, pewnie nie pytając go o zdanie. Ale to nie moja wina.

- Czy mogłabym się rozpakować?

Wskazuję na walizkę, żeby po prostu przerwać już tę ceremonię powitalną i zamknąć się w swoim pokoju. Ojciec obiecał, że przygotują tutaj dla mnie coś takiego.

Lucyna spogląda nerwowo na ojca w konsternacji, jakby zapomniała, że po prostu muszę mieć dla siebie jakiś kąt.

- Oczywiście, myślę, że zajmiesz naszą sypialnię, a my z tatą przeniesiemy się do salonu.

- To świetne rozwiązanie, będziesz miała swój pokój -

dodaje tata, jakby zapomniał o naszej wcześniejszej rozmowie.

Spogląda niepewnie w stronę Lucyny, to znowu na mnie, w końcu chwyta walizkę i taszczy ją do pokoju na końcu korytarza, sąsiadującego z kuchnią. Lucyna idzie za nim. Otwiera szafę i opróżnia półkę, gdzie mogę rozpakować swoje rzeczy. Szafa od góry do dołu jest zapakowana ubraniami, ręcznikami i butami. Zastanawiam się, po co komu tyle rzeczy, ale nic nie mówię. Chcę już zostać sama i zadzwonić do mamy, ale ta koszmarna kobieta nie odstępuje mnie na krok. W końcu zmusza mnie, żebym szła z nią do kuchni.

Na stole stoją już talerze z kanapkami, sałatki i owoce. Na ogromnej paterze leżą banany, pomarańcze i winogrona.

- Robiliśmy te kanapki razem z Szymkiem, a ta wspaniała sałatka to dzieło twojego taty.

Trochę mnie to dziwi, bo jakoś nie przypominam sobie, żeby tata w domu zdradzał jakiekolwiek zapędy kulinarne. Widocznie ludzie się zmieniają. Nie mam wyjścia. Siadam przy stole, a Lucyna nakłada mi na talerz kanapki z łososiem i pomidorem, posypane drobno posiekanym szczypiorkiem, i porcję zielonej sałatki. Tata musiał jej powiedzieć, że lubię wędzonego łososa, ale teraz spoglądam na to wszystko obojętnie. Straciłam apetyt. Mimo to zjadam małą kanapkę i porcję sałatki i wreszcie pozwalają mi zamknąć się samej w pokoju. Wyciągam telefon i wybieram numer mamy na komórce, ale po krótkim sygnale włącza się automatyczna

informacja: „Abonent nie odpowiada”. Wpatruję się tępo w ekran komórki. Myślami jestem daleko stąd. Próbuję poukładać sobie w głowie, co się właściwie wydarzyło. Tak się cieszyłam na te święta, a wygląda na to, że całkiem niepotrzebnie. W Bronkach przynajmniej mogłam pogadać z Benem. Przypominam sobie, jak przychodziłam czasem do niego, a on robił mi herbatę, gdy byłam zmarznięta, i pytał co chwila, czy już się rozgrzałam. Przypominam sobie wyraz jego twarzy i krople łez w kącikach oczu, które z trudem powstrzymywał, gdy zegnaliśmy się dzisiaj rano na dworcu.

Czuję się potwornie zmęczona, chociaż jest dopiero po dwudziestej. Marzę tylko o tym, żeby się położyć, oczy kleją mi się do snu. Biorę prysznic i przytulam głowę do poduszki. Słyszałam w salonie jakąś kłótnię, gdy byłam pod prysznicem, ale nie mam siły o tym myśleć. Powieki opadają mi ciężko, gdy nagle z błogiego stanu między snem a jawą wytrąca mnie dźwięk telefonu. Na szczęście leży na szafce przy łóżku, więc nie muszę nawet podnosić głowy, żeby odebrać.

- Olu, to ja, mama.
- Cześć, mamó.
- Powiedz, jak dojechałaś. Nie miałaś problemów z przesiadką?
- Nie, jakaś para z mojego przedziału też jechała do Krakowa, więc pomogli mi z walizką.
- To się cieszę. Nastąpiła mała zmiana planów. Tata ci

powiedział? Nie przyjadę, bo muszę zostać na szkoleniu, ale to oznacza, że będę miała lepszą pracę.

- Mogę polecieć do ciebie?

- To niemożliwe, całe święta pracuję. Spędzisz Boże Narodzenie z tatą.

- I z tą, jak jej tam, Lucyną. Pozwalasz, żeby ona rozbiła naszą rodzinę?!

- Olu, skarbie, tata dokonał wyboru. Przemyślałam to, pogodziłam się, ale nie jest to proste. Tutaj łatwiej mi zachować dystans do wszystkiego. Jestem taka zajęta cały dzień, że nie mam czasu o niczym innym myśleć. Tobie też jest ciężko, ale chciałabym, żebyś przynajmniej wróciła do swojej szkoły. Tutaj mogę na nią zarobić. Widzisz, tata nie pracuje. Nie można na niego liczyć.

- Poza tym pije.

- Być może, ale nie jest alkoholikiem.

- Słyszałam, jak ta Lucyna krzyczała na niego, że za dużo pije.

- Naprawdę krzyczała na niego?

- Słyszałam, jak się kłócili, gdy byłam w łazience. Chyba nie wiedzieli, że wszystko słyszę.

- Nie myśl już o tym, potem się zastanowimy co dalej, a teraz już się połóż, kochanie, bo na pewno jesteś zmęczona.

Święta

Otwieram oczy i wpatruję się w szarozieloną tapetę. Nie mam ochoty nawet się poruszyć. Za oknem zimny, grudniowy świt. Pod kołdrą jest mi ciepło i przytulnie. Wciąż myślę o tym, co usłyszałam wczoraj od mamy. Żałuję, że nie mogę do niej pojechać.

Cezar wskoczył na łóżko i śpi zwinięty w kłębuszek. Czuję jego ciężar przez kołdrę. Jak zwykle położył się obok i oparł się o mnie całym ciałem.

Nasłuchuję dźwięków, które dobiegają zza ściany. Słyszę płacz dziecka, ale musi to być dziecko sąsiadów. Już całkiem rozbudzona siadam na łóżku i zastanawiam się, co ja tutaj robię. Dzisiaj jest Wigilia. Kiedyś to był dla mnie magiczny czas. Gdy byłam małą dziewczynką, wierzyłam w Świętego Mikołaja. Nawet gdy już wszystkie dzieci przestały w niego wierzyć, ja wciąż wiedziałam, że mogę go prosić o jakieś ważne rzeczy. W tym roku wbrew temu, co wszyscy myślą, chcę go o coś bardzo poprosić. To jest sprawa tylko pomiędzy mną i Świętym. Nie chcę żadnych prezentów pod choinkę. Chcę go prosić tylko o jedną rzecz – o to, żebyśmy

jeszcze raz na powrót stali się normalną rodziną, aby mama wróciła do kraju, a ojciec wrócił do niej i żebyśmy wszyscy wrócili do naszego starego domu. Wiem, że jest to zawracanie Wisły kijem. Jest to zupełnie niemożliwe, ale właśnie dlatego proszę o to Świętego Mikołaja.

Santa Claus, Arctic Circle, Lapland, Finland

Święty Mikołaju! Przywróć mi moją rodzinę i mój dom, spraw, abym następne święta spędziła z mamą i tatą w naszym własnym domu.

Aleksandra Gajewska

Być może ten list jest dziecinny i śmieszny, ale napełnia mnie optymizmem. Wstaję i ubieram się energicznie. Kiedy wyjdę z psem na spacer, wrzucę go do skrzynki pocztowej. Najlepiej będzie, jeśli zaraz pojedę na Poczta Główną do centrum. Cichutko, aby nikogo nie obudzić, wymykam się z domu. Dzień jest dziś mroźny i dygoczę z zimna. Źle spałam i nie zjadłam śniadania, co sprawia, że marznę do szpiku kości. Długo czekam na tramwaj, a kiedy wreszcie podjeżdża, głośno stukając o szyny, wraz z psem wskakujemy do środka. Wysiadamy w pobliżu poczty, kupuję znaczek, wrzucam list do skrzynki i idziemy w stronę Rynku Głównego. Cezar wyrywa mi się na smyczy, bo nie całkiem jest do niej przyzwyczajony. Pozwalam mu biec i sama gonię za nim w podskokach. Rozglądam się wokół z zachwytem. Ogromna choinka migocze światełkami, a oszronione drzewa wyglądają jak kwitnące wiśnie. Mickiewicz uśmiecha się do mnie z pomnika. Handlarki już od rana sprzedają

obwarzanki. Są także moje ulubione – z makiem. Cezarowi też smakują. Wchodzę do kawiarni i zamawiam herbatę z cytryną. Ogrzewam sobie dłonie gorącą filiżanką.

Kelnerka spogląda na psa, który wdrapał mi się na kolana, ale tylko się uśmiecha.

Zastanawiam się, czy zadzwonić do Julki. Tak bardzo tęskniłam za nią, gdy byłam na wsi, a teraz obawiam się spotkania. Przeraza mnie wygląd mojej twarzy. Wyobrażam sobie, jak na mnie popatrzy. W jej życiu wszystko jest takie nieskazitelne, poukładane. Regularne wizyty u kosmetyczki i fryzjera, modne ciuchy. Wiem, bo sama jeszcze niedawno miałam to wszystko.

Wiem, jak się wtedy patrzy na takie zaniedbane dziewczyny. Mam na sobie stare džinsy, zeszłoroczną kurtkę i czapkę, którą rok temu razem kupiliśmy w Sukiennicach, o której ona z pewnością już zapomniała.

Jeszcze kilka miesięcy temu była moją najlepszą przyjaciółką, ale czy teraz byłaby w stanie mnie zrozumieć? Wzdrygam się na samą myśl o jej roztrzepotanym świergotaniu. Miłych słówkach, między którymi nie znajdę chwili ciszy, aby powiedzieć jej o swoich kłopotach i zmartwieniach.

W końcu wysyłam jej wiadomość na komórkę, że wróciłam. Prawie natychmiast dostaję odpowiedź: „Jestem w Zakopanem. Wracam po sylwestrze. Bartek z rodzicami też tu jest. Do zobaczenia wkrótce. Pozdrawiam cieplutko”. Przyłapuję się na tym, że od jakiegoś czasu zaczęłam

obgryzać paznokcie. Kelnerka przygląda mi się badawczo, więc zostawiam na talerzyku pieniądze i wychodzę. Na zewnątrz jest zbyt zimno na długie spacerowanie. Czarus spogląda na mnie pytająco. Nie mogę go dłużej torturować, łapię tramwaj i wracamy. Lucyna kicha głośno, gdy tylko przekraczamy próg domu. Nie wiem, czy jest to spowodowane chłodem, jaki przyniosłam na ubraniu, czy też jest to reakcja na futerko Czarusia.

- Właśnie siadamy do śniadania. Czekamy jeszcze na tatę, który skoczył po bułeczki - wita nas Lucyna, wyraźnie zadowolona z nowej roli, jaką odgrywa dla mnie.

Wściekam się na samą myśl, że tak zwyczajnie przywłaszczyła sobie mojego tatę, a jeszcze bardziej, że on je jej z ręki. Wieszam kurtkę w korytarzu i bez słowa idę do siebie. Przez drzwi słyszę, że ojciec już wrócił i że ona go wysyła, aby zawołał mnie na śniadanie. Nie musi mnie długo namawiać. Kiedy dostrzegam ciemne zakola pod jego oczami i jakby obrzękniętą, bladą twarz, robi mi się go żal i posłusznie robię, o co prosi.

Po śniadaniu długo przesiaduję w swoim pokoju. Nikt mi nie przeszkadza, nie chcą ode mnie niczego. Słyszę za ścianą stukanie naczyń i ściszone głosy. Brakuje mi tego radosnego zamętu przed Wigilią, kiedy od rana wszyscy biegali w kółko jak na karuzeli, żeby wieczorem wszystko było dopięte na ostatni guzik. Ubieraliśmy choinkę z tatą, potem on odkurzał, a ja pomagałam mamie z gotowaniem. Dbaliśmy o to, aby koniecznie było dwanaście potraw. Robiłam ciasta, kręciłam

mak i ucierałam żółtka, gdy mama gotowała kapustę z grzybami i smażyła filety z karpia. Mam nadzieję, że Lucyna postawi na stole pusty talerzyk. Ta kobieta jest pewnie zadowolona, że siedzimy tu z Cezarem i nie płaczemy się jej pod nogami. Wyjmuję niebieski zeszyt i coś tam gryzmołę.

Wigilia

- Jak tam, Olu? Wszystko dobrze?

Ojciec uchyla drzwi i sprawdza, co robię. Kiedy na mnie patrzy, widzę w jego oczach, że dręczą go wyrzuty sumienia. Czy on naprawdę jest szczęśliwy, wysłuchując poleceń Lucyny? Pamiętam, że mama często popadała w dziwne nastroje, melancholię, z której nic nie potrafiło jej wyrwać, ale wszyscy mogli robić w domu, co chcieli. Wiedzieliśmy, że to jest nasz dom. Byliśmy u siebie. Teraz czuję, że jestem uciążliwym gościem, a ojciec jest chłopcem na posyłki. Wciąż tylko słyszę: „czy mógłbyś, kochanie...; czy byłbyś tak uprzejmy, kochanie...; czy mogę cię prosić, kochanie...”. Czy on nie widzi, że ona się nim po prostu wysługuje? Właśnie słyszę, jak Szymon skarży się matce, że nie ma coli. Wiem, dlaczego ojciec jej nie kupił. Zawsze wołałam wodę albo soki. Uczyli mnie od dziecka, że to zdrowsze.

- Kochanie, czy mógłbyś skoczyć po colę? Szymuś nie może bez tego żyć, a na dworze taki mróz...

Spoglądam na ojca i widzę, że wzbiera w nim złość, ale

bez słowa zakłada buty. Już dziesięć razy wychodził dzisiaj do sklepu. Szymon siedzi tylko w swoim pokoju przy komputerze i wciąż się czegoś domaga. Wcześniej miał ochotę na jogurt, a teraz wymyślił coca-colę, żeby tylko gnębić mojego ojca.

Zapada wczesny zmierzch. Jest mroźny dzień i niebo jest przezroczyste. Widać już pierwszą gwiazdkę. W rogu salonu stoi sztuczna choinka. Wygląda nawet ładnie. Jest bogato i gustownie przystrojona ręcznie malowanymi i obsypanymi brokatem bombkami i mnóstwem świecidełek. Brakuje mi jednak żywej choinki, jaką zwykle przynosił ojciec, naturalnej i świeżej. Pamiętam lampki w kształcie ulicznych latarni, które zawieszaliśmy na drzewku, od lat te same. Przypominały mi dzieciństwo i wszystkie szczęśliwe chwile, jakie wspólnie przeżyliśmy. Smutno mi bez tamtych przykopconych latarenek, w których mieszkały duszki szczęśliwych świąt.

Na środku pokoju stoi stół przygotowany do Wigilii. Na białym obrusie leży wianuszek upleciony z posrebrzanych gałązek, a w środku srebrna świeca otoczona szyszkami.

Dostrzegam, że stoją tylko cztery nakrycia.

- U nas w domu był taki zwyczaj, że stawialiśmy jedno nakrycie dla niespodziewanego gościa - przypominam Lucynie.

- O tak, prawda. Postawmy jeszcze jeden talerzyk.

Spogląda na mnie chłodno przenikliwym wzrokiem.

Dobrze wie, o kim ten talerzyk będzie mi przypominał. Dodaje jednak w pośpiechu jeszcze jedno nakrycie. Pomagam poustawiać wszystkie dania i napoje na stole, ale robię to bez entuzjazmu, z grzeczności, żeby nie psuć świątecznej atmosfery, chociaż sama wcale jej nie czuję. Myślę tylko o tym, żeby wszystko skończyło się jak najszybciej.

Ojciec założył krawat i białą koszulę. Ubrał się jak do ślubu. Nigdy nie nosił krawatów, chyba że miał jakieś ważne spotkanie w pracy. W domu wolał ubierać się swobodniej, nawet na święta nie zakładał krawatu, nie mówiąc już o białej koszuli. Wydaje mi się, że dla Lucyny przeistoczył się w zupełnie innego człowieka. Jestem tym zawiedziona. Dla mamy by tego nie zrobił.

Siadamy w końcu do stołu i zgodnie z tradycją dzielimy się opłatkiem i próbujemy wigilijnych potraw. Część z nich Lucyna zamówiła w restauracji. Nawet pasują do mojego nastroju, bo wcale nie czuję się, jakbym była w domu, ale właśnie gdzieś w hotelu. Jediną pociechą jest to, że tata jest tutaj. Od czasu do czasu spogląda na mnie i uśmiecha się. Widzę, że bardzo go cieszy moja obecność. Za to Lucyna ma mnie serdecznie dosyć.

Jej skóra zareagowała gwałtownie na Cezara. Pod oczami pojawiły się czerwone plamy, które próbowała zamaskować pudem, ale to tylko pogorszyło sprawę. Jej oczy są opuchnięte i czerwone. Na dodatek kicha co chwila. Musiałam nawet zamknąć psa w swoim pokoju, biedaczek

teraz piszczy i drapie drzwi sypialni. Szymon wciąż prosi o jakieś dania, które stoją blisko ojca i on musi mu je podawać. Widzę, że trochę zaczęło go to już wszystko irytować. Z trudem powstrzymuje się, aby nie wybuchnąć przy świątecznym stole. Widocznie Szymon nie cierpi mego taty i to chyba z wzajemnością. Zupełnie się nie dogadują.

Widzę, że Lucyna stara się, abyśmy odczuli, że są święta. Pewnie wyobrażała sobie, że zaprzyjaźnię się z Szymonem i że tata się z nim skumpluje, ale Szymon ma charakterek. Nawet nie próbuje udawać. Jesteśmy dla niego intruzami w jego domu i ma w tym trochę racji. Nie złość się nawet na niego, a w duchu jestem mu nawet trochę wdzięczna. Miejsce ojca jest przy mamie. Ona go potrzebuje. Nie tak wyobrażam sobie małżeństwo. Gdy na ślubie ludzie składają sobie przysięgę, to chyba coś oznacza. Mój ojciec jednak zdezerterował, gdy okazało się, że mama cierpi na depresję, z którą nie potrafi sobie poradzić. Uciekł od jej złych nastrojów i wiecznych narzekań. Chciał być szczęśliwy i pewnie myślał, że Lucyna da mu wszystko, czego brakowało mu w małżeństwie z mamą, ale z tego, co widzę, mocno się przeliczył.

Jedynym radosnym momentem tego wieczoru jest rozpakowanie prezentów. Dostałam robiony na drutach beret z czarnej włóczki ze srebrnym wężykiem dookoła, a do tego szalik i rękawiczki do kompletu. Tata uśmiecha się tajemniczo. Rozumiem, że to od niego. Bał się, że marznę w mojej starej, ażurowej czapce, i zatroszczył się o cieplejszą. Naprawdę mi się podoba.

- Dziękuję - mówię i uśmiecham się do niego z wdzięcznością.

Dostałam jeszcze kilka drobiazgów. Komplet miękkich ołówków, olejne pastele do rysowania, chyba ze trzydzieści kolorów, i angielskie wieczne pióro.

Szymon dostał iPoda i dwie gry komputerowe, które szczerze go ucieszyły. Od razu rozpakował pudełko z iPodem i zaczął czytać instrukcję. Mam wrażenie, że czekał na ten prezent. Lucyna z tatą też zrobili sobie jakieś drobne prezenty w postaci perfum i wody kolońskiej. Ode mnie tata otrzymał skórzany portfel, a Lucyna ozdobne, lniane serwetki, które kupiłam wczoraj w Sukiennicach.

Siedzimy jeszcze długo w półmroku świecy i światełek choinkowych, śpiewamy kolędy. Dopiero teraz czuję, że przyszły święta. Jestem spokojna. Cezar musiał zasnąć w moim pokoju, bo nie dochodzą już do nas żadne odgłosy z tamtej strony. Szymon poszedł do siebie wypróbować nowe gry. Siedzę na kanapie blisko taty i wpatruję się w płomień świecy. Tylko ja i tata śpiewamy - jak to zawsze robiliśmy w domu po wigilii. Przysuwam się blisko, a on obejmuje mnie ramieniem i przytula. Lucyna siedzi sztywno na krześle i nie dołącza się do śpiewu. Sądzę, że wreszcie do niej dotarło, że nie może go mieć na własność.

Późnym wieczorem, gdy kładę się spać, pod poduszką znajduję dużą czerwoną kopertę, na której ktoś narysował serce, a w nim dwa słowa: Dla Oli. Poznaję pismo taty. Długo trzymam ten list w dłoniach i zastanawiam się, co zawiera.

W końcu ostrożnie otwieram kopertę i zaglądam do środka. Ku mojemu zdziwieniu znajduję list od mamy i pieniądze.

Kochana Oleńko!

Życzę ci Wesołych Świąt. Chociaż nie możemy być wszyscy razem, życzę Ci, abyś była radosna, abyś cieszyła się obecnością taty, aby te święta były dla Ciebie niezapomniane i wyjątkowe.

Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa z tatą. Cokolwiek by się wydarzyło, pamiętaj, że oboje bardzo Cię kochamy. Wszystkim nam jest trudno, ale musimy się starać, żeby nie stracić tego, co nam jeszcze pozostało. Wiem, że nie zasłużyłaś sobie na to, co cię spotkało. Wierzę, że uda nam się przejść przez tę burzę w naszej rodzinie obronną ręką.

Może jestem daleko, ale myślę o Tobie i kocham Cię tak samo jak zawsze i nic się nie zmieniło. To wszystko minie. Ten koszmar musi się skończyć i znów będziemy razem. Wszystko już będzie inaczej, ale to wcale nie znaczy, że gorzej. Musimy tylko mieć nadzieję i mocno, mocno ufać.

Wysłałam Ci trochę pieniędzy. Zapłać za szkołę i kup za nie to, czego potrzebujesz. Pamiętaj, że bardzo, bardzo cię kocham.

Niech Cię Bóg ma w swojej opiece, córeczko!

Twoja kochająca mama.

Przed snem sprawdzam jeszcze wiadomości na komórce. Dostałam kilka SMS-ów z życzeniami. Od Julki, Zosi i Bena. Długo wpatruję się w wiadomość od Bena, jakbym nie mogła

od razu pojąć, o co chodzi. W pierwszej chwili wydaje mi się, że to pomyłka: „wczoraj zmarł moj dziadek po pogrzebie wyjeżdżam z rodzicami do szwecji wesołych swiat. Ben”.

Wysyłam SMS-y z życzeniami i wyrazy współczucia dla Bena.

Alergia

Od kilku dni Lucyna kicha i nie rozstaje się z chusteczkami do nosa. Ma ostry atak alergii. Czuje się jednak tak źle, że tata zabiera ją do lekarza. Zastanawiam się przez moment, czy aby nie jest to próba zmanipulowania ojca. Trudno mi uwierzyć, aby jeden mały szczeniak mógł spowodować tak gwałtowną reakcję. Mam wrażenie, że ona jest bardziej uczulona na mnie niż na psa.

Nie ma ich już pół dnia. Tymczasem wyprowadziłam psa i siedzę przed telewizorem, jednocześnie podjadam jakieś smakołyki, które zostały po świętach. Wydaje mi się, że jestem już gruba jak balon. Wszystkie ubrania są już na mnie ciasne, ale nie mogę powstrzymać się od jedzenia. Jem szybko i zachłannie, potem boli mnie brzuch i leżę skręcona z bólu. Szymon, nie licząc kilku wycieczek do lodówki oraz toalety, siedzi w swoim pokoju i nawet nie muszę się domyślać, co tam robi. Słyszę przez ścianę, jak uderza w klawiaturę komputera. Znudziła mnie telewizja i nie chce mi się samej siedzieć w pokoju, więc zabieram Cezara i wychodzę. Ubieram nową czapkę, okręcam szyję szalikiem

i wkładam ciepłe rękawice. Włóczę się ulicami Krakowa, przechadzam się po parku. Przechodzę nawet przed naszym starym blokiem, ale nie zachodzę do domu. Mieszkają tam teraz inni lokatorzy.

- Same z tobą kłopoty - mówię z udawanym wyrzutem do psa. - Ale i tak cię kocham.

Cezar w odpowiedzi merda ogonem, podskakuje i stara się polizać mnie po twarzy. Ulice wokół domu są martwe, rzadko przejedzie jakiś samochód, więc spuszczam go ze smyczy i pozwalam mu biegać swobodnie. Jest przyzwyczajony do wolności, więc gdy tylko dostrzega, że odpięłam smycz, daje susa przed siebie i zatacza wokół kręgi.

Wracam, gdy zapada już zmierzch. Wszyscy siedzą w salonie. Słyszę, że oglądają telewizję, ale nikt nie wychodzi, żeby mnie przywitać. Może nie usłyszeli, że weszłam.

- Można dać ogłoszenie do gazety - słyszę wyraźny głos Lucyny. - To całkiem miły szczeniak. Na pewno ktoś się znajdzie.

- W ostateczności jest jeszcze schronisko - dopowiada Szymon.

- Nie sądzę, żeby Ola łatwo się na to zgodziła - powątpiewa tata.

- Nie, no oczywiście, że nie. Nie możemy jej w to wtajemniczać. Po prostu powiesz, że uciekł ci na spacerze.

Jeśli się nie da inaczej...

Czuję, jak po skórze przebiegają mi dreszcze. Może się przesłyszałam, a może komentują film, który dość głośno rozbrzmiewa różnymi hałasami. Nie chcę tam wchodzić i im przeszkadzać, ale obawiam się tego, co lekarz powiedział Lucynie. Boję się, że może to być wyrok na Cezara. Ogarnia mnie niepokój, przeczuwam, że coś wisi w powietrzu.

Bezszelestnie przemykam się do swojego pokoju i cichutko zamykam za sobą drzwi. Jestem głodna, ale nie mam ochoty iść do kuchni.

Biorę Czarusia na kolana, przytulam go mocno i zastanawiam się, co mam teraz zrobić.

- Oni coś tam knują przeciwko nam - szepczę Cezarowi do ucha. - Lucyna chce się ciebie pozbyć, a mam wrażenie, że gdy ona coś postanowi, zrobi to.

Szczeniak patrzy mi prosto w oczy i próbuje polizać mnie po twarzy. Jest mi przykro, że nie obchodzi ich to, co czuję. Cezar jest moim przyjacielem. Zawsze jest przy mnie. Wie, kiedy mi smutno, a kiedy jestem wesoła. Był ze mną w najgorszych chwilach, gdy czułam się tak strasznie samotna, że nie chciało mi się żyć. Nawet teraz, gdy oni są razem, on jest ze mną. Nie będę czekać, aż mi go zabiorą i komuś oddadzą, bo przeszkadza Lucynie. Bez Cezara nie chcę tu być. Nic nie jest teraz dla mnie ważniejsze, nie zależy mi na szkole, ani nawet na tym, żeby być z tatą. Ona chce, żebym dostosowała się do ich świata, aby tylko im było wygodnie. Myślę, że pies jest tylko pretekstem, tak

naprawdę ona mnie tutaj nie chce. Woli, żeby ojciec zapomniał, że ma córkę. Czuję się jak zbędny mebel w domu po remoncie, gdzie stare krzesło całkiem nie pasuje do nowego stołu.

*

Nagle przypominam sobie o Dawidzie. Szperam w swoim plecaku i wyciągam listy z za okładki niebieskiego zeszytu. Jeszcze raz odczytuję uważnie adres. Ulica Wyspiańskiego siedemnaście, a może dwadzieścia siedem. Pismo jest niewyraźne, a tusz wyblakły i wytarty. To jakiś podwójny numer. Jeśli będzie trzeba, sprawdzę je wszystkie. Tam mieszka ktoś, kogo kochała moja babcia. Dla kogo całkiem straciła głowę, zostawiła wszystko i pojechała za nim w świat. Zastanawiam się, jaka to siła sprawia, że kobieta jest w stanie zostawić własne dzieci i odjechać na drugi koniec świata? Jaka namiętność może człowieka tak oślepić? Czy to jest właśnie miłość? Namiętność, dla której człowiek porzuca wszystko, co ma? Jakie uczucia porywają do takiego szaleństwa? Ludzie nazywają to miłością? Czym jest prawdziwa miłość? Tak bardzo bym chciała wiedzieć... Wciąż zadaję sobie to pytanie, ale nie jestem w stanie zrozumieć. Wiem tylko, że miłość boli. Odczuwam fizyczny ból, gdy pomyślę o Benie i mokrych kropelkach w kącikach jego oczu, gdy zegnał mnie na dworcu. Aby je otrzeć, popędziłabym na drugi koniec świata, ale moje serce jest rozdarte. Moi rodzice sprawiają mi ogromny ból, chociaż mówią, że mnie kochają.

Poszukiwanie Dawida

Najłatwiej wychodzi się z domu wcześniej rano. Wszyscy śpią. Biorę psa na smycz i wychodzę. Obmyśliłam już sobie, jak dojadę na ulicę Wyspiańskiego. Nagle wydaje mi się to niesamowite, że mama mieszkała tutaj przez tyle lat obok własnego ojca, może mijala go na ulicy i nie domyślała się nawet, że jest to ktoś bliski.

Z drugiej strony ogarniają mnie wątpliwości. Zdunowicz nawet nie wie, że ma córkę. To będzie dla niego szok, gdy się dowie. Nigdy jej nie widział i mama jest dla niego zupełnie obcą osobą. Sama nie wiem, czy to ma sens, abym tam jechała i zawracała mu głowę. Niczego już nie jestem pewna, nie wiem nawet, czy go odnajdę i czy on chce być odnaleziony. Muszę to jednak zrobić dla Amelii. Mam przeczucie, że ona by tego pragnęła.

Napisała list do Dawida, więc chciała, aby poznał prawdę.

Pełna wahań i wątpliwości wybieram się z wizytą. Zabieram ze sobą szczeniaka, ubieram się ciepło i wychodzę. Podjeżdżam autobusem na Stare Miasto, a potem pieszo

dochodzę do ulicy Wyspiańskiego. Mijają mnie jacyś przechodnie. Zastanawiam się, czy wśród nich znajduje się mój dziadek. Jestem podekscytowana. Co mu powiem, jeśli stanie w drzwiach?

Nie wiem. Nie mam żadnego planu.

Skostniała z zimna, pukam do drzwi pod numer siedemnaście. Po dłuższej chwili w drzwiach staje dziewczyna w moim wieku.

- Czy zastałam Dawida Zdunowicza?
- Przepraszam? Kogo?
- Zdunowicza Dawida.
- Nie. To pomyłka. Tu nikt taki nie mieszka.
- A może wynajmował tu mieszkanie?
- Mamo! Czy Zdunowicz wynajmował u nas mieszkanie?
- Nikt u nas nie wynajmował.

Dziewczyna patrzy na mnie przepaszająco i zamyka mi drzwi przed nosem. W takim razie musiałam się pomylić. To musi być dwadzieścia siedem, część numeru po prostu się wytarła.

Po drugiej stronie ulicy odczytuję numer domu. Stoję pod drzwiami i ogarnia mnie panika.

Najchętniej bym stąd uciekła. To zupełnie nie ma sensu. Tylko niepotrzebnie niepokoję ludzi.

Mam ochotę zawrócić, ale jakiś wewnętrzny głos zmusza

mnie, bym nie rezygnowała.

Dzwonię do kolejnych drzwi, chociaż serce trzepocze mi w piersiach. To musi być tutaj. Słyszę jakiś hałas w środku. Ktoś przekręca klucz w zamku i drzwi się otwierają. Staje w nich starszy pan z siwą brodą. Przyglądam mu się uważnie, zanim zdołam wykrztusić pytanie.

- Czy pan Dawid Zdunowicz?

- Kto taki? Nie rozumiem.

- Szukam Dawida Zdunowicza. Czy mieszka tu Dawid Zdunowicz?

- Nie, nikt tu taki nie mieszka, ale dlaczego właśnie tutaj go szukasz?

- Mieszkał tu kiedyś.

- Dziwne. Tutaj? Wejdz na chwilę, bo zimno tak w drzwiach. Ładny piesek. Może napijesz się herbaty?

Przekraczam próg, a starszy pan zamyka za mną drzwi. Przyglądam mu się uważnie. Ma siwą bródkę i gęste, nastroszone brwi, całkiem białe ze starości. Z salonu wygląda kobieta w średnim wieku.

- Kto to? - pyta, obrzucając mnie zdziwionym spojrzeniem.

- Dziewczynka szuka niejakiego Zdunowicza. Mówi, że mieszkał tutaj.

- Tak, mieszkał tutaj. Był malarzem - wyjaśniam.

Niewiele to pomaga. Mężczyzna patrzy na mnie, unosząc brwi, i wzrusza ramionami.

- Kiedyś wynajmowali u nas górę studenci, ale to było dawno temu - przyznaje starzec. - Żona się nimi zajmowała. Ja nic nie wiem. Żona już niestety nie żyje od wielu lat. Nie potrafię ci nic powiedzieć o tym panu.

Nie chcę herbaty i zbieram się do wyjścia. Z grzeczności nie wypytują mnie o nic. Byłam prawie pewna, że to dziadek. Szkoda. Ci ludzie są tacy mili. Odchodząc, potykam się o chodnik i z trudem utrzymuję równowagę. Kobieta patrzy na mnie ze współczuciem i uprzejmie odprowadza do drzwi. Staruszek uśmiecha się do mnie z głębi korytarza. Z ciężkim sercem oglądam się za siebie. Dom ogrodzony jest solidnym, żeliwnym płotem. Przy bramie rośnie stary, wysoki świerk, który prawie przesłonił okno na poddaszu. Musiał rosnąć tutaj już wtedy, kiedy pokój na górze wynajmował dziadek. Być może babcia Amelia mieszkała tu razem z nim. Teraz cały świerk obwieszony jest kolorowymi żarówkami. Wpatruję się w migoczące światła i wydaje mi się, że w oknie widzę twarz Świętego Mikołaja.

Gdy wracam do domu, tata jest zniecierpliwiony, bo znów włączyłam się nie wiadomo gdzie, a oni zaplanowali, że wyjdziemy razem na spacer do parku. Chcieli mi zrobić miłą niespodziankę, ale teraz, gdy wróciłam zmarznięta, muszę zostać w domu, a oni pójdą sami beze mnie. Moja wina. Jeśli tak lubię samotne spacerowanie, to proszę bardzo, nikt mi nie zabroni. Mogę sobie zrobić kanapki i pooglądać telewizję.

Idę do swego pokoju, kładę się na łóżko i zasypiam. Wstałam wcześniej i teraz ogarnia mnie znużenie. Budzę się późno. Słyszę, że w salonie jest włączony telewizor. Pies piszczy i domaga się spaceru. Wychodzę na krótki obchód wokół bloku i szybko wracam. Oni oglądają telewizję. Drzwi są zamknięte.

Nie odnalazłam Dawida. Chce mi się wycić, ale postanowiłam, że nie ma sensu się mazgaić. Muszę ratować Cezara. Jutro rano, gdy wszyscy będą jeszcze spać, wyjdę jak zwykle, gdy zabieram psa na spacer. Gdy się zorientują, że coś się stało, będę już daleko stąd. Chciałabym zostać z tatą, ale on już zdecydował, kto jest dla niego najważniejszy.

Mimo wszystko dziś wieczorem chcę być jeszcze z ojcem. Zbieram się na odwagę i idę do salonu. Siadam cicho na brzegu kanapy i razem z nimi zaczynam oglądać film. W kącie pokoju pali się lampka. Główne światło jest zgaszone. W pomarańczowym, przyciemnionym świetle nikt nie dostrzega, że jest mi smutno. W telewizji znów puszczają „Samych Swoich”, wszyscy się śmieją. Patrząc z boku, można by pomyśleć, że jesteśmy zgraną rodziną, która świetnie się ze sobą czuje. Lucyna przynosi stos kanapek z kuchni i herbatę. Stawia na stoliku do kawy. Zjadam szybko kanapki, bo czuję dziwne ssanie w żołądku. Spoglądam na tatę i staram się zapamiętać jego twarz, rano wyjeżdżam i pewnie znów nieprędko się zobaczymy.

Ucieczka

Z kolacji zostało kilka kanapek, które Lucyna wstawiła do lodówki. Włożyłam je do plecaka i zabrałam na drogę. Spakowałam tylko tyle rzeczy, ile zmieściło się do mojego szkolnego plecaka, i wzięłam pieniądze, które dostałam od mamy na gwiazdkę. Nikt nawet się nie obudził, gdy wychodziłam, chociaż Cezar zaczął szczekać i narobił okropnego hałasu w przedpokoju. Wyszłam rano jak zwykle, gdy wychodziłam na spacer, tylko że tym razem mam ze sobą plecak.

Pada śnieg. Sypie wielkimi płatami, które kładą się na moim ubraniu, twarzy i futerku psa jak zimne pocałunki. Kraków żegna nas najczulej, jak potrafi. Wsiadamy do tramwaju i jedziemy prosto na dworzec. Przyglądam się świątecznym dekoracjom i staram się unieść w oczach obraz starych krakowskich kamienic, wśród których przeżyłam czternaście szczęśliwych lat. Kupuję bilety do Warszawy. Za kilkanaście minut mamy pociąg. Później się zastanowię, co dalej.

W pociągu jest gorąco. Siedzę pomiędzy grubym

mężczyzną, który zapadł w drzemkę i chrapie głośno przez otwarte usta, a kobietą, która wylała na siebie zbyt dużo perfum.

Trzymam na kolanach Cezara, który pachnie mokrym psem. Drażnią mnie te zapachy zmieszane z odorem pociągu zalatującego starym kurzem. Zamykam oczy, żeby zasnąć i przestać myśleć o tym, gdzie jestem i co mam dalej robić. Cezar zadziera głowę i patrzy mi ufnie w oczy, jakby sprawdzał, czy dobrze wiem, co robię i dokąd znów się wybieram. Patrzę w jego wierne, brązowe oczy, gładzę jego krótkie, niezgrabne łapki i wiem, że nie mogłam postąpić inaczej.

Zamykam oczy i staram się zasnąć. Z drzemki wyrywa mnie dźwięk komórki. Sygnał rozbrzmiewa kilka razy. Nie spieszę się, żeby odbierać. Wiem, że to oni. Zorientowali się, że mnie nie ma, i chcą wiedzieć, gdzie się podziewam. Zastanawiam się, co im odpowiem, ale najlepiej będzie, gdy powiem prawdę.

- Tak?

- Gdzie jesteś? - słyszę zniecierpliwienie w głosie taty. - Czekaemy na ciebie ze śniadaniem. Lucyna zrobiła pyszne zapiekanki z twoim ulubionym serem. Wracaj szybko!

- Nie mogę. Jestem w pociągu.

- Jakim pociągu?

- Do Warszawy.

Po tamtej stronie słuchawki zalega długa cisza. Nie wiem,

czy tato się rozłączył czy też rozmowę utrudnia pędzący pociąg. Po chwili jednak ojciec dalej wypytuje.

- Dlaczego?! Dlaczego nic nie powiedziałaś? Do kogo właściwie jedziesz?

- Nic takiego się nie stało. Nie chcę wam sprawiać kłopotu. Lucyna jest uczulona na Cezara. Musiałam go zabrać, bo się bałam, że go oddacie do schroniska.

- Co też ci przyszło do głowy?! Nikt nie zabierze ci pieska! Wracaj do domu!

- Słyszałam, że chcecie się go pozbyć, oddać komuś albo coś innego...

- Ale to tylko Lucyna się zastanawiała, co zrobić, żeby wybrać większe dobro.

- A co z mniejszym dobrem?! Najlepiej się go pozbyć?

- Porozmawiamy o tym, tylko wracaj!

- Nie chcę. Nie martw się o mnie.

Rozłączam się. Pociąg toczy się dalej. Mija godzina, potem druga. Pociąg sunie szybko, jakby się z czymś ścigał. Chciałabym zatrzymać czas. Pozostać w tej podróży, w zawieszaniu, żeby nie myśleć, co dalej. Nie wiem, co powie babcia, gdy wrócę. Oni przecież chcą pojechać z wujkiem do Gdańska. Nie wezmą mnie ze sobą. Jestem dla wszystkich totalną zawalidrogą. Nikogo nie obchodzi, co się ze mną stanie. Chciałabym być już dość dorosła, żebym mogła pójść do pracy. Już teraz mogłabym pracować w sklepie albo

pilnować komuś dziecka. To drugie rozwiązanie wydaje mi się nawet całkiem realne.

Dzwoni komórka. Myślałam, że ją wyłączyłam, ale chyba zapomniałam. Tym razem to mama. Ojciec musiał ją zaalarmować. Mam wrażenie, że dokładnie wiem, co usłyszę, ale mimo wszystko odbieram. Może się mylę.

- Olu, rozmawiałam z tatą. Wiesz, on mi obiecał, że w żadnym wypadku nikt nie zabierze ci psa, możesz spokojnie wracać do domu!

- Mamo, ja im nie wierzę. Słyszałam, co mówili, że jak pójdę do szkoły, to oni się go pozbędą.

- Dziecko, ja tutaj haruję, żebyś mogła wrócić do prywatnej szkoły. Żebyś, mimo tych wszystkich problemów, przynajmniej ty miała normalne życie. Żebyś wróciła do teatru, do znajomych, do lepszego towarzystwa niż w Bronkach. Chcę dla ciebie lepszego życia niż moje. A ty mi tu mówisz o jakimś szczeniaku. Zrozum, pies nie jest taki ważny, to tylko zwierzę!

- Dla mnie jest ważny - mówię to cicho i jakby do siebie, bo mama i tak nie słucha. Wciąż coś mówi i przekonuje mnie, żebym wróciła do Krakowa.

- Nie możesz stracić życiowej szansy przez psa. Pójdzie do nowych właścicieli, do dużego domu, może lepiej mu będzie niż w tym ciasnym bloku.

- Mamo, jadę do babci - mówię, żeby ją uspokoić.

- No dobrze. - Mama się w końcu poddaje. - Zadzwoń

do babci, że przyjedziesz. Całe szczęście, że nie pojechali do tego Gdańska. Dziadek się uparł, że nic go nie ruszy z Bronek. Zawsze był uparty, a na starość to już jest całkiem nie do wytrzymania. Zostaw psa u babci i wracaj do ojca. Pojedziesz na wieś na wakacje, to się zawsze z nim pobawisz. Pamiętaj, szkoła jest najważniejsza!

Po tej rozmowie czuję się jeszcze bardziej przygnębiona. Nie wiem dlaczego. Mama mnie kocha, myśli o mnie, pracuje z myślą o mnie, a ja nie umiem tego docenić. Tylko że ona nie wie, że ja już nie chcę wracać do tamtej szkoły. Ona zupełnie nie wie, jak ja wyglądam. Nie wie, że przytyłam dziesięć kilogramów i wyhodowałam niezliczoną ilość krost na twarzy. Nie jestem już do siebie podobna. Myślę, że nawet ojciec trochę się mnie wstydzi. Ludzie w pociągu patrzą z zaciekawieniem w moją stronę i nic nie mówią. Nienawidzę rozmawiać przez telefon w publicznych miejscach. Wszyscy słyszą rozmowę, a potem nie ma dokąd uciec od ich spojrzeń. Wyłączam komórkę, chowam głowę w wiszącą nade mną kurtkę i udaję, że śpię. Tak dojeżdżam do Warszawy.

Na dworcu jest szaro i zimno. Kupiłam herbatę w plastikowym kubku, usiadłam na metalowej ławce w poczekalni i zastanawiam się, co robić dalej. Byłam tu zaledwie kilka dni temu. Nie przypuszczałam, że tak szybko wrócę. Mijają godziny, a ja nie ruszam się z miejsca i bezwiednie przyglądam się podróżnym.

Chyba wszystkie dworce świata wyglądają tak samo. Ktoś

biegnie, przepycha się przez tłum, jakby od tego zależało jego życie. Ktoś taszczy walizkę jak mrówka swoją zdobycz, ktoś inny wciska się w środek kolejki przy kasach, jakby się spieszył na ostatni pociąg w życiu. Jedni zachowują się jakoś gorączkowo, są podnieceni, a inni całkiem zeszywniali jak marmurowe posągi. Posuwają się w kolejce z anielskim spokojem niczym pionki w chińczyku, gdy przyjdzie ich kolej. Gdy patrzę tak na nich z góry, to widzę, że wszystko się powtarza. Kolejka rusza na chwilę, potem zatrzymuje się i znowu rusza jak mechaniczna zabawka. Zastanawiam się, co tak naprawdę nakręca ten nasz zwariowany świat. Czy kiedyś moja babcia Amelia też siedziała gdzieś tutaj, wśród innych ludzi z walizkami i zastanawiała się, dokąd jechać? Czy wrócić do Krakowa czy do Broniek i urodzić dziecko, które nosiła pod sercem? Co wtedy czuła? Czy wtedy też ktoś wciskał się bez kolejki, a babcia nie spieszyła się donikąd czy też pozwalała, aby odjeżdżały pociągi?

Na dworcu

Zimno mi. Wyjęłam kanapkę, którą spakowałam przed wyjazdem, ale mi nie smakuje. Pachnie domem Lucyny. Cezar ma na ten temat inne zdanie. Z wielkim apetytem zjada prawie wszystkie kanapki. Biorę go na kolana, przytulam i jest mi cieplej. Pies zasnął. Patrząc na niego, czuję się ze mną bezpieczny. Ufa mi. Oddycham głęboko i zastanawiam się, co dla niego byłoby w tej chwili najlepsze. Myślę, że po prostu chce być ze mną. Popiskuje przez sen i raz nawet zaszczekał. Coś mu się śni? Ta sytuacja dla niego też nie jest łatwa. Chyba wyczuwa, że nie wiem, co mam zrobić. Waham się, czy wracać. Najchętniej pojechałabym do mamy, coś bym wymyśliła. Może wystarczyłoby mi pieniędzy na samolot albo na autobus, ale co wtedy z Cezarem? Nie wpuszczą go bez paszportu. Nie mogę ryzykować, że gdzieś w Anglii zabiorą go do schroniska. Mama nie chce, żebym przyjeżdżała. Nie wiem dlaczego. Nie chce mi się wracać do Broniek i do szkoły w Dąbrowie. Emil z Damianem znowu będą się nade mną pastwić. Jediną osobą, którą chciałabym zobaczyć, jest Ben, ale on wyjeżdża do Szwecji. Czy zdążę się

z nim pożegnać?

Skostniałymi palcami wybieram numer Bena na komórce. Słyszę jakieś trzaski i zgrzyty, a potem ciągły sygnał, jakby ktoś się rozłączył. Próbuję jeszcze raz i jeszcze raz, ale bez skutku. Czyżby nie chciał ze mną rozmawiać? Do tej pory czułam, że cokolwiek się dzieje, mam jeszcze tę jedną nić, po której mogę się odnaleźć.

Nie chcę się stąd ruszać. Nie wiem, dokąd iść. Przytulam psa i siedzę nieruchomo przez następną godzinę lub dwie. Tracę poczucie czasu. W końcu Cezar zaczyna skomleć. Zeskakuje mi z kolan i pociąga mnie w stronę drzwi. Muszę iść. Wyprowadzam go na mały spacer w okolicach dworca. Ulice są tu czarne. Wokół rozdeptany, brudny śnieg. Cezar ciągnie mnie za sobą i nie mam czasu się zastanawiać, co dalej.

- Chcesz do domu, prawda? Bronki to jedyny dom, jaki znasz. Rozumiem to, zgoda.

Pies merda ogonem w odpowiedzi. Spoglądam mimochodem na zegarek i nagle uświadamiam sobie, że wkrótce odjeżdża ostatni pociąg. Wracam na dworzec, staję w kolejce po bilety i zaczynam się denerwować, że nie zdążę. W końcu, gdy jestem tuż przy okienku, słyszę zapowiedź, że pociąg do Białegostoku wjedzie na tor pierwszy przy peronie drugim. Kupuję bilety i biegnę przez halę dworca, w kierunku schodów. Z bijącym sercem widzę z góry, jak metalowy smok z piskiem kół wślizguje się między perony.

Przy drzwiach tłoczą się grupki ludzi. Stoję z boku

i czekam, aż wszyscy wsiądą. Nie chcę, żeby ktoś podeptał Czarusia. Jakiś człowiek pomaga mi z psem, bo Cezar zaparł się nagle i nie chce się ruszyć z miejsca. W końcu przeciskam się wąskim korytarzem do swego przedziału.

Teraz czuję już tylko znużenie. W pociągu jest chłodno. Wyjeżdżamy z tunelu. Przez uchylone okno dmucha na mnie lodowate powietrze. Znoszę to cierpliwie przez jakiś czas, ale w końcu podnoszę się i zamykam okno. Nikt nie komentuje. Za oknami jest zupełnie ciemno. Włączam komórkę i okazuje się, że mam parę wiadomości. Mama dzwoniła do babci. Ktoś mnie odbierze z dworca, tylko muszę ich poinformować, o której przyjeżdżam. Wolałabym, żeby to był Ben. Znów dzwonię do niego, ale słyszę tylko długi sygnał i nikt nie odbiera. Próbuję kilka razy, ale bez rezultatu. Dzwonię do babci i mówię jej, że siedzę w pociągu i właśnie minęliśmy Warszawę Wschodnią. W Białymstoku będę po dwudziestej trzeciej.

Wyjedzie po mnie Czerwiński.

Na dworcu w Białymstoku pierwszy dopada mnie Zenek, a za nim idzie jego ojciec.

- Ty tutaj? Jest prawie dwunasta w nocy!

- Przyjechaliśmy po ciebie samochodem. O! Jest pies!

Zaczynamy rozmawiać. Chłopakowi nie zamyka się buzia. Podoba mu się ta nocna wyprawa na dworzec. Dobrze, że Zenek tu jest. Z samym Czerwińskim czułabym się nieswojo. Pewnie o tym pomyślał i zabrał ze sobą syna. Uświadamiam

sobie, że ludzie wokół troszczą się o mnie i zależy im na mnie.

Dziadek z babcią jeszcze nie śpią. Witają się ze mną, jakby nie widzieli mnie całe wieki. Na stole czeka gorąca zupa mleczna, a na psa resztki z obiadu. Zjadam z apetytem cały talerz zupy. Niewiele rozmawiamy, bo czuję się śmiertelnie zmęczona. W moim pokoju dziadek napalił w piecu, a babcia rozścieliła łóżko. O niczym bardziej nie marzę niż o przytuleniu głowy do poduszki i śnie...

Kiedy zostaję sama, niespodziewanie mój wzrok zatrzymuje się na portrecie Amelii.

- Nie udało się. On już tam nie mieszka. Nie wiem, gdzie jest teraz... Nikt tego nie wie. Może już nie żyje.

Wyjmuję listy z za okładki w moim niebieskim zeszytcie i wkładam z powrotem do skrytki pod podwójnym dnem w szafce. Ktoś je tam położył, więc niech tam zostaną. Nic na to nie poradzę. Po co miałabym o tym komukolwiek opowiadać? Niech pozostaną tajemnicą, bo ja nie wiem, co mam z nimi zrobić.

Zamykam oczy i odpływam. Gdzieś daleko widzę ciemne oczy Bena, które spoglądają na mnie jakby z innego świata. Jest mi zimno. Otulam się po uszy kołdrą i w końcu zasypiam.

Ola pali niebieski zeszyt

Są jeszcze ferie, więc mogę spać tak długo, jak zechcę. Babcia wypuściła psa na podwórko, więc nie muszę go wyprowadzać. Nie chce mi się wstawać i leżę długo, przewracając się z jednego boku na drugi. W końcu z sennego letargu wyrywa mnie dźwięk komórki. Odbieram zaspanym głosem.

- No i jak tam? Wyspałaś się?

- Tak. Wszystko dobrze.

- Nie myśl sobie, że wszystko jest dobrze. Z ojcem o mało nie postradaliśmy zmysłów przez ciebie. Znikasz, robisz, co chcesz, jedziesz, gdzie chcesz. Jak na razie wciąż jesteśmy za ciebie odpowiedzialni.

- Mamo! Przestań na mnie krzyczeć!

- Wcale nie krzyczę, tylko mówię ci, że to było egoistyczne. Myślisz, że świat się kręci wokół ciebie. Liczą się tylko twoje potrzeby. Może chciałabyś zauważyć, że inni też mają problemy. Szarpię się tutaj, żeby tylko zapewnić ci jakąś godziwą przyszłość.

- Niczego od was nie chcę. Nie chcę, żebyś tam pracowała tylko po to, żebym poszła do prywatnej szkoły. Całkiem dobrze mogę chodzić do państwowej szkoły. Chcę tylko być z wami.

- Właśnie chciałam, żebyś mieszkała z ojcem. Wyklóciłam się z nim o to.

- Macie ze mną same kłopoty.

- No to dopiero wyolbrzymiasz. Zależy mi na tobie. Teraz to już tylko na tobie mi zależy.

- No to zabierz mnie stąd.

- Zrozum, nie ma mnie w domu całymi dniami. Ciągnę dwie prace. Jeszcze trochę poczekaj, choćby do wakacji.

- Dobrze, mamó, już dobrze, do usłyszenia.

Kończę tę rozmowę, bo mama i tak mnie nie słucha. Wstaję, ubieram się. Idę do kuchni na śniadanie. Zmywam naczynia, trochę sprzątam. Podkładam do pieca, bo na dworze mróz. Wciąż słyszę w głowie krzyk mamy. Jestem egoistyczna i sprawiam im tylko kłopot. To wszystko moja wina. Nie potrafiłam sprawić, żeby ojciec wrócił do domu. Pisałam tę swoją śmieszoną bajkę w nadziei, że stanie się cud, że gdy ją skończę, odczaruję ojca i znów wszystko będzie jak dawniej, kiedy byłam jego małą księżniczką.

Przez chwilę nawet mi się wydawało, że magia działa. Wróciłam do Krakowa, ale tylko po to, żeby się przekonać, że stare przysłowie działa. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki.

Tam nikomu nie jestem potrzebna. Nikt za mną nie tęskni.

Biorę do ręki niebieski zeszyt i siadam przy piecu. Przeglądam go od niechcienia. To, co czytam, wydaje mi się teraz bezsensowne, naiwne i dziecinne. Dobre dla przedszkolaków na dobranoc. Mała księżniczka odnalazła ojca i wyrwała go ze szponów czarownicy. Tak, chciałam tego. Chciałam, żeby ją zostawił i wrócił do mamy, ale mój tata chce być ojcem Szymona i mężem Lucyny. To przecież pomyłka, widać to na kilometr. Dlaczego on tego nie dostrzega?

Przeglądam, co napisałam, i nagle zaciskam dłoń na kartkach i wyrywam je powoli, jedna po drugiej; otwieram drzwiczki do pieca, w którym buzują rozpalone węgle, i wrzucam je w ogień. Kartki zamieniają się w cienkie szare płatki i kruszą się w popiół. Moje wiersze, bajki, szkice, pamiętnik, wszystko znika w płomieniach. Nie chcę tego życia, nie chcę tych marzeń. To, o czym śniłam, ulatuje w kłębach dymu z komina.

Spoglądam w okno, w zamarzną szybę i wiem, że wystarczy, że wyjdę, usiądę przy torach i odjadę tam, skąd nie będę już musiała wracać. Nakładam czarny beret ze srebrnym wężem, szalik i palto. Wychodzę.

- Gdzie idziesz? - dobiega mnie pytanie babci.

- Tylko wyprowadzę psa. Chodź, Czarusiu!

Muszę go zabrać, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Nie myślę o niczym. Jest mi żal, ogromnie żal, że nic już nie

wróci, że wyjechał Ben, że nie ma już teatru ani miłości, ani marzeń.

Z daleka widzę tory. Usiądę tam, gdzie zawsze, i poczekam aż do końca.

- Idź stąd! Uciekaj! - nakazuję Cezarowi, żeby wracał do domu.

Pies płacze mi się pod nogami. Im bardziej na niego krzyczę, tym bardziej łasi mi się do stóp. Podczołguje się do mnie, jakby przeproszał za cały świat, jakby myślał, że to wszystko przez niego.

Patrzę w jego okrągłe, zdziwione oczy i ogarnia mnie fala czułości. Biorę go na ręce i przytulam. Drży z zimna.

- Moje dobre, kochane psisko, nie zostawię cię, nie oddam nikomu. Będziemy zawsze razem i nigdy nie będę sama.

Przytulam szczeniaka jak miśka albo jakąś maskotkę i niosę go całą drogę powrotną do domu.

Nagle odczuwam ulgę. Mój niebieski zeszyt spłonął. Tamte problemy poszły z dymem do nieba. Jeśli to możliwe, w niebie zostaną rozwiązane. Mój zeszyt poszedł do nieba zamiast mnie.

- Będę się tobą opiekować, Czarusiu - mówię głośno. - Jeśli cię zdradzę, oni oddadzą cię do schroniska, sprzedadzą albo wyrzucą gdzieś przy nieznannej drodze. Taki jest los niechcianych szczeniaków.

Powrót do szkoły

-**C**ześć! - wita mnie wesoło Zosia. - Jak tam po świętach?

- Byłam u rodziny w Krakowie. Spotkałam się z tatą.

- Nie chciałaś tam zostać?

- Nie. Ojciec ma swoje życie. Nie chcę mu przeszkadzać.

- Ja tam nie wyobrażam sobie, żebym miała mieszkać z dziadkami. Dom to dom.

- Chcę być z mamą, ale muszę trochę poczekać, aż ona się urządzi. Wynajmie większe mieszkanie. To nie jest takie proste, jakby się wydawało. Kiedy skończę szesnaście lat, to co innego. Pójdę do pracy i będę niezależna.

Zosia marszczy czoło i nic nie odpowiada. Nie za bardzo potrafi sobie wyobrazić, o czym mówię. Nie mam jej tego za złe. Jeszcze pół roku temu sama nigdy bym nie pomyślała, że moje życie tak się zagmatwa.

- Och! Ola jest z nami! Dobrze. Witaj, Olu. Witajcie wszyscy. Jak minęły wam święta?

Na wychowawczyni nie zrobiło większego wrażenia, że

jestem, chociaż miało mnie nie być.

Nauczyciele niczemu się nie dziwią. Mają na co dzień do czynienia z dziwnymi sprawami.

Tym lepiej dla mnie.

Bena nie ma w szkole. Wszystko jest tak samo jak kiedyś, gdy był nieobecny. Nikogo to nie obchodzi, nikt o niego nie pyta, ale mnie boli ta pustka. Pewnie nigdy już go nie zobaczę. Teraz, gdy umarł jego dziadek, on już tu nie wróci. W Sztokholmie pozna wielu nowych kolegów. Może się zakocha w szczupłej blondynce, która będzie miała gładką, alabastrową cerę.

Spoglądam na ławkę, przy której zwykle siedział, drugą od końca, rząd przy ścianie. Teraz nikt tam nie siedzi. Oglądam się ukradkiem i patrzę z niedowierzaniem, że to jednak prawda. Tym dotkliwiej odczuwam, jak bardzo był mi bliski. Zupełnie się wyłączam. Nie słyszę, co się dzieje na lekcji. Nagle Zosia kopie mnie boleśnie w łydkę. Patrzę na nią z urazą i wtedy dociera do mnie, że nauczycielka mówi coś do mnie.

- A ty, Olu, czy możesz nam opowiedzieć, jakie są tradycje świąteczne w południowej Polsce? Jak ty spędziłaś święta?

Wstaję i rozglądam się po klasie totalnie zaskoczona. Co ja mam im powiedzieć? Mam przed oczami długi nos Lucyny, wydęte wargi Szymona i ojca, który dwoi się i troi, żeby wszystko wyglądało normalnie.

- Normalnie, myślę, że całkiem normalnie. Wigilia,

prezenty i obżarstwo.

Klasa wybucha śmiechem. Wzruszam ramionami i siadam do ławki. Nauczycielka uśmiecha się krzywo, z niesmakiem, ale nie komentuje. Zadaje nam pracę domową i właśnie dzwoni dzwonek.

Na przerwie siadam pod ścianą i włączam komórkę. Nagle słyszę wibrujący sygnał. Dostałam SMS-a. Zaciekawiona otwieram wiadomość: „co u ciebie tesknie Ben”. Wysłał wiadomość z innego numeru. Musiał zmienić kartę SIM, gdy wyjechał do Szwecji, i dlatego nie mogłam się do niego dodzwonić. Szybko odpisuję: „ja też tesknie Ola”.

Wizyta u wiedźmy

Nareszcie sobota. Dzisiaj nie muszę iść do szkoły, ale powinnam się trochę pouczyć, bo w tym tygodniu nauczyciele wystawiają oceny i będę pytana z kilku przedmiotów. Już wiem, że będę miała tróję z matmy, z historii i z polskiego też wychodzi mi trójka. Muszę się przygotować z geografii, może będzie czwórka. W Krakowie miałam szóstki i piątki, ale tutaj jakoś przestało mi zależeć. Nauczycieli nie obchodzi, dlaczego ktoś jest nieprzygotowany. W moje okno świeci słońce, ale nie roztopia zimowej mozaiki na szybie. Mróz nie odpuszcza, chociaż jest jasny, słoneczny dzień. Mam ochotę na spacer. Zabieram Cezara, ubieram się ciepło i wychodzimy. Buty skrzypią na mrozie. Śnieg połyskuje w promieniach słońca, aż muszę mrużyć oczy. Owinęłam szalik wokół głowy, że ledwie widać oczy, żeby nie odmrozić twarzy.

Uwielbiam spacerować po lesie. Pies szusuje po śniegu, biegnie daleko przede mną, ale po chwili wraca z oczami pełnymi szczęścia. Biegnę za nim, aby się rozgrzać, i jest mi zupełnie ciepło.

W lesie panuje absolutna cisza, czasem tylko zaszeleści osuwający się z gałązki śnieg albo spod nóg wyskoczy zajęc w panice. Tak jak właśnie przed chwilą. Cezar wyrwał za nim jak zawodowy pies myśliwski. Nie słucha moich nawoływań ani protestów. Mam nadzieję, że na swoich krótkich nóżkach nie ma z zajęcem szans. Zniknął mi z oczu, ale widzę wyraźnie ślady na śniegu. Podążam tym tropem w głąb lasu.

Cezar zniknął gdzieś wśród drzew i zaczynam się obawiać, że się zgubił. W lesie panuje zupełna pustka i biała, dziewicza biel. Drzewa, oprószone śniegiem i szronem, sypią mi na głowę biały pył przy najlżejszym poruszeniu gałęzi. W oddali dostrzegam żółty ogon Czarusia. Upewnił się, że idę za nim i dalej biegnie przed siebie.

Przed nami ciągnie się bagnista olszyna, ale teraz wszystko jest skute lodem. Na rozległych polanach wyschniętej trawy widzę gładkie tafle sadzawek, które zastygły na mrozie. Bez obawy ślizgam się po nich. Szkoda, że nie mam łyżew, dopiero byłaby frajda. Zimne powietrze mrozi mi nozdrza i każdy mój włos, który wychodzi spod czapki, jest zupełnie oszroniony. Mimo to czuję się wspaniale. Śnieg skrzy się cały w gwiazdkach. Na jarzębinach czerwienią się oprószone szronem owoce, a na olchach wiszą drobne, czarne szyszki. Spod śniegu wystają brązowe pałki i połamane łodygi uschniętych traw. Z daleka dostrzegam prześwit wśród gałęzi, zza których wyłaniają się dachy sąsiedniej wioski. Gdy podchodzę bliżej, rozpoznaję dom, który widziałam z mojego okna i który narysowałam na konkurs plastyczny. Stoi na wzgórzu, zupełnie samotnie,

oddalony od zabudowań całej wioski o kilkanaście minut spaceru.

Dochodzę do asfaltowej drogi, która jest oddzielona od bagien głębokim rowem. Ostrożnie, zapadając się w śniegu po pas, wychodzę na drogę i teraz już bez problemów podchodzę pod dom wiedźmy. Jest cichy, bezwietrzny dzień i dym wzbija się wysoko w górę. Pali się ogień, więc staruszka musi być w środku. Czuję neodpartą chęć, aby tam wejść i przekazać jej pozdrowienia od Bena. Porozmawiać o nim z kimkolwiek. Przyłapuję się, że nieustannie myślę o tym chłopaku. Mieliśmy tu przyjść razem, ale jestem sama.

Zatrzymuję się przed drewnianą furtką i nagle mam ochotę stąd uciec. To zupełnie obca kobieta, pewnie nawet nie wpuści mnie do środka. Jestem jednak tak zmarznięta, że zniewala mnie myśl o ciepłym wnętrzu i pukam do drzwi. Pukam jeszcze raz i czekam długo, aż wreszcie drzwi się otworzą. Staje w nich pochylona, okryta wielką, kraciastą chustą starucha. Ma co najmniej osiemdziesiąt lat.

- Wchodź szybko, bo zimno leci - prawie na mnie krzyczy.

Wpuszcza mnie do środka i długo mi się przypatruje.

- Zabłądziłaś, dziewczynko?

- Nie.

- Ty do mnie? - pyta zdziwiona.

- Nie. Ja tylko wyszłam na spacer i zmarzłam. Chciałam się zapytać, czy mogłabym się trochę ogrzać.

- Jesteś tutejsza?
- Mieszkam w Bronkach. Tam, za olszyną.
- Aaa, wejdz, dziecko. Tęgi mróz dzisiaj, nie na spacer.
- Zmarzłam jak nie wiem co.
- I policzki masz całe białe. Trzeba szybko rozcierać.

Babuszka każe mi masować policzki, a sama idzie zrobić herbatę. Całe szczęście, że tu zaszłam. Ciężko byłoby mi wrócić do domu. Jak się ogrzeję, to jakoś dam radę. W lesie jest uroczo, ale niebezpiecznie w taki mróz.

Kobieta zaprasza mnie do dużej kuchni połączonej z jadalnią. Siadam przy stole i rozglądam się. Na kuchni gwizdże czajnik. Babcia parzy mi owocową herbatę. Pokój wypełnia zapach malin.

- Ładnie pachnie.
- Wypij, to malina z dziką różą i głogiem, rozgrzejesz się. Zioła i owoce sama zbieram w lesie. To, co kupisz w sklepie, to nie to samo, nie mają takiej mocy.

Nad filiżanką unosi się smużka pary. Pochylam się i ostrożnie, żeby się nie poparzyć, wciągam w nozdrza jej aromat. Oplatam filiżankę zmarzniętymi palcami i podnoszę do ust. Nagle w moich niezdarnych, skostniałych z zimna dłoniach filiżanka chwieje się, jakby za chwilę miała wypaść mi z rąk. Z trudem udaje mi się jej nie upuścić, ale gorący płyn rozlewa mi się na kolana. Podrywam się szybko na równe nogi i staram się oderwać parzący materiał od ciała.

- Zdejmuj to szybko, trzeba wysuszyć - nakazuje wiedźma, ale ja stoję i waham się, nie mam ochoty rozbierać się w jej obecności.

- Wejź tam i przebierz się. Weź to. - Staruszka podaje mi chustę, w którą cała mogłabym się zawinąć.

Posłusznie wchodzę do małego pokoiku, żeby się przebrać. Z ulgą ściągam spodnie, które szczelnie przylegają mi do skóry. Przewiążuję się w biodrach chustą i od razu czuję ulgę, chociaż czerwone plamy na udach wciąż pieką niemiłosiernie.

Zmierzam już do drzwi, gdy nagle moją uwagę przyciągają obrazy na ścianach. Są różnych rozmiarów. Niektóre ogromne, wielkości okna, inne maleńkie jak kartka z zeszytu. Większość z nich to krajobrazy. Mgły nad bagnami, wysokie sosny wzdłuż piaszczystej drogi, pomarańczowy zachód słońca nad czarnym, sosnowym lasem. Rozpoznaję te miejsca. Wpatruję się w nie z zachwytem, gdy nagle moją uwagę przyciąga mały portret, który wisi nad biurkiem. Podchodzę bliżej, bo wydaje mi się, że mam jakieś przywidzenia. W ciemnym kącie pokoju, nad małym stolikiem zagraconym różnymi szpargałami, wisi portret Amelii. Stoję przed nim i wpatruję się oniemiała. Jest zupełnie podobny do tego, który wisi w moim pokoju. Tylko że Amelia ma na sobie niebieską sukienkę i stoi wśród kwiatów. To niezapominajki. To ten obraz widział Ben. Podczas którejś ze swoich wizyt musiał tu wejść.

Co mam zrobić? Co to ma znaczyć? Przyglądam się

jeszcze przez chwilę obrazom i wychodzę do kuchni.

- Ma pani tak dużo obrazów i są takie niesamowite. Poznaję na nich okolicę.

- Mój syn to wszystko namalował. Przyjeżdża tu czasem, ale mieszka na stałe w Londynie. Miał wystawy na całym świecie - mówi z dumą kobieta.

- Podoba mi się ten portret, który wisi nad biurkiem. Kobieta w niebieskiej sukience.

Wiedźma długo nic nie mówi. Zastanawia się. Na jej twarzy pojawia się wyraz zatroskania.

- To dziewczyna ze wsi. Była jego modelką, a może nawet kimś więcej. Kto to wie? Dawne czasy.

Mam wrażenie, że wiedźma zastanawia się, jakby chciała mi coś jeszcze powiedzieć, ale rezygnuje.

- Moja mama też mieszka w Londynie.

- Tak? Ty tutaj, a rodzice tam?

- Mama, bo tata jest w Krakowie.

Wiedźma kiwa głową.

- Co za czasy? Co za świat? Każdy gdzie indziej.

Staruszka użala się nade mną, ale jest to całkiem niepotrzebne. Teraz jestem tutaj z wyboru.

- Poczekaj, mój syn mi to przysłał. Będzie miał wystawę w galerii w Londynie. Twoja mama może tam pójść.

Babcia sięga do kuchennej szuflady i wyjmuje z niej

broszurę. Zaproszenie na wernisaż 15 lutego.

- Masz, ja nie mogę pojechać. To już nie na moje siły. Możesz go ode mnie pozdrowić.

Biorę ulotkę z rąk starej kobiety, na której wielkimi literami widnieje nazwisko jej syna: Dawid Zdunowicz. Wpatruję się zszokowana i oszołomiona tym faktem. Szukałam go w Krakowie, podczas gdy codziennie mogłam patrzeć na jego dom z mojego okna i nie domyślałam się, chociaż Ben opowiadał mi, że widział obrazy w domu więdźmy. To wydaje się jednak tak nieprawdopodobne, że wpatruję się w te dwa wyrazy jak zahipnotyzowana.

- Dziękuję, przekażę to mamie.

Wracam do domu, prawie biegnąc całą drogę. Z emocji nie potrafię zatrzymać się w miejscu. Nie wierzę, wciąż nie wierzę, że odnalazłam go tak po prostu, że on żyje, że tutaj mieszkał, że jego matka zawsze była w tym drewnianym domku na wzgórzu, który oglądałam ze swojego okna każdego dnia.

W domu jeszcze raz podważam listwę w szafce i wyjmuję listy. Teraz już wiem na pewno, że on je przeczytał. Niech się dzieje, co chce. Dawid dowie się, że ma córkę. Muszę pojechać do Londynu. Nie mogę pozwolić, aby te listy utknęły gdzieś na poczcie lub zaginęły po drodze. Oddam mu te listy, a on niech zrobi z tym, co zechce. Jeśli nie będzie chciał się do nas przyznać, to powiem, żeby zostawił nas w spokoju.

Postanawiam, że nic nikomu nie powiem. Tę jedną rzecz muszę załatwić sama, aby dorośli nic więcej już nie popsuli. Do 15 lutego jest jeszcze kilka tygodni. Kupię bilet dla mnie i dla psa, ale wcześniej muszę załatwić wszystkie formalności, żeby mógł ze mną polecieć. Na komórce wystukuję wiadomość do Bena: „odnalazłam dawida mieszka w londynie to syn babuszki ola”. Ben odpowiada prawie natychmiast: „co chcesz zrobić?”. Ja: „lece do londynu”. Ben odpowiada krótko: „ja tez”. Nie do końca rozumiem, ale wiem, że wszystko będzie dobrze.

Londyn

Siedzę przy oknie i wpatruję się w pierzynę skłębionych pode mną chmur. Nad warstwą białego puchu rozciąga się bezkresne, błękitne niebo i świeci słońce. Cezar zasnął w klatce na moich kolanach.

Gdy przelatujemy nad kanałem La Manche, warstwa chmur zaczyna rzednąć i widzę plamę szarej wody. Po drugiej stronie kanału rozciągają się zielone połacie pól i łąk. Ani śladu śniegu. Już tylko pojedyncze chmury przepływają pod samolotem. Nad Anglią świeci słońce. Zastanawiam się przez chwilę, jak długo jeszcze będziemy lecieć, gdy nagle słyszę zmieniony odgłos silników. Znak, że samolot podchodzi do lądowania. Krótki komunikat pilota i znak: „zapiąć pasy”. Nabieram w płuca powietrza i przyglądam się, jak ziemia przybliża się do mnie. Widzę niebieski wężyk rzeki, mosty i ulice. Zataczamy koło i nagle z głośnym warkotem silnika samolot mknie nad pasem startowym. W następnej chwili koła, w lekkim podskoku, dotykają ziemi i w samolocie rozlegają się brawa dla pilota.

Gdzieś tam przy wyjściu czeka na mnie Ben. Teraz idę za

innymi i ustawiam się w kolejce do kontroli paszportowej. Mam wszystkie potrzebne dokumenty i po kilkunastu minutach wraz z psem znajdujemy się już po drugiej stronie bramek, gdzie ustawieni w półksiężyc czekają znajomi, przyjaciele i rodziny podróżnych. Ben wywija tabliczką z napisem: Ola Gajewska. Całkiem niepotrzebnie, bo dostrzegam go od razu. Stoi w towarzystwie swoich rodziców. Ben namówił ich, żeby przyjechali na parę dni do Londynu.

Serce bije mi mocno, gdy Ben przytula mnie na powitanie. Patrzymy sobie w oczy i już wiem bez słów, że nic się nie zmieniło. Witam się serdecznie z jego rodzicami. Jestem im wdzięczna, że tu są. Ben wtajemniczył ich w sekret Amelii. Zafascynowała ich ta historia i obiecali pomóc. Przylecieli wczoraj. Wynajęli pokój w hotelu. Mają też miejsce dla mnie. Nie muszę się o nic martwić. Jutro razem pojedziemy na wernisaż i postaramy się dotrzeć do Dawida.

Przed hotelem na skwerku kwitną magnolie i niebieskie hiacynty. Tutaj nie ma śniegu. Wszędzie mnóstwo kwiatów i krzewów o ciemnych, wiecznie zielonych liściach. Jest bajecznie. Gdzieś tu niedaleko mieszka mama, ale ustaliliśmy, że odwiedzimy ją jutro. Razem z Dawidem, jeśli zechce poznać swoją córkę. Zrobimy jej niespodziankę.

Jest wczesne popołudnie i mamy ochotę wybrać się z Benem na miasto. Rodzice Bena są już zmęczeni wyprawą na lotnisko i wolą zostać w hotelu. Całkiem nam to odpowiada. Nie możemy się doczekać, kiedy wreszcie

zostaniemy sami.

Trzymamy się za ręce jak dzieciaki i gubimy się w tłumie. Wsiadamy do metra i wysiadamy na Piccadilly Circus. W sklepie z pamiątkami kupujemy koszulki z nadrukiem angielskiej flagi. Potem jedziemy piętrowym autobusem w dół zatłoczonej ulicy, wyskakujemy obok parku. Spacerujemy długą alejką przez park, gdy nagle przed naszymi oczami wyłania się pałac królowej. Podchodzimy do wysokiej bramy i wpatrujemy się w okna. Wydaje mi się, że ktoś spogląda na nas zza firanek. Czy królowa angielska jest równie szczęśliwa jak ja, gdy razem z Benem zza żelaznych prętów ogrodzenia oglądam jej rezydencję? Wiem, że nie muszę mieszkać w pałacu, nie muszę mieć zbyt wiele w życiu, ale muszę być kochana. Bez tego zgasnę i umrę. Czym jest miłość? Ściskam dłoń Bena, a moje serce napętnia się wdzięcznością. Gdyby mnie nie kochał, nie byłoby go tutaj.

Spotkanie z Dawidem

Galeria znajduje się gdzieś nad Tamizą. Rodzice Bena sprawdzają coś na mapie, a my zadarliśmy głowy do góry i przyglądamy się wieży Big Bena. Robimy sobie zdjęcia na jego tle. Idziemy przez wielki most. W świetnych humorach wyprzedzamy rodziców Bena i zatrzymujemy się w połowie mostu. W wodzie odbijają się chmury, które rozwiewa silny wiatr i wydaje się, że płyną tak szybko jak statki. Czuję się, jakbym znalazła się w całkiem nierealnym świecie, jak w bajce, którą sobie wymyśliłam. Nagle przypominam sobie, dokąd idziemy, i ogarnia mnie niepokój. A jeśli Dawid nie przyzna się do swojej przeszłości? Albo dostanie ataku serca?

Odwracam głowę i szukam wzrokiem rodziców Bena, którzy rozglądają się i robią zdjęcia komórką. Oparci o balustradę czekamy na nich trochę. Ben kładzie dłoń na mojej dłoni.

- Co będzie z nami? - pytam, patrząc mu w oczy.

- Za kilka dni wracam do Szwecji - mówi ze smutkiem w głosie. - Do szkoły - dodaje z przekornym uśmiechem.

- Cieszę się, że udało ci się namówić rodziców na ten przyjazd.

- Ja też, że dali się namówić, a najbardziej, że znów cię spotkałem.

- I co dalej?

- Będzie dobrze.

- A jeśli zapomnisz?

- Nie zapomnę, nic się nie zmieni. Będziemy pisać i rozmawiać przez telefon.

- Myślisz, że kiedyś znów się spotkamy?

- Szybciej, niż myślisz - odpowiada Ben z błyskiem w oczach, jakby miał już jakieś plany, chociaż na razie nic o tym nie mówi.

Nadchodzą jego rodzice i dalej idziemy razem. Teraz jestem dziwnie spokojna. Jeśli Dawid kiedykolwiek kochał Amelię, nie odrzuci własnej córki.

Galeria znajduje się w wąskiej uliczce odchodzącej kilkadziesiąt metrów dalej od rzeki. Szukam jej nazwy, ale nigdzie nie ma tabliczki. Nagle dostrzegam w oknie obraz w grubych złotonych ramach. Białe pnie brzoź, które wyrastają z sinej mgły unoszącej się nad rzeką. Cienkie gałązki pokryte jasnozielonymi liśćmi. To musi być tutaj. Zatrzymuję się i czekam. Nie mam odwagi wejść do środka.

- Spokojnie, wszystko będzie dobrze. - Ben popycha mnie lekko do środka.

Wchodzimy. Galeria jest niewielka, a może mi się tylko tak wydaje z powodu tłumu, który się tutaj zgromadził. Stojący ludzie otaczają półkolem dwóch mężczyzn. Jeden z nich jest młody, ma krótko przystrzyżone ciemne włosy. Mówi coś po angielsku do zgromadzonych. Słyszę jakieś trudne słowa i chociaż myślałam, że jestem dobra z angielskiego, nic nie rozumiem. Obok niego stoi starszy mężczyzna z siwiejącą rudawą czupryną. Pochylił lekko głowę i przysłuchuje się z nikłym uśmiechem. Nagle rozlegają się oklaski i starszy pan kłania się wszystkim. W tej samej chwili powstaje lekki zamęt. Na salę wchodzi kelnerzy, którzy niosą na tacach kieliszki z winem i szklanki z sokiem. Tłum powoli się rozchodzi. Wszyscy krążą po sali, zatrzymując się przed obrazami. Stoją w grupkach lub parami i rozmawiają. Wokół starszego pana też zebrało się kilku ludzi, którzy otoczyli go kołem. Zastanawiam się, co zrobić. Ben przynosi dla mnie sok. Ze szklankami w rękach obchodzimy galerię dookoła, przyglądając się obrazom.

Nie spuszczam oka z tego człowieka. Muszę do niego podejść, ale mam mętlik w głowie. Mam mokre od potu dłonie i słyszę jakieś dzwonki w uszach. Nie wiem, co robię. Na miękkich nogach podchodzę do Dawida. Wszystko płynie mi przed oczami, jakbym była we śnie. Wyciągam dłoń przed siebie i wciskam mu do ręki te listy. Niech robi z tym, co zechce.

Dawid wygląda na zdziwionego. Patrzy na mnie bez słowa, potem na listy.

- To dla mnie?
- Tak. To pana listy.
- Moje listy?
- Tak, to dla pana.

Dawid wpatruje się w listy całkowicie zmieszany. Czyta swoje nazwisko na kopertach, a potem adres Amelii. Ogląda je, ale nie otwiera. Wkłada listy do kieszeni marynarki.

- Niesłychane. Nigdy nie myślałem... Musimy porozmawiać.

Potakuję tylko głową, że zgadzam się na wszystko, bo nagle straciłam panowanie nad swoim głosem. Zaszło mi w gardle i mam pustkę w głowie.

- Przyjechaliście z Polski?

- Tak, przyjechałam z Polski, z Bronek. Nazywam się Ola Gajewska, a to mój przyjaciel Ben i jego rodzice. Oni mieszkają w Sztokholmie.

Dawid wyciąga rękę i wszyscy się z nim witamy.

- Pana mama dała mi ulotkę o wystawie. Pozdrawia pana.

- A te listy? Od kogo?

- Znalazłam w starym kredensie.

- Coś takiego?! No oczywiście... Rozumiecie, ta wystawa... Zaczekajcie, zaraz wracam. - Mruga do nas porozumiewawczo.

Odchodzi w stronę mężczyzn w sztywnych garniturach

i krawatach, a my oglądamy wystawę. Ben pokazuje mi jakiś obraz i mówi coś do mnie, ale nie potrafię się skupić. Mam przed oczami wzruszoną twarz Dawida i rude loki przetykane siwizną.

Nie wiem, ile czasu minęło, ale wydaje mi się, że tylko chwila i Dawid znów jest przy nas.

- Spławiłem ich, możemy się stąd wyrwać. - Uśmiecha się do nas ciepło.

Wychodzimy na ulicę. Rodzice Bena mówią coś o obrazach i rozmawiają z Dawidem, a ja z Benem idziemy z tyłu za nimi. Rozpiera mnie radość. Chce mi się śmiać i płakać jednocześnie. Wchodzimy do pobliskiej kawiarni. Przez okno widać rzekę. Tafla wody jest sina i wydaje się, że stoi w miejscu, tylko statki i łodzie przepływają spokojnie i bez pośpiechu.

Zamawiamy ciastka z kremem i gęstą, czekoladową polewą, a do picia kawę i gorącą czekoladę. W filiżankach unoszą się poduszki białej piany, posypanej czekoladowym pyłem.

- To niesłychane, że się zachowały.

Dawid ogląda listy.

- Wygląda na to, że nie były otwierane.

- Niech pan przeczyta ten list.

Teraz dopiero daję mu do ręki list Amelii. Trochę się obawiam, jak zareaguje. Dawid otwiera ostrożnie kopertę.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem i pochyła się nad listem. Długi czas nie podnosi głowy. Zaciska usta, a na twarzy widać wyraz totalnego przygnębienia. Kiedy wreszcie podnosi wzrok, ma zaczerwienione oczy i pociąga nosem.

- Dawne czasy. Urodziła mi córkę, a ja nic o tym nie wiedziałem... Dlaczego nie wysłała tego listu?

Jest to pytanie retoryczne. Nikt z nas nie potrafi na nie odpowiedzieć i chyba on sam nie spodziewa się odpowiedzi. Nie wiemy, co powiedzieć, i wszyscy długo milczymy.

- Czy Marta żyje? - pyta niepewnie Dawid.

- Tak. To moja mama.

- Mama? Czy to znaczy, że jesteś moją wnuczką?

Potakuję głową, bo znów odebrało mi głos. Przyglądam się tylko uważnie Dawidowi, a on mnie. W końcu gładzi mnie po głowie.

- Z tymi włosami to wdałaś się w Zdunowiczów.

Wzruszam ramionami. Nie miałam pojęcia, że w Zdunowiczów. Myślałam, że w mamę.

- A Marta? Wie o tym? - Dawid potrząsa listem Amelii.

- Nie. - Kręcę przecząco głową. - Bałam się, że dostanie rozstroju nerwowego. Ma słabe nerwy.

- Boże drogi, a gdzie ona teraz jest?

- Jest tutaj, w Londynie. Pracuje w hotelu, ale jej nie powiedziałam, że przyjeżdżam.

- To trochę skomplikowane - stwierdza Dawid.

- Może i tak, ale powinnam być teraz w Polsce. Powiedziałam babci, że jadę na szkolną wycieczkę - wyjaśniam, chociaż wątpię, czy Dawid cokolwiek z tego pojmuje.

- A państwo? - Dawid zwraca się do rodziców Bena.

- My jesteśmy tutaj na prośbę syna. Ben nas niemalże zmusił, żebyśmy tu przyjechali. Za kilka dni musimy już wracać. Chcieliśmy tylko pomóc Oli. Nasz syn się z nią przyjaźni.

- Nawet nie wiedzą państwo, ile to dla mnie znaczy. To najlepsza wiadomość, jaką mogłem usłyszeć. Tylko gdzie jest Marta?!

Dawid wciąż dopytuje o mamę i kiedy mówię, że pracuje na Oxford Street, natychmiast domaga się, abym do niej zadzwoniła i powiedziała, że zaraz tam będziemy. Nie mam wyjścia. Wyjmuję komórkę i wybieram jej numer. Wszyscy spoglądają na mnie w napięciu.

Mama odbiera, ale słyszę zdenerwowanie w jej głosie.

- Wszystko w porządku?

- Tak, tylko że...

- Przepraszam, Olu, ale nie mogę teraz rozmawiać. Jestem w pracy. Oddzwonię za godzinę. Nie będzie problemu?

- Nie. Do zobaczenia.

Wszyscy słyszeli naszą rozmowę, więc nie muszę niczego

wyjaśniać. Mama jest w hotelu. Możemy jechać. Chcieliśmy ją uprzedzić, ale ona nigdy nie ma czasu na rozmowę, więc zrobimy jej niespodziankę.

Wreszcie razem

Dawid płaci rachunek i pospiesznie wychodzimy na ulicę. Łapiemy czarną taksówkę, która wiezie nas pod hotel. Wpatruję się w szybę. Przed nami, na wyciągnięcie ręki, prezentuje się panorama Londynu. Przejeżdżamy przez Westminster Bridge, mijamy budynki Parlamentu i Big Bena. Już tu byliśmy, ale znów jestem zauroczona tym widokiem. Taksówka skręca gwałtownie i opieram się całym ciałem o Bena. W odpowiedzi chłopak oplata mnie ramieniem. Teraz czuję się bezpieczna i szczęśliwa, chociaż wiem, że już wkrótce rozdzieli nas morze i czas i nie jestem pewna, co z nami będzie dalej.

Wysiadamy przed hotelem i w milczeniu wchodzimy do środka. Z daleka dostrzegam mamę. Mówiła, że jest menadżerką, ale widzę, że siedzi w recepcji. Ona też mnie dostrzega. Jak zahipnotyzowana wstaje z miejsca i wychodzi nam na spotkanie.

- Ola?! Ty tutaj?! - wykrzykuje radośnie mama.

Podbiegam, obejmuję ją i przytulam się do niej

najmocniej, jak potrafię.

- Mamo, to jest Dawid Zdunowicz, a to jest Ben i jego rodzice - wyjaśniam, zanim mama zacznie zasypywać mnie pytaniami.

- Jakim cudem? Skąd ty tutaj?

- Pan Zdunowicz chciałby z tobą porozmawiać...

- Może nie tutaj... - wpada mi w słowo Dawid.

- Dobrze, ale może za chwilę - zgadza się mama, a na jej twarzy pojawia się wyraz zaniepokojenia.

Gładzi delikatnie moją twarz i kręci głową z niedowierzaniem.

- Jutro zabieram cię do kosmetyczki - mówi tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Zgoda.

- Poczekajcie na mnie.

Wskazuje nam fotele stojące w pobliżu recepcji, a ja mimowolnie spoglądam na wiszący nad nimi zegar, który wskazuje godzinę 20.38. Jest już późny wieczór. Uświadamiam sobie, że dzisiaj dość często spoglądam na zegarek. Każda chwila wydaje mi się cenna i niezapomniana. Mam wrażenie, że wciąż czekam na ten moment. Chcę zobaczyć minę mamy, kiedy się dowie, kto jest jej prawdziwym ojcem. Chwila prawdy przybliża się coraz bardziej. Siadamy w ogromnych skórzanych fotelach i rozglądamy się wokół. Tymczasem mama znika

w korytarzu. Po chwili wraca z młodym człowiekiem w niebieskiej koszuli i granatowym krawacie, który zajmuje jej miejsce w recepcji, a ona zabiera torebkę i podchodzi do nas.

- Może przejdziemy do restauracji hotelowej? Tam możemy spokojnie porozmawiać.

- Mówiłaś, że dostałaś posadę managera... - wyrzucam z siebie, bo dziwi mnie to, że wciąż pracuje w recepcji.

- Tak to prawda, jestem jeszcze na stażu, ale mam też dyżury w recepcji, jak zajdzie potrzeba. Zwykle wieczorami siedzę po kilka godzin. Trochę dorabiam do pensji. Nie mam tu innego życia poza pracą.

- Mamo, ten pan jest...

- Tak?

- Czy można tu zamówić szampana? Chciałbym uczcić nasze spotkanie - Dawid zwraca się po angielsku do kelnera, który podchodzi i podaje nam menu.

Dawid zamawia szampana i kelner odchodzi. Przed nami leżą brązowe książki z menu w środku, ale nikt z nas ich nie otwiera. Mama przygląda się uważnie Dawidowi z powagą na twarzy i lękiem w oczach, jakby starała się przygotować na najgorsze. Posłańcy zwykle przynoszą złe wiadomości.

- Marto - Dawid zwraca się bezpośrednio i po imieniu do mamy - dowiedziałem się dzisiaj, że mam córkę.

Mama otwiera szeroko oczy, ale nadal nic nie rozumie.

- Dawid jest moim dziadkiem, mamó - pomagam mu, bo słyszę, że głos drży mu ze wzruszenia.

- Tak, Marto, jesteście spokrewnieni. - Głos Dawida brzmi szorstko i nienaturalnie.

- Jest pan moim ojcem? - Mama nie całkiem dowierza własnym uszom.

- Nic nie wiedziałem. Ola znalazła te listy. Proszę. - Dawid kładzie przed mamą list Amelii.

Przed oczami staje mi nagle postać niebieskookiej kobiety z portretu w domu w Bronkach. Nie wiem dlaczego, ale z całą intensywnością staje przede mną jej obraz. Wydaje mi się, że uśmiecha się do mnie.

- Jesteście dla mnie aniołami zesłanymi z nieba - zapewnia Dawid. - Żyję tu samotnie od lat. Nigdy się nie ożeniłem. Moim życiem jest sztuka. Odniosłem sukces, kupiłem wielki dom, wiodę intensywne życie: wernisaże, spotkania, wywiady, ale kiedy ucichnie gwar świata, wracam do pustych ścian i tęsknię. Tęsknię za polami, wśród których się wychowałem i które uwieczniłem na swoich obrazach, i tęsknię za nią. Nigdy nie przypuszczałem, że zostawiła mi taki dar. Moje własne dziecko.

Dawid wyciąga dłonie i po tym, co powiedział, mama już bez wahania wpada w jego objęcia. Dziadkowi głos się łamie ze wzruszenia, mama głośno pociąga nosem i ja też nie wytrzymuję i zaczynam płakać. Łzy płyną mi po policzkach, ale ich smak jest słodki.

Po tak serdecznym powitaniu dziadek wypytuje nas dosłownie o wszystko. Kiedy się dowiaduje, że mama mieszka w hotelu, namawia ją, abyśmy obie przeniosły się do niego.

*

Mieszkam teraz z mamą i dziadkiem w ogromnym domu z ogrodem. Mama nadal pracuje w hotelu, ale nie bierze już dodatkowych dyżurów w recepcji. Dziadek zawozi mnie codziennie do szkoły i odbiera po lekcjach. Mamy mnóstwo wspólnych tematów i nigdy się z nim nie nudzę.

Jeśli chodzi o tatę... Nie mieszka już z Lucyną. Mój wyjazd wstrząsnął nim. Postanowił wszystko zmienić. Przeniósł się do naszego mieszkania w Krakowie, pracuje i całkiem przestał pić. Chodzi na spotkania AA. Na wakacje zaprosił nas do siebie. Rozumiem, że dla mamy nie jest to łatwe, ale wszystko jest możliwe.

Z Benem piszemy do siebie e-maile i prowadzimy długie rozmowy na Skypie. Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy. Jego rodzice zaprosili mojego dziadka, mamę i mnie do Sztokholmu. Wybieramy się tam, gdy będę miała wiosenną przerwę w szkole.

Często zabieram Cezara i wychodzę do parku. Przechadzam się po alejkach i zastanawiam się, kim jestem. Mój dziadek przybył ze Wschodu. Nigdy wcześniej nie myślałam o tym, kim byli moi przodkowie, teraz chciałabym to wiedzieć. Nagle stało się dla mnie ważne, skąd jestem i gdzie będę mieszkać.

W parku jest małe mętne jezioro, po którym pływają wodne ptactwo. Woda wyrzuca na brzeg ich pióra. Obserwuję wędrownie ptaki, które nie odleciały na zimę, i zastanawiam się, czy ja też tu zostanę. Kiedyś dokonam wyboru. Myślę o Benie i karmię łabędzie, a one jedzą mi z ręki. Często coś szkicuję albo piszę. Ostatnio napisałam wiersz pt. „Łabędzie”:

Skrzydlate żaglowce
płyną leniwie jeziorami czasu
z wygiętymi szyjami
lub zwiniętymi w ósemkę.

W lustrach błękitu są dziwem natury
ale na wodach codzienności błotnistych
sadzawkach brutalnie pożera je czas
niekiedy tylko pióra jak pieśni o zmarłych opierają się
o brzeg łódki bez Charona.

Niezdarne kaczątka królewscy synowie
zabłąkani w baśniach pana Andersena
z niepoprawną ufnością dają się karmić z ręki poetom
i dzieciom.

Żenią się na wieczność nigdy nie rozstają
prostaczkowie boży

lepiej znają istotę miłości od człowieka nauczyciele
wierności.

Niebieski zeszyt

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-7942-808-3

© Barbara Vujcic i Novae Res s.c. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Karolina Pospiszil

KOREKTA: Paulina Klas

OKŁADKA: Wiola Pierzgalska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

NOVAE RES - WYDAWNICTWO INNOWACYJNE

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl,
<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

